NOWE WYDANIE KSIĄŻKI RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA

W roku 2025 nienawiść dzieli Polaków tak samo jak sto lat wcześniej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 35/644 25–31 SIERPNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka: Od marksizmu do antykomunizmu, czyli sylwetka Józefa Orła

JESTEM PRZYZWYCZAJONY DO ATAKÓW NA SIEBIE. WYWIAD Z NOWYM KAPELANEM PREZYDENTA NAWROCKIEGO

O nietypowych przewodnikach polskich miast

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 35 >

W STRONĘ REALIZMU

Czy USA uzgadniają z Rosją warunki przegranej Ukrainy?

eprasa.pl ace439ea40

„Z wiatrem i pod wiatr – lotnictwo cywilne”

W Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie otwarto właśnie jedną z największych ekspozycji poświęconych lotnictwu cywilnemu w Europie. „Z wiatrem i pod wiatr – lotnictwo cywilne” to imponująca wystawa stała, która zajmuje powierzchnię ponad 3000 mkw. i przedstawia historię polskiego lotnictwa cywilnego w szerokim, wielowątkowym ujęciu – od pionierskich prób lotów na przełomie wieków XIX i XX, przez czasy międzywojenne i PRL, aż do współczesności.

WYSTAWA Z ROZMACHEM

Ekspozycja została rozmieszczona w nowoczesnym hangarze powstałym na miejscu historycznego hangaru 2. Pułku Lotniczego w Krakowie. Oprócz walorów edukacyjnych, stanowi więc również symboliczne dopełnienie przestrzeni o bogatym dziedzictwie lotniczym. Wystawa została zaprojektowana z myślą o jak najszerszej grupie odbiorców – zarówno dla pasjonatów awiacji, jak i rodzin z dziećmi, seniorów, grup szkolnych czy osób z niepełnosprawnościami. Przystosowane przestrzenie, strefy wypoczynku i nowoczesny system audioprzewodników ułatwiają komfortowe zwiedzanie i umożliwiają pełne zanurzenie się w świat lotnictwa. To wystawa nie tylko do oglądania – to przestrzeń doświadczania. Zwiedzający mogą skorzystać z interaktywnych symulatorów lotu, które pozwalają poczuć emocje związane ze startem, lotem i lądowaniem bez odrywania się od ziemi.

Wystawa została podzielona na siedem przenikających się tematycznie przestrzeni. Każda z nich ukazuje inny aspekt historii lotnictwa cywilnego – od konstrukcji amatorskich do samolotów pasażerskich, od sportów lotniczych do narodowego transportu lotniczego.

W pierwszej części wystawy – „Początki lotnictwa na ziemiach polskich” – zwiedzający poznają pionierów, którzy marzyli o lataniu w czasach, gdy samo uniesienie się nad ziemię było wyzwaniem. Repliki pierwszych lotni, szybowców i rzeźba legendarnego „chłopskiego Ikara” Jana Wnęka przypominają o entuzjazmie i odwadze lotników tamtych czasów. Warto zwrócić uwagę m.in. na replikę lotni Czesława Tańskiego – jednej z pierwszych konstrukcji latających zaprojektowanych przez Polaka – oraz szybowiec Akar – zwycięzcę pierwszego polskiego konkursu szybowcowego z 1923 r.

Kolejna przestrzeń poświęcona została okresowi międzywojnia i działalności Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, która popularyzowała lotnictwo wśród społeczeństwa. To wtedy Polacy zdobywali międzynarodowe trofea – Puchar Międzynarodowego Turnieju Samolotów Turystycznych Challenge oraz puchar międzynarodowych zawodów balonowych Gordona Bennetta, a maszyny RWD, szybowce Wrona i Żaba oraz osiągnięcia polskich inżynierów i konstruktorów budowały renomę młodego lotnictwa. W przestrzeni tej zobaczymy również replikę RWD-8 – wiernie odwzorowany przez Muzeum Lotnictwa Polskiego model najliczniej produkowanego samolotu szkolnego w Polsce przed drugą wojną światową. Żaden egzemplarz nie przetrwał do naszych czasów. Replika posiada oryginalny silnik PZ Inż. Junior 5800cc.

Osobne miejsce zajmuje historia kobiet w polskim lotnictwie. Wystawa przypomina takie postaci jak Wanda Modlibowska czy Stefania Wojtulanis-Karpińska – pilotki, instruktorki, rekordzistki. To dzięki nim kobiety na stałe wpisały się w historię rozwoju polskich skrzydeł. W dalszej części ekspozycji znajdziemy dokumentację sportu lotniczego w czasach PRL oraz niezwykłe przykłady pasji inżynieryjnej – jak chociażby śmigłowiec Gil, pierwszy w pełni polski wiropłat opracowany w Głównym Instytucie Lotnictwa.

TECHNOLOGIA I SPORTY LOTNICZE

Lata PRL to czas intensywnego rozwoju lotnictwa sportowego i przemysłu lotniczego w Polsce. Eksponaty z tego okresu prezentują zarówno oficjalne konstrukcje instytucjonalne – jak szybowce IS-1 Sęp bis oraz IS-4 Jastrząb – a także niezwykłe inicjatywy amatorskie. Znajdziemy tu słynną Kukułkę – lekki samolot zbudowany w mieszkaniu w bloku w Lesznie, na której jej konstruktor Eugeniusz Pieniążek uciekł z PRL do Szwecji, czy Prząśniczkę, która powstała w mieszkaniu w Łodzi. Wśród szybowców nie zabrakło legendarnych egzemplarzy, na których Polacy zdobywali tytuły mistrzów świata: Zefir – Edwarda Makuli, SZD-43 Orion – Jana Wróblewskiego czy prototyp szybowca Swift S-1, który to model do dziś używany jest w akrobacji szybowcowej na całym świecie.

Kolejna przestrzeń poświęcona jest akrobacji lotniczej oraz odpoczynkowi. Widzowie mogą przyjrzeć się sukcesom polskich mistrzów w tej dziedzinie – w tym Krzysztofa i Wacława Wieczorków. Wśród eksponatów znajdują się m.in. samolot akrobacyjny Zlin Z 50LA oraz słynny szybowiec Zefir, na którym Edward Makula zdobył mistrzostwo świata. Nie zabrakło też miejsca na prezentację lotnictwa usługowego: pasażerskiego, sanitarnego i rolniczego. Zobaczymy tu m.in. Albatrosa B.II – pierwszy polski samolot używany do celów reklamowych, sanitarnego CSS-13 i rolniczego PZL-106 Kruka, który był używany do oprysków m.in. w Sudanie.

Ostatnia część wystawy to miejsce dla lotnictwa rekreacyjnego, sportów lotniczych i historii PLL LOT. Gabloty prezentują szybowce klasy światowej, paralotniowy symulator oraz unikalne eksponaty związane z LOT-em – mundury, pamiątki i modele samolotów. Zwiedzający mogą zaś zobaczyć wiele eksponatów, które po raz pierwszy trafiają na ekspozycję publiczną.

Mecenas platynowy wystawy: *Polska Grupa Lotnicza, Polskie Linie Lotnicze LOT*
Mecenas złoty wystawy: *Kraków Airport, Krakodlew, Pratt & Whitney*
Mecenas srebrny wystawy: *ZPUE Koronea, PZL Mielec*
Sponsorzy: *New Era Materials, Fibometry*
Ambasadorzy wystawy: *Adela Dankowska, Jolanta Przybylak, Stanisław Błasiak, Jacek Bogdański, Jerzy Makula, Marian Wieczorek*

Z WIATREM I POD WIATR LOTNICTWO CYWILNE

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ace439ea40

Lewicowa rewolucja kulturalna

PAWEŁ LISICKI

Dokonana w polskiej filii Instytutu Pileckiego zmiana – Hannę Radziejowską zastępuje Joanna Kiliszek – to kolejny dowód, że rządy Donalda Tuska na poważnie próbują zredefiniować polską tożsamość. Piszę „zredefiniować", chociaż należałoby użyć słów znacznie mocniejszych: anulować, zniszczyć, podeptać. W to miejsce ma pojawić się nowa, politycznie poprawna i prawdziwie europejska wersja polskiej historii. Dzięki przejęciu najważniejszych instytucji kulturalnych państwa, a co za tym idzie – przekierowaniu strumienia publicznych pieniędzy, rozpoczyna się budowa nowej świadomości narodowej, a właściwie należałoby powiedzieć – antynarodowej. Trudno bowiem inaczej interpretować wiele zmian personalnych, dokonywanych, ostatecznie, przez premiera. Co ciekawe, rząd nawet się z tym nie kryje.

Joanna Kiliszek, nowa szefowa w Berlinie, w 2024 r. została z ramienia niemieckiej partii Sojusz90/Zieloni radną podberlińskiej gminy Schönwalde-Glien. To faktycznie doskonała rekomendacja, biorąc pod uwagę nieustannie deklarowaną przez „zielonych" proeuropejskość i wyczulenie (śmiało można powiedzieć obsesyjne przeczulenie) na punkcie wszelkiego rodzaju nacjonalistycznych zagrożeń. To swoista ironia historii, że o pamięć rtm. Pileckiego, głębokiej wiary katolika i jednocześnie zwolennika silnej, katolickiej Polski, będzie się troszczyć niemiecka polityk Zielonych.

Już pierwszy wpis nowo powołanej dyrektor, notabene wcześniej autorki „Gazety Wyborczej", mówi sam za siebie: „Relacje te [polsko-niemieckie] są obciążone wieloma krzywdami i emocjami. Wymagają one krytycznego i świadomego podejścia wszystkich stron. Nie mogą być instrumentalizowane i wykorzystywane do populistycznych celów". Łatwo dostrzec tu charakterystyczny dla nowej lewicy relatywistyczny i nihilistyczny żargon. Najgorsza okazuje się „instrumentalizacja do populistycznych celów". Przy czym zamiast przypominania o tym, jak wyglądały relacje wojenne niemiecko-polskie, kiedy to Niemcy byli sprawcami i katami, a Polacy ofiarami, słyszymy o potrzebie „krytycznego podejścia wszystkich stron".

Wcześniej w ramach „krytycznego podejścia do wszystkich stron" dyrektor Instytutu Pileckiego prof. Krzysztof Ruchniewicz chciał, jak donoszą media, rozmawiać o oddawaniu dóbr kultury Niemcom. Według nich „dyrektor Ruchniewicz twierdził, że przypominanie Niemcom o krzywdach wyrządzonych Polakom mogłoby zaszkodzić współczesnym relacjom." Oczywiście jestem pewien, że wkrótce kierowany przez panią Kiliszek i pod nadzorem prof. Ruchniewicza Instytut zajmie się tym, czym od dawna zajmują się polskie instytucje kulturalne: zwalczaniem polskiego nacjonalizmu (po polsku – patriotyzmu) i, jakby mogło być inaczej, piętnowaniem ściśle z nim rzekomo związanego antysemityzmu.

To świadoma polityka rządu Tuska. Przypomnę inne jego nominacje. I tak niemal od razu po wyborach prof. Jana Żaryna zastąpił prof. Adam Leszczyński, przy czym w tym przypadku rząd nawet zmienił nazwę odpowiedniej instytucji: zamiast Dmowskiego i Paderewskiego patronem został Gabryel Narutowicz. Jak mogło być inaczej, skoro prof. Leszczyński w 2021 r. sugerował podobieństwo idei Adolfa Hitlera z poglądami Romana Dmowskiego i… kard. Stefana Wyszyńskiego. Broniąc polskiego wydania „Mein Kampf", prof. Leszczyński najpierw cytował, wyrwane z kontekstu, fragmenty różnych przedwojennych polskich pism, a potem stwierdzał: „A teraz, droga czytelniczko i czytelniku, uwaga: zażartowałem sobie z ciebie. Był to ponury dowcip, ale jednak dowcip, i to z morałem. Te wszystkie cytaty nie pochodzą z »Mein Kampf«, chociaż pasowałyby. Autorem pierwszego jest Roman Dmowski; autorem drugiego – Adam Doboszyński; autorem trzeciego – ks. Józef Pastuszka, autor pisma redagowanego przez Prymasa Tysiąclecia, kard. Stefana Wyszyńskiego".

I dodawał, morał godny nowego szefa jednej z najważniejszych polskich placówek zajmujących się historią: „Oburzenie na publikację »Mein Kampf« w Polsce wynika, moim zdaniem, z głębokiego nieprzepracowania rodzimego antysemityzmu. Łatwo się oburzać na Hitlera i słusznie oczywiście się na niego oburzamy: był wielkim zbrodniarzem. Łatwo jednakże przeoczyć, że równie toksyczne teksty naszych autorów – nie jednego, ale wielu – są na wyciągnięcie ręki".

Łatwo odkryć w tych słowach typową, niemiecką kalkę – „przepracowanie antysemityzmu". Tym właśnie od drugiej wojny światowej zajmują się Niemcy bez przerwy. A im bardziej go przepracowują, im bardziej stają się prymusami „przepracowania", tym bardziej okazuje się, że nie mogą za nimi nadążyć inni, na czele z Polakami, którzy ani rusz nie chcą niczego przepracowywać.

Ale będą musieli, na co wskazują inne decyzje rządowe. I tak szefową Rady Muzeum w Auschwitz została prof. Barbara Engelking. W objęciu tego stanowiska nie przeszkodziły jej ani jawnie rasistowskie wypowiedzi, ani – co wykazał z drobiazgową pieczołowitością dr Piotr Gontarczyk – systematyczne fałszowanie źródeł historycznych. Wreszcie nowym dyrektorem Muzeum Historii Polski został Marcin Napiórkowski, który wcześniej odkrył, że „antysemityzm stał się uniwersalnym kodem dla naszych lęków, nienawiści, manipulacji. Istnieje niezależnie od tego, ilu Żydów jest dookoła nas".

Z taką ekipą można dokonywać przewrotu w polskiej świadomości. Idąc za wzorem z Niemiec, czeka nas zatem wielkie „przepracowywanie", a Berlin nadaje się do tego doskonale. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
POGRĄŻANIE ZACHODU
Globalne gry Trumpa i Putina

17 WOJCIECH GOLONKA
NA ROZDROŻU RESETU

KRAJ

20 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
WIELKA NAGONKA
Przemysł pogardy 3.0

24 ROZMOWA Z KS. JAROSŁAWEM WĄSOWICZEM
ZDRADZA SIĘ TYLKO RAZ

26 PIOTR SEMKA
ORLIM LOTEM PRZEZ OSIEM DEKAD

30 RADOSŁAW WOJTAS
W MIASTO Z PRZEWODNIKIEM

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
OSOBISTY WRÓG KRÓLA HISZPANII
W gnieździe Smoka

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ZDEFEKTOWANY CZARUŚ

36 PIOTR GOCIEK
CZY ANDROIDY ŚNIĄ O OBCYCH?

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 MICHAŁ KRUPA
MARNIEJĄCA KONDYCJA ZACHODU
Wywrotowa książka francuskiego demografa

46 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TRAUMA 1939

50 FILIP MEMCHES
ZIELONE BARWY KONSERWATYZMU

HISTORIA

52 GRZEGORZ MAJCHRZAK
JAK BEZPIEKA CHCIAŁA SPACYFIKOWAĆ STRAJKI NA WYBRZEŻU
Operacja „Lato '80"

ŚWIAT

62 ROZMOWA Z MIKLÓSEM SZÁNTHÓ
MAGYAR – JAK TUSK – TO MARIONETKA MANFREDA WEBERA
Walka między globalistami a suwerenistami

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
DERUSYFIKACJA, CZYLI DEUKRAINIZACJA

68 ROBERT BOGDAŃSKI
NAJWIĘKSZA W DZIEJACH OPERACJA SZPIEGOWSKA

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
ZAROBIĆ NA POKOJU
Kto zyska na zakończeniu walk

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
OLENDRZY – ZAGINIONA CYWILIZACJA
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl ace439ea40

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Julia Demaree Nikhinson/AP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Suwerenność w kontekście oświaty

Szanowna Redakcjo!
Z zainteresowaniem i nieukrywaną satysfakcją wysłuchałem mowy inauguracyjnej prezydenta Karola Nawrockiego, wygłoszonej w Sejmie 6 sierpnia, a następnie z uwagą przeczytałem komentarz Pawła Lisickiego na ten temat w „Do Rzeczy" nr 33/2025. W pełni zgadzam się z ocenami zawartymi w artykule „Wszystkie pola wojny", zwłaszcza w odniesieniu do oświaty. Bardzo trafnie zauważył Pan Prezydent i podkreślił to Pan Redaktor, że suwerenność Polski wymaga: polskiej szkoły, polskich lektur i polskiego wychowania. Pozwolę więc sobie na rozwinięcie tego tematu.

Jestem emerytowanym nauczycielem matematyki. Wkrótce skończą się wakacje i nastąpi rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Do szkolnych ławek wrócą uczniowie, do szkół nauczyciele, a w mediach ponownie pojawią się tematy szkolne, w tym te dotyczące właśnie mojego przedmiotu – matematyki. Niestety, po raz kolejny będziemy mieli do czynienia z poronionymi pomysłami, by zlikwidować matematykę jako przedmiot obowiązkowy na maturze. Jak można było przeczytać w prasie, były nawet zbierane podpisy z petycją w tej kwestii (i jeśli dobrze pamiętam – zebrano już ich 20 tys.). W czasach rozwoju techniki, informatyki, sztucznej inteligencji mamy oto do czynienia z eliminowaniem, by nie napisać likwidowaniem matematyki. I może nie traciłbym czasu na polemikę z oczywistymi nonsensami, gdyby nie mały szczegół. Mam rodzinę w Irlandii. Córka mojej siostrzenicy właśnie w tym roku pisała tam maturę. I właśnie dzięki niej otrzymałem jej arkusz maturalny z matematyki podstawowej, co pozwoliło mi na dokonanie porównania z naszą maturą.

Pierwsze pozytywne zaskoczenie – nie ma tam testów do wyboru ABCD jak u nas – wszystkie zadania należy rozwiązać. Po drugie, matematykę

podstawową piszą tam uczniowie przez dwa dni. Zagadnienia podzielone zostały na dwa arkusze. Każdy arkusz jest z kolei podzielony na dwie części: teorię (pojęcia i umiejętności) oraz praktykę (konteksty i zastosowania). Po trzecie, skala trudności – poziom zadań – stanowi mieszankę naszej matury podstawowej z rozszerzoną plus elementy, które w naszym systemie są dopiero na studiach (np. działania i równania na liczbach zespolonych). Po czwarte, próg zdawalności wynosi 40 proc. (a nie 30 proc. jak u nas), a wszystkich zadań w obu arkuszach jest 100. Maturzysta ma w sumie na rozwiązanie sześć godzin: 2,5 godziny pierwszego dnia i 3,5 godziny drugiego, a aby zdać, musi rozwiązać poprawnie 40 zadań. Reasumując: gdyby ten arkusz dać naszym maturzystom, zdawalność byłaby 20-procentowa (czyli dokładnie odwrotnie, niż było u nas w tym roku, gdzie zdało 80 proc. maturzystów). Wnioski niech każdy wyciągnie sobie sam.

Piszę to wszystko dlatego, bo mam nadzieję (jeśli Redakcja uzna za stosowne to wydrukować), że przeczytają to uczniowie, zwłaszcza ci, którzy boją się matematyki i matury z tego przedmiotu, oraz ich rodzice, zwłaszcza tacy, którzy optują za likwidacją matury obowiązkowej na maturze. Mam także nadzieję, że przeczytają ten tekst również nauczyciele i być może część z nich weźmie pod uwagę, ogłaszając kolejne protesty i strajki (a są takie zapowiadane na wrzesień), że nie tylko wysokość wynagrodzenia jest czynnikiem, o który należy występować.

Z poważaniem
Janusz Postawa

eprasa.pl ace439ea40

NA PIERWSZY OGIEŃ

O czym się myśli we Wrocławiu?

PIOTR SEMKA

Od półtora miesiąca Wrocław żyje kontrowersją wokół rekonstrukcji starego, budowanego jeszcze w 1910 r. mostu Grunwaldzkiego. Gdy obiekt oddawano do użytku, nazwano go mostem Cesarskim (Kaiserbrücke).

Most nie budziłby większych kontrowersji, gdyby nie rozpoczęta jakiś czas temu konserwacja, nad którą sprawuje pieczę miejski konserwator zabytków. Ten zobowiązał firmy remontujące obiekt do tego, by przy okazji przywrócić go do kształtu z 1910 r. Jak się okazało, w planie jest przywrócenie skutego w 1947 r. napisu „Kaiserbrücke" oraz dużego symbolu korony cesarzy Niemiec wraz z dwiema stylizowanymi wieżyczkami strażniczymi. No i oczywiście takie projekty wywołały głosy krytyki ze strony samorządowców PiS.

Jak to bywa z polskimi sporami historyczno-symbolicznymi, czołowym obrońcą niemieckiego napisu i kaizerowskiej korony stała się lokalna „Gazeta Wyborcza". I co charakterystyczne, zaczęto walić z publicystycznej grubej artylerii. Autorka Beata Maciejewska publicznie zastanawiała się, dlaczego politycy PiS protestują przeciwko odtwarzaniu niemieckiego napisu. I odpowiada: „Być może część z głupoty, a część wstydzi się wielonarodowej i wielokulturowej historii tego miasta, bo są ksenofobami i nacjonalistami, bliżej im do Wschodu niż do Zachodu".

Polecam ten cytat wszystkim tym, którzy narzekają, że prawica, reagując na pomysły czy to wrocławskich, czy to gdańskich miłośników nowej europejskiej wspólnej historii, używa zbyt ostrego języka. Tutaj mamy próbkę twardej retoryki drugiej strony. Żadnych ustępstw, niemiecka korona musi być. „[...] tu jest Wrocław. Tak, europejskie miasto" – grzmi publicystka.

Ciekawe tylko, że autorka stawia znak równości między tym, co europejskie, a tym, co niemieckie. I dlaczego kult niemieckich kajzerów, którzy doprowadzili do pierwszej wojny światowej, ma być symbolem otwartości? Tak się składa, że most Grunwaldzki był areną jednej z największych bitew ulicznych między demonstrantami żądającymi przywrócenia Solidarności a oddziałami komunistycznego ZOMO. W filmie „80 milionów" z 2011 r. zrekonstruowano podawaną w ustnych przekazach scenę rozpędzenia wrocławskiego tramwaju, za którego pomocą demonstranci złamali szpaler milicjantów uzbrojonych w tarcze i pałki.
Czy do takiego wypadku doszło, historycy debatują, ale faktem jest, że most Grunwaldzki był miejscem prawdziwej bitwy między wolnymi wrocławianami a kohortami komunistycznej milicji.

Dlaczego nikomu we Wrocławiu nie przyszło na myśl, aby właśnie z powodu pamięci o tamtych wydarzeniach nazwać to miejsce mostem Solidarności? I w miejscu planowanej odtworzonej cesarskiej korony władcy z dynastii Hohenzollernów wmurować znany na całym świecie stylizowany napis „Solidarność"? A dzieje się to w mieście, którego ojcowie formalnie głoszą, że uznają tradycję solidarnościowych demonstracji z lat 80. za element dumy miasta. W teorii może tak, ale w praktyce – nie. ©℗

PIERWSZE WETO PREZYDENTA NAWROCKIEGO

Prezydent zawetował tzw. ustawę wiatrakową. Karol Nawrocki poinformował, że podjął tę decyzję, bo ustawę tę uznał za „rodzaj szantażu wobec społeczeństwa".
– To oczywiste, że ludzie nie chcą mieć obok swoich domów wiatraków – oznajmił prezydent, dodając, że „tam, gdzie większość parlamentarna nie wsłuchuje się w głosy Polaków, to prezydent Polski będzie za społeczeństwem stał". ***(jap)*** ©℗

FATALNA OCENA RZĄDU TUSKA

Rząd Donalda Tuska źle ocenia 55,6 proc. Polaków (o 5,2 punktu procentowego więcej niż w lipcu), a dobrze zaledwie 23,5 proc. pytanych (spadek o 2,5 p.p.) – wynika z sierpniowego sondażu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej. To jednocześnie najgorsze notowania rządu Tuska w historii badań OGB. Z kolei według opublikowanego w ubiegłym tygodniu sondażu preferencji partyjnych KO nadal prowadzi (z poparciem 33,4 proc.) przed PiS (30,6 proc.) i Konfederacją (15,4 proc.). ***(jap)*** ©℗

STANISŁAW SOYKA NIE ŻYJE

FOT. W. STRÓŻYK/REPORTER

W wieku 66 lat zmarł nagle Stanisław Soyka, wybitny kompozytor, popularny wokalista jazzowy i popowy, aranżer, poeta, pianista, skrzypek i gitarzysta. W czwartek wieczorem artysta miał wystąpić na scenie w Sopocie podczas Top of the Top Festival. Wybitnego twórcę pożegnali w Internecie fani oraz politycy. „To wielka strata dla polskiej kultury" – napisał prezydent Karol Nawrocki, wspominając refren słynnego utworu „Tolerancja (Na miły Bóg)". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ace439ea40

dwaj panowie g

Mamy kłopot. O wiele rzeczy oskarżano dotąd byłego prezydenta Andrzeja Dudę, ale o ejdżyzm jeszcze nie. No i my właśnie musimy to zrobić. Wyjaśniamy: ejdżyzm to taki rasizm, tylko wobec starszych. No i eksprez pojechał w jednym z wywiadów tekstem, że polską polityką nie może rządzić człowiek niemal 80-letni. Chodziło oczywiście o szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego. No i jesteśmy w kropce. JarKacz ma co prawda skończone 76 lat, ale np. amerykański frjend Dudy, czyli Dobry Donald z Waszyngtonu, to już nawet skończył lat 79. Czy aby zadowolić Andy'ego, Trump ma teraz abdykować?

Mamy apel do Andrzeja Dudy, by nie kroczył tą drogą i ejdżyzm sobie odpuścił. No bo chyba nieładnie byłoby, gdyby ktoś zapytał: To JarKacz nie może być w polskiej polityce, ale za to Jan Tadeusz Duda, starszy od niego o dwa miesiące, może? Przypominamy, że ojciec Andrzeja Dudy to aktualnie przewodniczący Sejmiku Województwa Małopolskiego.

Tymczasem w świecie urlopów. Sami nie wiemy, co zabawniejsze. Najpierw nikt nie wiedział, kto ma zastąpić Złego Donalda z Sopotu podczas jego nieobecności, więc wicek Gawkowski przerwał swój urlop i przyjechał, ale niepotrzebnie, bo w tym czasie wrócił Kosiniak-Kamasz, przekonany, że to on prowadzi posiedzenia rządu. Drugi wątek też smaczny: liczne głosy z wnętrza rządu, że Zły Donald z Sopotu nie jest tak naprawdę na urlopie, bo on nawet na urlopie knuje. Takiego stopnia paranoi nie widzieliśmy od czasów bunkra przy Wilhelmstraße 77 w roku 1945.

À propos urlopów: nasze wiewiórki przydybały ministra spraw zagranicznych Radka wraz z małżonką o imieniu Anne w Juracie, i to nie byle gdzie, bo w słynnym hotelu Bryza, co go wybudował zapomniany już nieco oligarcha z listy najbogatszych, czyli Zbigniew Niemczycki. W Bryzie nadal jest jakby luksusowo. Cenimy sobie też, że szef resortu dyplomacji wypoczywa nad polskim morzem. Zwłaszcza że nie próżnuje i odszczekuje się na portalu X swoim prześladowcom z czworaków. Nie możemy napisać, że to prześladowcy z pańskiego dworu, bo w pańskim dworze rezyduje Radek.

Zkolei szeregowy poseł i zarazem prezes, czyli Jarosław Kaczyński, w tym roku nie wybrał się na urlop. Owszem, robi sobie czasem wypady w Zachodniopomorskie, ale na jeden dzień, najwyżej dwa. Współczujemy, ponieważ wiemy z doświadczenia, że aby spędzić jeden dzień w Zachodniopomorskiem, trzeba jeszcze dwa dni poświęcić, aby tam dojechać i wrócić.

Wracając do spraw niemieckich: nie rozumiemy hejtu wobec Joanny Kiliszek, nowej szefowej oddziału Instytutu Pileckiego w Berlinie. Ma przecież nazwisko arcypolskie i obyczaje też typowe dla polskiej piękności – kiedyś nawet Adam Hanuszkiewicz stracił dla niej głowę. A liczby męskich złamanych serc w XXI stuleciu to już nie zliczymy. Zrozumcie mężczyzn: Joasia nawet w czasach, gdy była szefową Instytutu Polskiego, chadzała odziana w czerwień i czerń, ale ułożone na niej niezwykle kobieco.

Natomiast mamy propozycję w związku z nominacją dr Kiliszek. Skoro niemiecka radna – a taką jest Joanna – może zostać szefową berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego, to domagamy się respektowania zasady wzajemności. Proponujemy więc, by szefem warszawskiego oddziału Instytutu Goethego został jakiś polski radny. Może być z Warszawy. Filip Frąckiewicz? No, chyba że wolicie, żeby jeden z Panów G. kandydował i jako świeżo upieczony radny wziął tę robotę. Wiecie, który z Panów G. Ten z berlińskim doświadczeniem. Ten drugi wolałby kierować polskim British Council.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z mediów. A właściwie z nadzoru nad mediami: w miniony czwartek z gabinetu prezesa KRRiT wyprowadzono Macieja Świrskiego, a wprowadzono do niego Elżbietę Glapiak. Niedosłownie, bo Świrskiego na miejscu nie było. Wyprowadzono zatem jego rzeczy, a wprowadzono rzeczy Glapiak. Pewne trudności sprawiło wynoszenie 300-kilogramowej szafy pancernej. Jednak w odróżnieniu od zwyczajów panujących w prokuraturze tej kasy nie pruto.

Złe języki mówią, że „Wyborcza" nie jest już tak wpływowa jak kiedyś. Otóż to nieprawda. Na przykład podobno głównym czynnikiem, dla którego obecny reżim nie przeprowadził zamachu stanu, blokując zaprzysiężenie Nawrockiego, była właśnie publikacja w „Wyborczej". Chodzi o tekst Macieja Chołodowskiego (prywatnie pasierba Andy Rottenberg) o tym, jak głosowało wojsko. Nasze wiewiórki twierdzą, że te informacje uświadomiły władzy, iż nie bardzo może liczyć na wsparcie wojska. A w tej sytuacji powodzenie zamachu stanu jest wątpliwe.

Dla tych, którzy nie znają tych danych: najbardziej wstrząsające były wyniki z komisji wyborczej w jednostce stacjonującej w Kosowie, gdzie w pierwszej turze Sławomir Mentzen zgarnął ponad połowę głosów. Na drugim miejscu był zaś Grzegorz Braun, a Karol Nawrocki – trzeci. W drugiej turze kandydata Karola Tadeusza Nawrockiego poparło tam aż 74 proc. wojaków. I nie był to jakiś jednorazowy wybryk. Podobnie było w komisjach wzdłuż granicy z Białorusią. To tam głosowali żołnierze pilnujący granicy przed nielegalną imigracją. Od siebie dodajemy, że podobnie głosuje policja. A wiecie: o ile zamach stanu bez wojska jest rzeczą wątpliwą, o tyle bez policji już po prostu niemożliwą. ©℗

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bohater tych czasów

Nie ma tego złego, powiadali nasi przodkowie, co by nie wyszło na dobre. Tak może sobie też powiedzieć rządząca Koalicja Obywatelska. Chociaż obita i podtopiona, to coś na skandalu KPO zyskała. I ten zysk może być rozwiązaniem dwóch największych problemów, z którymi się boryka: problemu przywództwa i problemu narracji.

Gdyby nie skandal i przysłowiowe już jachty, nie rozbłysłaby gwiazda posła Artura Łąckiego. Gdy Tusk swoim zwyczajem, przejętym zresztą od Angeli Merkel, zniknął, by nie być kojarzony z „sytuacją kryzysową", a odpowiedzialna minister zaplątała się w sprzecznościach, kto uratował sytuację? Najbogatszy poseł obecnej kadencji (samych nieruchomości wpisał w oświadczeniu majątkowym za ponad 60 mln) i zarazem największy beneficjent łaskawości dystrybuującego kasę ministerstwa, w dodatku człowiek skromny, bo cała milionowa dotacja poszła nie do niego, ale do żony. Łącki bez, za przeproszeniem, obcyndalania się poszedł do mediów i wszystko wyjaśnił, z prostotą i szczerością ludzi, którzy czasem zaczepiają nas pod sklepem tekstem: „Kierowniku, nie ma co ściemniać, po prostu na winko zbieram".

Myślę, że to się w Łąckim może spodobać. On nie ściemnia. Wiecie, jak jest. Jacht? Będzie chciał, to se z żoną kupią, stać ich. Biorą kasę? Biorą. Po to ją Unia przysłała, żeby ktoś wziął. Nie podoba się komuś, to jest frajer, który na miejscu jego i żony też by przecież brał, ale nie może, bo łapki ma za krótkie. Całe to KPO było po to, by wysiudać od władzy PiS? No pewnie. Nic nie ściemniam, wiecie ludzie, jak jest.

Nie cytuję dosłownie, bo niekoniecznie używał takich słów, ale całym sobą zaprezentował ten szczególny model pomagdalenkowego sukcesu przez układy, zadowolenia z wciśnięcia się do właściwej grupy i wykazanego w życiu sprytu. „My mamy siuchtę z władzą, wy macie wielkie gie, jak źle kto sobie radzi, nie dziw, że jest mu źle" – cytat z „Baletu nowej klasy" Janusza Szpotańskiego pasuje tu idealnie. Bo Łącki to modelowy produkt tej nowej klasy, przepoczwarzonej po 1989 r. w „klasę średnią". Martwiono się, kim zastąpić Tuska? Już jest kim. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Czarnomorskie fale

W ciągu trzech lat przeszliśmy długą drogę – od ukrainomanii do (co najmniej) ukrainosceptyki. Nie świadczy to najlepiej o dojrzałości naszej polityki i opinii publicznej. Ale może przynajmniej o naszej ideowości? Bo ja wiem? Mądry książę Bismarck mawiał, że nadmiar sympatii lub antypatii wobec innego narodu jest początkiem nielojalności wobec własnego. Tak, zawsze wir takich emocji (nie tylko sympatii, lecz także antypatii) pogrąża uczucia, które powinniśmy żywić najbardziej – troski o przyszłość Ojczyzny, o życie narodu.

Moja krytyka naszej polityki lat wojny w najmniejszym stopniu dotyczy reakcji praktycznych. One w dużym stopniu były słuszne, zarówno zachęcanie na przełomie lat 2021 i 2022 Stanów Zjednoczonych do wsparcia Ukrainy, jak i pomoc sprzętowa w pierwszej fazie wojny. A także przebłysk umiaru, gdy odmówiliśmy jednostronnego przekazania samolotów bojowych, której to decyzji wyraziłem wielkie uznanie na tych łamach w marcu 2022 r. Tak, to były dni chwały prezydenta Dudy i jego zespołu.

Natomiast moją zdecydowaną krytykę budzi brak strategii. Gdy wybucha wojna, trzeba realistycznie określić jej możliwy najkorzystniejszy finał. Tymczasem rojenia o Norymberdze putinizmu, oficjalny (w drugim roku wojny!) sprzeciw wobec „przedwczesnego" zawieszenia broni (i co teraz?), a nawet rojenia o podziale Rosji (vide: Paweł Kowal) – wszystko to zaprzeczało jakiejkolwiek odpowiedzialności. A skończyło się dezercją, czyli zgodnym désintéressement wobec jakiejkolwiek misji stabilizacyjnej po zawarciu rozejmu. Nasza chata jednak z kraja…

Drugi mój zarzut dotyczy braku wyobraźni. O wyperswadowaniu Ukraińcom tradycji banderowskiej należało myśleć przez wiele lat przed wojną. Mam prawo o tym mówić jako orędownik pierwszych uchwał wołyńskich. Zawsze zapominamy, że przyszłość pewnego dnia nadchodzi. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

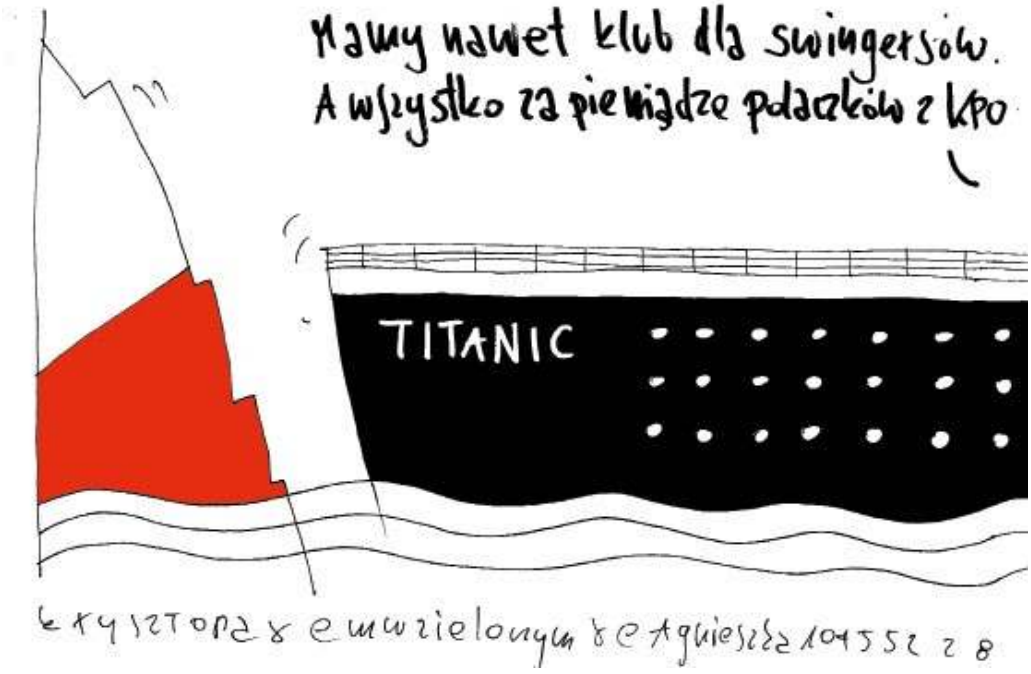

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O tragedii cygańskiej

W Mediolanie 11 sierpnia samochód z dużą szybkością uderzył czekającą na przystanku na tramwaj 71-letnią kobietę. Zmarła na miejscu. Z zapisu kamer i zeznań świadków wynikało, że z auta wysiadło czworo dzieci i uciekło, nie zwracając uwagi na swoją ofiarę. O tragedii informowały wszystkie włoskie media. Dwadzieścia cztery godziny później policja wytropiła 13-letniego sprawcę i jego jeszcze młodszych pasażerów. Mieszkali w cygańskim koczowisku na peryferiach miasta. Samochód ukradli poprzedniego dnia. Po tragicznej kolizji do wieczora bawili się w pobliskim centrum handlowym.

Nieletni kierowca tłumaczył policjantom, że jest niewinny, bo stracił panowanie nad autem z powodu niesprawnych hamulców. Trudno się było z Cyganiątkami porozumieć, bo nie chodziły do szkoły i bardzo słabo znały włoski. Rodzice przybyli do Włoch z Bośni. Przybywające do obozowiska ekipy włoskich telewizji powitał grad kamieni. Okazało się, że w koczowisku w kamperach mieszkały wyłącznie kobiety i dzieci. Gdzie mężczyźni? Jak jeden mąż za kratkami za kradzieże i rabunki. Okoliczni mieszkańcy, właściciele sklepów i personel supermarketu skarżyli się, że obozowisko żyło wyłącznie z kradzieży.

Żaden z czworga zatrzymanych nie miał 14 lat, więc wszystkich zwolniono. Nazajutrz sędzia wydał nakaz umieszczenia ich w domu opieki. Gdy przyjechała po nich policja, nikogo już w obozowisku nie było. Jeden z kamperów z dwojgiem poszukiwanych wytropiono w obozowisku pod Turynem. Podczas rewizji w kamperze znaleziono wiele skradzionych przedmiotów, w tym kosztowności.

Naturalnie postępowcy oskarżają rząd, że całkowicie zaniedbał politykę integracyjną. Dziennikarze są ostrożni. Jedenaście lat temu Massimo Gramellini napisał w „La Stampa", że prawo obowiązuje wszystkich, „ale Romowie je ciągle łamią, tłumacząc, że drobne kradzieże, szczególnie popełniane przez dzieci, należą do ich tradycji kulturowej". Związek dziennikarzy zawiesił go w prawach wykonywania zawodu z powodu rasizmu, a Instytut Kultury Romskiej w Mantui wytoczył mu proces. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl ace439ea40

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

OBYWATELKA SZCZEPKOWSKA

Joanna Szczepkowska, która zasłynęła jako głosicielka końca komunizmu, nie może chyba pogodzić się z tym, że na tym zakończyła się jej rola. Aktorka od dłuższego czasu prowadzi krucjatę przeciw PiS, a w ostatnim czasie szczególnie chętnie przeciw prezydentowi, twierdząc, że nie ma pewności, iż na pewno jest on prezydentem. Postanowiła więc – rzecz jasna z odpowiednim oburzeniem – skomentować spotkanie Karola Nawrockiego z premierem Tuskiem w Pałacu Prezydenckim. Szczepkowska nie dowierza, jak prezydent mógł potraktować tak okropnie (czytaj: spóźnił się półtorej minuty) nasze „słońce Peru". „No więc szacunkowy prezydent, który dostał przydział w Pałacu Prezydenckim, miał gościa, ale nie wyszedł mu na spotkanie, jak prawdziwi prezydenci mają we zwyczaju, tylko poczekał, aż gość się dostatecznie naczeka i będzie znał, kto tu pan" – rozpoczęła. „Ponieważ jednak gość jest człowiekiem obytym, więc czekać też umie, i robi to tak, że czekanie nie ujmuje jego godności. Po prostu stylem czekania daje do zrozumienia, że wie, do kogo przyszedł, i nie spodziewa się kultury ani powitania jak ze staropolskiego porzekadła gość w dom, Bóg w dom'" – kontynuowała. Dalej nie zabrakło inwektyw. „Szacunkowy prezydent, jak na patokatolika przystało, nie wdraża w życie ani polskiej kultury, ani ewangelii. Uprawia raczej ruski styl, czyli że gość to poddany i ma czekać, aż złote drzwi się otworzą. Jest oczywiście możliwe, że facet nie wytrzymał i musiał siusiu przed spotkaniem, stąd spóźnienie, ale do obowiązków prezydenta należy między innymi odwiedzenie ubikacji przed zawodowymi obowiązkami" – kontynuuje. „No dobrze, dosyć tych lekkopiórych żartów. Chamem pan jesteś, panie Nawrocki. Nie żadnym tam człowiekiem z dołów, który poszedł do góry, tylko chamem. Mnie nie obowiązują dyplomatyczne zachowania. Jestem zwykłą obywatelką tego kraju. Cham na stanowisku prezydenta jest nieszczęściem, ale też ujmą dla państwa. Nic nie masz wspólnego z kulturą i tradycją naszej ojczyzny. Jestem pełna podziwu dla premiera. Wybitna lekcja klasy i cierpliwości. Kordian i cham" – podsumowała Joanna Szczepkowska. Panie Kontek, co żeś pan narobił?!

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

SPÓŹNIONE HONORY

Były prezydent Andrzej Duda odpiął wrotki medialnej dyplomacji i poszedł na wywiad do Żurnalisty. A tam, wśród wielu innych, padło pytanie o jego żonę, Agatę Kornhauser-Dudę. – Pana żona bardzo ciężko znosiła tematy medialne. Musiał pan być dużym wsparciem w takich sytuacjach, kiedy słyszał pan wiecznie o tej milczącej pierwszej damie. To musiały być piekielnie trudne relacje związku – zagaił prowadzący. Duda odpowiedział szczerze. – Moja żona nie marzyła o tym, żeby zostać pierwszą damą. Nigdy nie była to jej ambicja. Moja żona jest z wyboru nauczycielką, pedagogiem [...]. Przy czym miała tę lekcję, o której mówiliśmy – jak obserwowała wcześniej Marię Kaczyńską. Jak Maria Kaczyńska była atakowana, albo z jednej, albo z drugiej strony przez media. Tak jak się wypowiedziała na temat aborcji, bo została zaproszona na jakąś tam konferencję przez środowiska kobiet liberalno-lewicowych. Gdziekolwiek się wypowiedziała, była przez środowiska konserwatywne atakowana, więc Agata miała tego świadomość – wskazał.

Dodał, że jego żona dostrzegała również manipulacje i ataki medialne, stąd wolała działać po cichu. Fragment wywiadu oburzył Hannę Lis. Dziennikarka odniosła się do niego na InstaStories. „Maria Kaczyńska NIE została, jak twierdzi tu Andrzej Duda, zaproszona na »jakąś tam konferencję przez środowisko kobiet liberalno-lewicowych«. Maria Kaczyńska ZORGANIZOWAŁA 8/03/2007 roku spotkanie w Pałacu Prezydenckim, na które zaprosiła kobiety z różnych środowisk. W tym mnie. I na tym spotkaniu Maria Kaczyńska podpisała apel skierowany do posłów PiS, aby nie zapisywać w Konstytucji zakazu aborcji. Za co została nazwana przez Rydzyka »czarownicą«. Jarosław Kaczyński nie kiwnął wtedy palcem w jej obronie. Nie chce mi się wierzyć, że pan Duda tego nie pamięta. Pani Maria myślała i działała niezależnie. Mówiła własnym głosem, od serca. Dziękuję za uwagę" – napisała. Niezwykła jest ta krótka pamięć „salonu". Przecież dla niego jedyną „prawdziwą" pierwszą dama była Jolanta Kwaśniewska. Wszystkie późniejsze... nie dawano im żyć.

LUDZIE TAK ŻYJĄ

Wokalista disco polo Marcin Miller, lider zespołu Boys, zmaga się z problemami zdrowotnymi. Musiał skorzystać z NFZ i okazało się to doświadczeniem niełatwym. Miller wyznał, że obecnie doskwiera mu przepuklina i prawdopodobnie potrzebna będzie operacja. W wywiadzie dla portalu Pomponik muzyk nie pozostawił suchej nitki na publicznej służbie zdrowia. Chodzi przede wszystkim o kolejki. – Jak chcę się zapisać, to słyszę: „Panie Marcinie, pierwsza wizyta za rok, rezonans za trzy miesiące". Płacisz duże podatki, oddajesz jedną trzecią tego, co zarobisz, i raptem jesteś traktowany jak zło konieczne – mówił z oburzeniem. Panie Marcinie, witamy wśród śmiertelników! ©℗

eprasa.pl ace439ea40

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, można by powiedzieć, iż psoosoby szczekają, a karawana jedzie dalej. Od sfałszowania wyborów prezydenckich minęło już sporo czasu, PiS-owcy sycą się ciągle swoim trumfem, podziwiają rzekomy geniusz strategiczny Kaczafiego, cieszą się na nadchodzące wybory parlamentarne, już planują, z kim to oni rządu nie stworzą, wożą się, jakby mieli to w kieszeni…

… a tymczasem według najnowszego sondażu wyborczego pomimo kryzysów zewnętrznych prowadzi wciąż Koalicja Obywatelska, a więc okazuje się, iż społeczeństwo wciąż nie jest jeszcze takie najgłupsze i dostrzega, kto naprawdę chce dla niego dobrze, a kto dla niego chce źle. PiS co prawda jest na drugim miejscu, ale wiadomo, iż w politycznym wyścigu liczą się tylko zwycięzcy.

No i powiemy wam szczerze, iż w naszych sercach zagościła od dawna nieodczuwana otucha, iż jeszcze wszystko może się dobrze ułożyć. Jak większość rozsądnych i porządnych obywateli tego kraju czuliśmy się zdruzgotani i przytłoczeni porażką Rafała, obecnością KN w Pałacu Prezydenckim, jego rodziny w Belwederze, prezydentem kibicującym Lechii Gdańsk…

Martwi nas może jedynie trochę potencjalna zdolność koalicyjna, iż przeciesh PiS ostatnie wybory wygrał, ale nikt go nie lubił, i to na tyle, iż nie chciał z nim robić rządu. Tu jednak mamy nadzieję, iż pan Premier utrzyma swoją pozycję męża stanu i ojca narodu i potencjalni koalicjanci będą się do niego garnąć.

Pamiętajmy jednak, iż wciąż mamy wakacje, co prawda ostatni tydzień i dzieci są już na całego męczone hasłem „back to school", ale jednak.

W licznych listach, mailach i DM-ach pytaliście nas: „Redakcjo, jak spędziliście wakacje?", a więc pokrótce wam opowiemy, iż jak zawsze staraliśmy się z nich wynieść wartość edukacyjną.

Otósh w tym roku postanowiliśmy sprawdzić, ile prawdy jest w utyskiwaniach celebrytek, które skarżyły się na Polaków przebywających nad morzem – na januszy chodzących w samych majtkach po ulicach nadmorskich kurortów, dzieci robiące kupy na wydmach, parawanozę oraz drożyznę i wszechobecny smród ryby smażonej na oleju spuszczonym ze starego poloneza.

Otósh musimy przyznać, iż ktoś się pewnie dowiedział o naszych planach badawczych albo postanowiono ustawić dla nas nadmorską wersję wioski potiomkinowskiej, iż nie zaobserwowaliśmy żadnego z wyżej wymienionych zjawisk. Ludzie byli dla siebie generalnie mili, janusze co prawda rozkładają parawany, ale są pomocni i pożyczają młotki do wbijania palików, nie wdepnęliśmy w żadną kupę, a bardziej niż osobodzieci wnerwiło nas jedno psiecko, ujadające przez dłuższy czas bez chwili wytchnienia, ale of kors jesteśmy tolerancyjni i zganialiśmy się w myśli za postawę antypsieckową.

Do tego wszystkiego zaobserwowaliśmy znaczną liczbę turystów z Niemiec i Czech (które mają naprawdę zaj..istego prezydenta), a zatem poczuliśmy się prestiżowo i europejsko. Bo skoro Niemcy przyjeżdżają do nas (no, to było Pomorze Zachodnie, więc może i do siebie…), to jednak nie ma się czego wstydzić? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Rada Gabinetowa

Karol, ale następnym razem to musimy Donaldowi ten numer z pineską zrobić. Albo z klejem.
To znaczy, Zbyszek?

Z pineską to jak w szkole. Jak przyjdzie na Radę Gabinetową, to siądzie, a tam już będzie pineska czekać.
Dobre, dobre, do rozważenia. A klej?

No, to chyba jasne. Wsiąść siądzie, ale jak wstanie, to już z krzesłem.
No, sam nie wiem…
Ten drugi wariant niby bardziej spektakularny, ale jak nam krzesło popsuje? Poza tym jak nie da rady wstać, to tak będzie u nas siedział. Upierdliwe.

W sumie racja…
– Wiem! Podłożymy mu taką prykającą poduszkę! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nieoczekiwany dla PiS zwrot akcji: popieranie Trumpa zaczyna oznaczać popieranie Putina i zdradę Polski".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na X*

eprasa.pl ace439ea40

eprasa.pl ace439ea40

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, ŁUKÓW.TV

W LUBELSKIEM EKSPLODOWAŁ DRON

W nocy z 19 na 20 sierpnia na polu kukurydzy pod Osinami na Lubelszczyźnie rozbił się i eksplodował obiekt latający (jego pozostałości pokazujemy na małym zdjęciu). Chociaż ładunek wybuchowy nie był duży, to w wyniku eksplozji w pobliskich domach wyleciały szyby.

Według niepotwierdzonych informacji jest bardzo prawdopodobne, że dron nadleciał od strony Białorusi. Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz informował jednak, że obiekt to rosyjski dron, a incydent nazwał „prowokacją Federacji Rosyjskiej", do której doszło w szczególnym momencie, kiedy trwają dyskusje o pokoju na Ukrainie. Szef MON zauważył też, że wcześniej Rosja w podobny sposób naruszyła przestrzeń powietrzną Mołdawii, Rumunii, Litwy, Łotwy i Bułgarii.

W związku z incydentem w Osinach Ministerstwo Spraw Zagranicznych przekazało więc Rosji notę protestacyjną. – W tej nocie Polska wskazuje, że Federacja Rosyjska naruszyła traktat o przyjaźni i współpracy z 1992 r., konwencję chicagowską o lotnictwie cywilnym z 1944 r., a także wiele praw zwyczajowych. Zdaniem MSZ to zdarzenie jest świadomą prowokacją, elementem wojny hybrydowej i kolejnym wysoko nieprzyjaznym aktem wobec Rzeczypospolitej Polskiej, jak i wobec państw europejskich – oznajmił rzecznik MSZ Paweł Wroński, dodając, że Polska domaga się od strony rosyjskiej wyjaśnienia tego incydentu i zaprzestania podobnego rodzaju prowokacyjnych działań. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl/ace439ea40

Pogrążanie Zachodu

Spotkanie Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim, Ursulą von der Leyen, Markiem Ruttem i przywódcami państw europejskich w Waszyngtonie, 18 sierpnia 2025 r.

FOT. WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

Łukasz Warzecha

Klucze do zakończenia wojny na Ukrainie nadal leżą przede wszystkim w Moskwie. To Rosja ma w tym konflikcie przewagę, opartą na swoim niedemokratycznym systemie wewnętrznym, pozwalającym w znacznie mniejszym stopniu niż na Zachodzie brać pod uwagę sprzeciw społeczny wobec przestawienia gospodarki na tory wojenne

Zaraz po szczycie w Waszyngtonie oburzenie wywołało w Polsce kolportowane w mediach społecznościowych zdjęcie, spreparowane przez sztuczną inteligencję, pokazujące europejskich liderów siedzących potulnie na krzesłach w korytarzu w Białym Domu w oczekiwaniu na audiencję u Donalda Trumpa. Trzeba było skądinąd być bardzo nierozgarniętym, żeby nie dostrzec, że siedzący najbliżej Emmanuel Macron nie tylko nie jest do siebie podobny, lecz także ma trzy nogi. Cóż, AI bywa wciąż niedoskonała.

Jednak oburzenie było chybione, bo jakkolwiek ten akurat kadr był wytworem komputera, metaforycznie doskonale oddawał sytuację. Co więcej, nie był specjalnie odległy od prawdziwych już zdjęć ze spotkania w Gabinecie Owalnym, na których siedzący za prezydenckim biurkiem Trump otoczony jest wianuszkiem krzeseł, zajętych przez uczestników waszyngtońskiego szczytu: Wołodymyra Zełenskiego, Keira Starmera – premiera Wielkiej Brytanii, Friedricha Merza – kanclerza Niemiec, Giorgię Meloni – premier Włoch, Emmanuela Macrona – prezydenta Francji, Alexandra Stubba – prezydenta Finlandii, a także Ursulę von der Leyen – przewodniczącą Komisji Europejskiej oraz Marka Ruttego – sekretarza generalnego NATO. Kadry z tego spotkania doskonale ilustrują hierarchię.

Gdzie natomiast musiałby usiąść Władimir Putin, gdybyśmy mieli go umieścić w tej metaforycznej hierarchii? Być może na niewielkim podwyższeniu, jeszcze za plecami Trumpa i wyżej od niego? Dlaczego tam? Ponieważ w tej rozgrywce na razie to Rosja rozdaje karty.

TRAKTOWANI JAK PRZEDMIOT

Gdy Donald Trump jeszcze w kampanii wyborczej w 2024 r. zapowiadał, że zakończy wojnę na Ukrainie w 24 godziny, jasne było, iż uda mu się to (i to raczej nie w 24 godziny) tylko o tyle, o ile Moskwa uzna, że jej się to opłaca. Po wygranej Trumpa ostrzegałem, że emocjonalny i raczej infantylny entuzjazm, przejawiający się oklaskami części posłów PiS na sali polskiego Sejmu, jest mocno nietrafiony. Nie tylko dlatego, że był po prostu niestosowny i wskazywał na lenny stosunek klaszczących do USA, lecz także dlatego, że konsekwencją zwycięstwa Trumpa mogła być narastająca presja na Polskę ze strony Waszyngtonu, aby naraziła swoje bezpieczeństwo, biorąc udział w jakiejś formie zabezpieczenia rozejmu bądź zawieszenia broni, a może nawet pokoju na Ukrainie. Ten temat właśnie wraca, a my jesteśmy traktowani bardziej jak przedmiot niż podmiot.

Teza polskich podżegaczy wojennych brzmiała zawsze, że wojnę należy koniecznie kontynuować, ponieważ osłabia ona Rosję, a przerwa w działaniach wojennych – według nich – miałaby służyć jedynie Moskwie i być upragnioną przez nią pieredyszką, po której Rosja miałaby uderzyć na Ukrainę – a może i nie tylko na nią – z nową siłą. Fakty zaprzeczają tej opinii. Gdyby bowiem była ona prawdziwa, Moskwa z ochotą podchwyciłaby już jakiś czas temu amerykańskie propozycje pokojowe i wykazywałaby wobec nich znacznie większy entuzjazm, niż to jest obecnie. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że Rosjanie będą chcieli negocjacje przeciągać jak najdłużej, wiedząc, iż to oni mają na Ukrainie przewagę, a trwanie wojny umożliwi im zajęcie kolejnych terytoriów, a zatem przystąpienie do końcowej fazy rozmów – o ile do niej w ogóle dojdzie – z możliwie największym stanem posiadania.

Na zakończeniu wojny Rosji na razie zależy zatem umiarkowanie, ale za to – znów wbrew nadziejom i przekonaniom lobby polskich podżegaczy wojennych (do których przecież jeszcze nie tak dawno należała spora część polityków PiS!) – wyraźnie zależy na tym samemu Trumpowi, coraz bardziej Wołodymyrowi Zełenskiemu, a także Europejczykom. Każdy ma trochę inne motywacje.

eprasa.pl ace439ea40

Dla amerykańskiego prezydenta to wielka, globalna gra. Podstawowym założeniem jego prezydentury jest to, że USA tracą na byciu globalnym policjantem oraz że jest to rola, z której muszą zrezygnować. W taki jednak sposób, żeby nie odbiło się to negatywnie na ich wiarygodności w rozgrywce, która dla Waszyngtonu jest obecnie najważniejsza, czyli tej toczącej się w Azji Wschodniej, tej z Globalnym Południem (umownie rozumianym), którego największymi przedstawicielami są Chiny i Indie. Trump doskonale pamięta, jakim ciosem w amerykańską wiarygodność była podjęta przez Joe Bidena w 2021 r. decyzja o wycofaniu sił z Afganistanu. Bardzo możliwe, że wpłynęła ona na decyzję Putina w sprawie ataku na Ukrainę.

Trump chce zatem poprzez dynamiczne stosowanie różnych instrumentów – zaskakujących technik negocjacyjnych, żonglowania cłami – wmontować USA w system na pewno już nie unipolarny (co zresztą było zawsze złudzeniem), a nawet nie bipolarny – zresztą tym drugim biegunem musiałyby być obecnie raczej Chiny niż Rosja – ale multipolarny, tak jednak, aby Ameryka pozostała w nim jednym z dwóch najbardziej znaczących graczy obok Pekinu. Pozostali – Rosja, Unia Europejska, Indie – mają być poziom niżej. Nie da się tego jednak zrobić bez koncentracji amerykańskiej siły w jednym regionie, tym dalekowschodnim.

Poza tym wycofanie się z aktywnego wsparcia Ukrainy było zobowiązaniem Trumpa wobec własnych wyborców, dotąd niezrealizowanym. Z tego zobowiązania oraz z samych nastrojów Amerykanów wynika również, że po ustaleniu warunków zakończenia walk Amerykanie nie będą brać pod uwagę obecności własnych wojsk lądowych na Ukrainie. W ostatnich dniach pojawiły się natomiast informacje – wynika to ze słów samego prezydenta – że Waszyngton mógłby wspierać misję stabilizacyjną z powietrza. Nie wiadomo jednak, w jaki konkretnie sposób.

ZAPOTRZEBOWANIE NA POKÓJ

Ukraina potrzebuje pieredyszki znacznie bardziej niż Rosja. To państwo w gruncie rzeczy upadłe i niezdolne do samodzielnego funkcjonowania, wiszące na międzynarodowej pomocy. Do jakiego stopnia – pokazuje błyskawiczna rezygnacja przez Zełenskiego z uchwalonej 22 lipca 2025 r. ustawy w praktyce likwidującej niezależność organu antykorupcyjnego i przyznającej całą kontrolę nad Narodowym Biurem Antykorupcyjnym (NABU) oraz Specjalną Prokuraturą Antykorupcyjną (SAP) prokuratorowi generalnemu. Przeciwko tej regulacji odbyły się demonstracje, co samo w sobie wiele mówi o postrzeganiu prezydenta Zełenskiego na Ukrainie, ale nie to przede wszystkim spowodowało, że już dziewięć dni później przegłosowano ustawę odwracającą większość zmian. Faktycznym powodem była obawa o reakcję międzynarodowych donatorów.

Radykalnie wzrosła też na Ukrainie liczba osób gotowych na negocjacje, aby zakończyć wojnę jak najprędzej, w relacji do tych, którzy uważają, że należy walczyć do całkowitego zwycięstwa (czyli odzyskania utraconych terytoriów). Pokazał to lipcowy sondaż Gallupa. W 2022 r. za tą drugą opcją opowiadało się 73 proc. respondentów, a za pierwszą – jedynie 22 proc. W najnowszym sondażu te dwie grupy niemal zamieniły się miejscami. Za zakończeniem wojny w drodze negocjacji – co przecież musi oznaczać zgodę na utratę kontroli nad częścią terytorium – opowiada się aż 69 proc., a odmiennego zdania jest jedynie 24 proc.

Ma to odbicie również na polu walki. Od początku tego roku z sił zbrojnych Ukrainy zdezerterowało co najmniej 30 tys. żołnierzy. Co najmniej – bowiem to liczba tych, którzy korzystając z uregulowań prawnych, zdecydowali się powrócić do służby, unikając konsekwencji. Nie wiadomo, ilu z tej możliwości nie wykorzystało. Pokazuje to jednak skalę problemu.

Aby walczyć dalej, trzeba mieć żołnierzy. Ukraina ma z tym gigantyczny problem. Kraj, który jeszcze przed 24 lutego 2022 r. zmagał się z fatalnymi wskaźnikami demograficznymi i ogromną emigracją zarobkową, liczył jednak wciąż ok. 41 mln mieszkańców, stracił od wybuchu wojny prawdopodobnie ok. 7 mln obywateli. Obecną ich liczbę Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego szacuje na zaledwie 34 mln. Jednocześnie na front wysyłani są ludzie w wieku najbardziej zdatnym do posiadania rodziny, bo też oni są najsprawniejsi.

Kijów rozumie zatem świetnie, że wojnę trzeba zakończyć i zająć się – przynajmniej na kilka lat – odbudowywaniem własnego potencjału. Aby na Ukrainę zaczęły płynąć obiecywane inwestycje, muszą zakończyć się walki.

Jest wreszcie Europa, która wie, że na odbudowie Ukrainy można zarobić. Nadzieję na to ma przede wszystkim Berlin, rozumiejąc doskonale, że znaczna część obiecanych na odbudowę funduszy – w projekcie nowego budżetu UE zaplanowano dla tego kraju 100 mld euro – popłynie do niemieckich firm. Żeby to jednak zaczęło się dziać, konieczne jest zakończenie wojny lub przynajmniej zawieszenie walk, oparte na względnie solidnych ustaleniach.

Idealny stan, na który mogą mieć nadzieję przedstawiciele największych państw UE, to ten, w którym korzystają one na odbudowie kraju oraz sprzedają mu z zyskiem broń. Ta ostatnia kwestia to również motywacja USA. UE powołała specjalny fundusz, zwany Europejskim Instrumentem na rzecz Pokoju, który następnie zmienił się w Fundusz Pomocy Ukrainie. Z tego funduszu Europejczycy mają kupować broń również w Ameryce, po czym natychmiast wysyłać ją na Ukrainę. Oznacza to, że mimo potencjalnego zakończenia gorącej fazy konfliktu firmy zbrojeniowe w Europie i USA nie stracą. A do tego idealnie byłoby, gdyby udało się choćby częściowo przywrócić relacje handlowe z Rosją. Byłyby to nawet nie dwie, ale trzy pieczenie na jednym ogniu, upieczone przez Niemcy, Francję, Włochy.

Czego natomiast chce Rosja? Na poziomie globalnej strategii chce zagwarantowania sobie strefy geopolitycznego bezpieczeństwa, tak jak ona ją rozumie. Po ponad trzech latach wojny jesteśmy w stanie odtworzyć w miarę dobrze sposób widzenia świata przez Kreml, mocno odmienny od tego, do czego przywykliśmy na Zachodzie. Możemy się z tym sposobem nie zgadzać, a nawet uznawać go za nieracjonalny, jednak jest on faktem. Z tego punktu widzenia Ukraina może zostać przez Rosję zaakceptowana jedynie jako strefa, gdzie wpływ Zachodu jest radykalnie ograniczony, najlepiej do poziomu sprzed inspirowanej w jakimś stopniu przez Amerykanów pomarańczowej rewolucji.

Na poziomie taktycznym natomiast Rosja nie bardzo chce szybkiego zakończenia walk, a negocjacje prowadzi w charakterystyczny dla siebie sposób, bardzo

eprasa.pl ace439ea40

różny od konkretnego i handlowego podejścia Trumpa. Przykładem może być kluczowa dla porozumienia sprawa, czyli oczekiwane spotkanie bilateralne Putina z Zełenskim. Dla Trumpa był to jeden z naczelnych punktów rozmów na Alasce. Rosjanie zajęli w tej sprawie stanowisko, które skłoniło Biały Dom do optymizmu, a nawet do ogłoszenia kilkadziesiąt godzin później, że Moskwa na takie spotkanie się zgadza. Faktycznie jednak rosyjska delegacja stwierdziła jedynie, że godzi się na podwyższenie poziomu, na którym spotykają się strony rosyjska i ukraińska – nie było mowy wprost o spotkaniu obu prezydentów. W środę w ubiegłym tygodniu wiadro zimnej wody wylał na głowy optymistów Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej, stwierdzając, że spotkanie na szczycie mogłoby odbyć się dopiero jako punkt końcowy długotrwałego procesu negocjacji – co jest w ewidentnej sprzeczności z podejściem Waszyngtonu.

Wypowiedź Ławrowa uderzała również w kolejny aspekt stanowiska Amerykanów i Europejczyków: gwarancje dla Ukrainy. Sprawa pozostawania przez nią poza NATO wydaje się już w tym momencie bezsporna, także dla Kijowa. Od początku jasne było jednak, że jeżeli Ukraina miałaby się zgodzić na układ „ziemia za pokój", musiałaby uzyskać możliwie wiarygodne gwarancje pomocy w razie powrotu konfliktu do gorącej fazy. Stąd rozważania podczas rozmów w Waszyngtonie i konsultacji zdalnych Trumpa z europejskimi przywódcami na temat zagwarantowania stabilności porozumienia właśnie przez kraje Europy, czyli jakiś wariant omawianych od miesięcy sił stabilizacyjnych.

Zagadnienie nie jest łatwe do sprzedania własnym obywatelom. Niejasna odpowiedź Friedricha Merza na pytanie dziennikarza, zadane po spotkaniu w Waszyngtonie, czy Berlin wyśle na Ukrainę swoich żołnierzy, spowodowała natychmiast polityczną burzę. Kanclerz Niemiec został w mediach społecznościowych zaatakowany przez prowadzącą w najnowszych sondażach AfD, twardo od początku konfliktu obstającą przy nieposyłaniu na Ukrainę Bundeswehry. Partia Alice Weidel kolportowała m.in. obrazek, na którym w tle pokazano zacierającego ręce Merza ze złowrogim uśmieszkiem, stojącego za plecami grupy młodych ludzi. Podpis głosi: „Merz will dich in die Ukraine schicken? Wir nicht!" („Merz chce cię wysłać na Ukrainę? My nie!").

Z kolei wicepremier Włoch Matteo Salvini skomentował pomysły misji na Ukrainie, zwracając się wprost do entuzjasty tego pomysłu Emmanuela Macrona: „Jedź sobie, jak chcesz. Załóż hełm, kamizelkę, weź karabin i jedź sobie na Ukrainę".

Dyskusja może być jednak bezprzedmiotowa, jako że Ławrow w środę oznajmił, iż Rosja rezerwuje sobie prawo do postawienia weta wobec jakichkolwiek działań innych gwarantów pokoju na Ukrainie, a więc również do obecności obcych wojsk. Zresztą już wiele miesięcy temu, gdy temat pojawił się po raz pierwszy, Rosja zgłaszała swój sprzeciw wobec misji sformowanej z wojsk państw sojuszu północnoatlantyckiego.

Przy czym większość rosyjskich oświadczeń czy stanowisk gubi się w wieloznacznościach albo jest sprzeczna z tym, co wcześniej druga strona ogłosiła jako już ustalone. Nie ma w tym nic zaskakującego – to klasyczna rosyjska strategia negocjacyjna, mająca pogrążyć drugą stronę w niepewności, a w tym przypadku mająca również nadwerężyć wiarygodność Waszyngtonu.

Rosja jednocześnie tworzy na froncie kolejne fakty dokonane, nie ustając w atakach, czego oczywistym celem jest wytworzenie jak najkorzystniejszej dla siebie sytuacji, gdy – lub bardziej jeśli – w końcu przyjdzie negocjować finalny układ. W połowie sierpnia Rosjanie odnotowali znaczący postęp w rejonie pokrowskim, przełamując ukraińską linię obrony. Jak wiadomo, postulatem maksimum stawianym przez Moskwę jest przejęcie w ramach porozumienia kontroli nad praktycznie całym Donbasem, wliczając w to terytoria pozostające obecnie pod kontrolą ukraińską. Trudno się dziwić, że Kijów nie godzi się na taki punkt, aczkolwiek nie sposób powiedzieć, na ile rosyjski postulat jest sztywny, a na ile to jedynie element taktyki negocjacyjnej.

Jedno nie ulega wątpliwości: klucze do zakończenia konfliktu nadal leżą przede wszystkim w Moskwie, a to Rosja ma w tym konflikcie przewagę, opartą na swoim niedemokratycznym systemie wewnętrznym, pozwalającym w znacznie mniejszym stopniu niż na Zachodzie czy nawet na Ukrainie brać pod uwagę sprzeciw społeczny wobec przestawienia gospodarki na tory wojenne. Ponadto od momentu odizolowania Rosji od Zachodu bardzo wzmocniły się powiązania i struktury z Globalnym Południem, choć zarazem to nie Rosja najbardziej na tym skorzystała. W większym stopniu beneficjentami tej sytuacji są Indie i Chiny. Zwłaszcza wzmocnienie pozycji tych ostatnich jest w sprzeczności z interesem USA – stąd wysiłki Trumpa na rzecz wygaszenia konfliktu.

CHŁOPCY W KRÓTKICH SPODENKACH

Można by spytać: Gdzie w tym wszystkim jest Polska? Odpowiedź jest prosta i brutalna: nigdzie. Pokazało to dobitnie spotkanie w Waszyngtonie, gdzie z naszej części kontynentu obecny był prezydent Finlandii Alexander Stubb, choć to Polska od samego początku angażowała się z entuzjazmem we wspieranie Ukrainy pieniędzmi, sprzętem i dyplomacją oraz leży bezpośrednio przy teatrze wojny. Przerzucanie się przez MSZ i Pałac Prezydencki złośliwościami w sprawie nieobecności przedstawiciela naszego kraju w Gabinecie Owalnym to tylko zabawa chłopców w krótkich spodenkach, która przekonuje dojrzalszych partnerów, że z Warszawą liczyć się nie trzeba. Faktycznie koncertowo roztrwoniliśmy nasze atuty, uzbierane podczas początkowej fazy konfliktu.

W czerwcu wypuściliśmy też z rąk okazję, którą podsuwała nam białoruska oferta rozmów. Przedstawione przez MSZ godnościowe wyjaśnienie jej odrzucenia, mówiące m.in. o współudziale Mińska w agresji na Ukrainę oraz braku zaufania, jest porażająco infantylne. Właśnie dokładnie z tych powodów należało te rozmowy podjąć, niezależnie od tego, czy doprowadziłyby do konkretnego rezultatu. Mieliśmy okazję zorientować się w zakresie białoruskiego pola manewru, w skłonności Mińska do pójścia na kompromisy, w politycznym nastawieniu białoruskiego kierownictwa. Nawiązanie kontaktu z Białorusią – czym zresztą w sierpniu pochwalił się w serwisie Truth Social sam prezydent Trump – byłoby dla nas atutem, szczególnie w kontekście obecnych zabiegów dyplomatycznych. Lecz cóż – dumna Polska nie będzie przecież rozmawiała z jakimś tam dyktatorem Łukaszenką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

Na rozdrożu resetu

Wojciech Golonka

Ukraina i jej partnerzy, zwani „Koalicją Chętnych" lub „Koalicją Zdecydowanych", mają do wyboru dwie opcje. Jedna – prowadzić dalej wojnę zupełnie na własny rachunek i własną odpowiedzialność. Druga opcja – wobec amerykańsko-rosyjskiego porozumienia przyjąć do wiadomości fakty dokonane i odnaleźć się w nowym status quo. Chociaż będzie to wymagało od nich nie lada akrobacji retorycznych przekuwających porażkę w zwycięstwo

Nieoczekiwana dynamika ostatnich dwóch szczytów wokół wojny rosyjsko-ukraińskiej, pod przywództwem prezydenta Donalda Trumpa, zwiastuje możliwy przełom polityczny w tej wojnie, choć ogólnikowe wypowiedzi i sprzeczne przekazy walczących stron co do warunków pokoju nie pozwalają jednoznacznie określić kierunku tego realnego przełomu pośród kilku możliwych. Najwyraźniej obecnie brane są pod uwagę dwa warianty: pierwszy, ewidentnie popierany, opracowany i nawet forsowany przez Waszyngton, to stosunkowo szybkie zamrożenie wojny na zasadach Moskwy, z uwzględnieniem terytorialnych faktów dokonanych, w tym bliżej nieokreślonej jeszcze wymiany ziem kontrolowanych przez obie armie. Czy wariant ten jest rzeczywiście możliwy do wdrożenia w chwili, kiedy europejscy liderzy jeszcze wczoraj deklarowali warunki pokoju nie do pogodzenia z ustaleniami na linii USA-Rosja?

Szczyt w Białym Domu z 18 sierpnia 2025 r. tej kwestii otwarcie nie przesądził, a ostateczny głos będzie tu miał Kijów, który dotychczas rezonując z przekazem osi Londyn-Paryż-Berlin, musi jednak wybrać dla siebie mniej niekorzystną opcję z dwóch dostępnych na stole. Natomiast już sama zapowiedź organizacji przez Donalda Trumpa bliskiego szczytu prezydentów Federacji Rosyjskiej i Ukrainy wskazywałaby na możliwe realne szanse powodzenia tego preferowanego przez Amerykanów scenariusza.

Drugi wariant to praktycznie zupełne wycofanie się Stanów Zjednoczonych z wojny ukraińskiej w ramach oczywistego resetu, który już dokonuje się w relacjach amerykańsko-rosyjskich. Oznaczałoby to kontynuację wojny przy zupełnym przejęciu jej ciężaru politycznego i finansowego przez Europę, co najwyżej z amerykańskim logistycznym zabezpieczeniem, tj. możliwością zakupu amerykańskiej broni przez jej sojuszników – zatem nie wprost przez samą Ukrainę – na zasadach komercyjnych.

Poświęcimy uwagę obu tym wariantom oraz ich implikacjom, próbując także rozeznać wiążące się z nimi możliwe zasadnicze korzyści lub straty dla Polski, choć pod tym ostatnim względem brak na razie wyraźnych znaków nadziei, aby myślenie transakcyjne miało w ogóle cokolwiek do powiedzenia w naszej polityce zagranicznej. Ta miota się bowiem niestety między romantyzmem idealistów a abdykacją właściwą jurgieltnikom, co w obu przypadkach przynosi zresztą ogólnie podobnie jałowe skutki.

BLITZKRIEG HANDLOWY USA

Zacznijmy jednak od najważniejszego: Stany Zjednoczone rzeczywiście w końcu zajęły się uregulowaniem kwestii ukraińskiej, ale dopiero w ramach szerszego porządkowania swych interesów w skali globalnej. Ten ogólny kadr jest tu najistotniejszy, ponieważ nie tylko pozwala zrozumieć chronologię zdarzeń, lecz także dyktuje jej ogólny kierunek działań. Nowa administracja Białego Domu w ostatnich miesiącach zdawała się być pozbawiona mocy sprawczej, niechętna do wykorzystania wobec obu walczących stron najtwardszych lewarów, jakby pogodzona z kontynuowaniem linii wytoczonej przez administrację Joe Bidena, racjonalizując jedynie amerykański wkład w wojnę i zabezpieczając własny interes finansowy.

Pewnym wyłomem w tej postawie było skrócenie ultimatum celno-sankcyjnego postawionego w lipcu przez Trumpa Rosji i jej handlowym partnerom oraz wyznaczenie 8 sierpnia jako daty granicznej na wprowadzenie przez nią zawieszenia broni. Tymczasem niespełna trzy tygodnie później ten sam Donald Trump, po osobistych ustaleniach z Władimirem Putinem, nie tylko opowiedział się za osiągnięciem najpierw warunków trwałego, jak to ujmuje, pokoju (zatem bez wcześniejszego przerwania walk), lecz także zdołał to stanowisko narzucić chyba także europejskim partnerom, dotychczas temu bezwzględnie przeciwnym.

Tę zmianę w postaci niezwykle dynamicznego przejęcia inicjatywy i narzucania poniekąd gotowych rozwiązań europejskim przywódcom należy zatem odczytać w kontekście całej polityki zagranicznej Trumpa, skądinąd niezwykle intensywnej, chwilami burzliwej i nieprzewidywalnej, do której kluczem jest gruntowne zrównoważenie relacji handlowych Ameryki z resztą świata – sprowadzające się do ochrony własnego rynku pracy, ściągania zagranicznych inwestycji do amerykańskiej gospodarki

eprasa.pl ace439ea40

oraz otwarcia innych rynków na owoce jej produkcji.

Najwyraźniej nie bez powodu Donald Trump utrzymywał wobec Europy, choć niejednoznacznie, dotychczasowy status quo w kwestii wojny na Ukrainie, negocjując w tym czasie nowe warunki handlu z Unią Europejską (i Wielką Brytanią), które – jak wiadomo – okazały się dla niej już wystarczająco gorzką pigułką do przełknięcia. Zabezpieczywszy ten odcinek wraz z istnym hołdem lennym złożonym mu w Szkocji pod koniec lipca przez Ursulę von der Leyen, Trump z impetem ruszył na Indie, zwiększając na to państwo presję celną pod pretekstem zakupów przez nie rosyjskiej ropy… Tylko po to, aby samemu, tydzień później, położyć na Alasce podwaliny pod odnowienie (czytaj: zresetowanie) amerykańsko-rosyjskiej współpracy gospodarczej z wątkami geostrategicznymi.

Otóż istnieje kilka powodów, dla których dla Amerykanów współpraca ta jest pożądana, a nawet do pewnego stopnia konieczna, ale najłatwiej podsumować je zwornikiem w postaci rywalizacji USA z Chinami. I tak śledząc komunikaty amerykańskiej administracji, raz po raz dowiadujemy się, że negocjacje handlowe z Państwem Środka, które rzekomo już dawno zakończyły się sukcesem, przedłużono, podtrzymując na kolejne 90 dni tymczasowy status quo celny.

Tak, to Chiny, najcięższy i najtwardszy gracz handlowy i geopolityczny – a nie Rosja – znajdują się u kresu blitzkriegu amerykańskiej administracji, która po kolei rozstawia swe pionki na globalnej szachownicy celem uzyskania jak najlepszych rezultatów. Szachownicy, trzeba przyznać, w nieładzie po czterech latach urzędowania Antony'ego Blinkena bez klarownego celu, ponieważ obierając skrajnie antyrosyjski kurs i zrywając zasadniczo wszelką komunikację z Kremlem, Blinken złamał złotą zasadę amerykańskiej dyplomacji z okresu zimnej wojny, tj. niedopuszczenie do zbytniego zacieśnienia relacji rosyjsko-chińskich, które to w ciągu ostatnich trzech lat osiągnęły poziom niemal strategiczny. Nie jest to wszakże jedyny powód wspomnianego resetu, natomiast obecny tuz amerykańskiej dyplomacji, Marco Rubio, obejmując tekę sekretarza stanu, jasno zaznaczył, że Ameryka musi wypracować porządek koegzystencji i współpracy mocarstw o sprzecznych interesach w wielobiegunowym porządku globalnym – a przecież jest rzeczą jasną, że porządek ten okaże się tym bardziej dla Ameryki korzystny, im więcej pola do manewru będzie mieć podczas jego ustalania.

REALIA SZCZYTU NA ALASCE

Ma się rozumieć, w tej nowej dynamice relacji amerykańsko-rosyjskich wszystkie szczegóły pozostają nam na razie niewiadome, ale to przede wszystkim niepoliczona masa komentarzy wartościujących, szydzących, orzekających ex cathedra, kto kogo ograł, rozegrał, ośmieszył etc., czyni ich ogólne zrozumienie jeszcze mniej klarownym. Ten medialny wysyp jest z jednej strony efektem bezpardonowej wojny narracyjnej, do której zadań należy podtrzymywanie nastrojów lęku i moralnego oburzenia, ale z drugiej także, na naszym rodzimym podwórku, skutkiem trwałego zastąpienia realnej, transakcyjnej polityki zagranicznej myśleniem moralizatorsko-życzeniowym, co czyni niezdolnymi do chłodnego przeanalizowania takie realia jak szczyt Donalda Trumpa z Władimirem Putinem na Alasce 15 sierpnia.

Nie skupiając się na detalach, skądinąd interesujących, a z których głównie wybrzmiewał tak irytujący wielu szacunek okazany przez amerykańską stronę głowie Federacji Rosyjskiej, w krótkim przemówieniu Władimira Putina padły kluczowe określenia: „odbudować i pielęgnować wzajemnie korzystne i równe więzi na tym nowym etapie", „porozumienie, które wspólnie osiągnęliśmy", „oczekuję, że dzisiejsze porozumienia nie tylko staną się punktem wyjścia do rozwiązania kwestii ukraińskiej, lecz także pomogą nam odbudować biznesowe i pragmatyczne relacje między Rosją a USA". Z tych słów wynika, i to naprawdę warto przyjąć w Polsce do wiadomości, że niezależnie od tego, jak potoczy się dalej wojna ukraińska, USA ustaliły już z Rosją własne porozumienie pokojowe, tj. Waszyngton najwyraźniej zobowiązał się zakończyć własną wojnę zastępczą z Moskwą (do czego się był przyznał), co otwiera etap do pragmatycznej współpracy obu mocarstw w oparciu o zasadę równości (!) i transakcyjności. Dodajmy, że po szczycie na Alasce poparcie dla Donalda Trumpa poszybowało w USA w górę. Innymi słowy: Amerykanie odczytali je jako oczekiwany przez nich czynnik deeskalacji, stabilizacji i normalizacji, a bynajmniej nie odebrali go jako oznaki słabości.

Przy całej sympatii, którą Donald Trump może żywić do Karola Nawrockiego, jak ma on traktować poważnie polskiego prezydenta, jeśli ten nie ma dla niego innych rad niż życzenie mu pogonienia Rosjan?

Z powyższego jasno wynika, że administracja Donalda Trumpa, jakkolwiek silne byłyby prośby i naciski w tym zakresie, z obranego kierunku resetu z Rosją w dobie obecnej najpewniej nie zawróci. Innymi słowy: to Ukraina i jej partnerzy, zwani „Koalicją Chętnych" lub „Koalicją Zdecydowanych" (określenie wielce mylne i kruche z racji braku zdefiniowania ram i zakresu tych chęci, ale medialnie chwytliwe) muszą wybrać, czy naprawdę chcą prowadzić dalej tę wojnę

eprasa.pl ace439ea40

Prezydenci Władimir Putin i Donald Trump podczas konferencji prasowej po spotkaniu na Alasce, 15 sierpnia 2025 r. FOT. KEVIN LAMARQUE/REUTERS/FORUM

zupełnie na własny rachunek i odpowiedzialność – a jeśli tak, to w jakim rzeczywistym celu – czy wobec porozumienia pokojowego między USA a Rosją przyjąć do wiadomości fakty dokonane i odnaleźć się w nowym status quo, choć będzie to wymagało od nich nie lada akrobacji retorycznych przekuwających porażkę w zwycięstwo. Tak, to nie w wyniku zmęczenia wojną ani nawet szorującego po dnie poparcia dla głównych liderów europejskich (w tym na Ukrainie, gdzie odwróciły się właśnie proporcje, względem 2022 r., na rzecz opcji oddania ziemi w zamian za pokój, osiągając już 69 proc. poparcia społeczeństwa), a w imię pozostawionej przez Amerykanów w tym zakresie pustki zostanie, jeśli już, przyjęte rozwiązanie pokojowe, gdzie o wiele bardziej wybrzmi stanowisko Moskwy (nie dla Ukrainy w NATO, uznanie aneksji Krymu i Donbasu) niż Kijowa (brak dyskusji o czymkolwiek przed zawieszeniem broni, tak dla NATO, nie dla aneksji).

Z KONIECZNOŚCI CZYNIĆ CNOTĘ

Nie przesądzając o rozstrzygnięciu tej kwestii – wojna równie dobrze może trwać dalej do brudnego jej rozstrzygnięcia na polu bitwy – Polska ewidentnie powinna minimalizować możliwe straty, a maksymalizować potencjalne zyski. Minimalizowanie strat to przede wszystkim klarowne rozeznanie, czy twardy fakt porozumienia się Białego Domu z Kremlem na zasadzie transakcyjności oznacza jakiekolwiek obniżenie bezpieczeństwa Polski w dalszej perspektywie, podjęcie stosownych kroków w konsekwencji, a także unikanie wciągnięcia w osławione już, choć na razie nierozstrzygnięte gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy ze strony potencjalnie chętnych na hipotetyczną konfrontację zbrojną z Rosją.

Minimalizowanie strat to również, nazywając rzeczy po imieniu, zręczne dostosowanie się polskiego wasala, którym przecież – chcąc nie chcąc – jesteśmy, do amerykańskiego suzerena, w związku z jego geopolityczną reorientacją, nie na zasadzie ślepego podążania, ale w postaci unikania podsycania nastrojów frondy. I choć zaufanie do Anglosasów powinno być z zasady ograniczone, to trzeba pamiętać, że Donald Trump to z jednej strony autentyczny biznesmen, a z drugiej ofiara chorej nagonki medialno-politycznej w skali światowej; jest to zatem człowiek zdolny wynagradzać lojalność oraz okazywany mu publicznie szacunek.

Z tym ostatnim punktem łączy się też kwestia maksymalizacji potencjalnych zysków. Nie wchodząc w mechanizm opracowywanych gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, w który jako strona angażować się nie powinniśmy, możemy pełnić dla tegoż zaplecze logistyczne. Jednak nie za darmo, a transakcji w tym zakresie należy dokonywać z każdą ze stron, wykorzystując do tego, po zmarnowaniu okazji z 2022 r., kolejne chwilowe okienko i możliwą do wykorzystania presję Amerykanów. Godziwe kwestie pochówku polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa to ewidentny, choć niejedyny możliwy element transakcji względem Ukrainy, natomiast Berlin, Paryż i Bruksela winny przy tej okazji przyjąć do wiadomości i zaakceptować, że jakiekolwiek korzystanie z polskiej infrastruktury logistycznej wiąże się z zaprzestaniem stosowania względem nas środków do bicia w postaci „praworządności" i chronicznych ingerencji w wewnętrzną politykę naszego kraju.

Ma się rozumieć, nie posądzam w ogóle obecnego rządu o jakiekolwiek zapędy do przeciwstawiania się unijnemu dyktatowi ani nie sądzę, aby Donald Tusk, dla dobra Polski, gotów był otwarcie przeprosić Donalda Trumpa za swe przeszłe aberracyjne i wyssane z palca oskarżenia o rosyjską agenturę czy uwiecznione w jego książce nieodpowiedzialne gesty względem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie wierzę też w szczerość niedawnej skruchy Andrzeja Dudy czy Mateusza Morawieckiego, żałujących zbyt łatwego z ich strony okazania pomocy Ukrainie bez należytego egzekwowania wspomnianej przez mnie zasady transakcyjności. Człowiekiem natomiast mającym najwyraźniej dostęp do prezydenta Stanów Zjednoczonych jest nowa głowa naszego państwa. Ale przy całej sympatii, którą Donald Trump może żywić do Karola Nawrockiego, jak ma on traktować poważnie polskiego prezydenta, jeśli ten nie ma dla niego innych rad niż życzenie mu pogonienia Rosjan, jak ongiś Polacy pogonili bolszewików pod Warszawą, i w ogóle odradza mu dogadywanie się z Putinem, bo to przecież kłamliwy czekista, jeśli nie zło wcielone? Te godne pożałowania dziecinady trzeba skorygować na samym początku tej niepozbawionej nadziei i potencjału prezydentury lub przestać trudzić się dyplomacją, jeśli odczuwa się nieprzezwyciężalny wstręt do tego, co jej nieodzownie towarzyszy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

Wielka nagonka

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Dziennikarze sympatyzujący z obecną władzą nie odpuszczają prezydentowi Karolowi Nawrockiemu, a internauci, nie ucząc się na błędach z kampanii, atakują siedmioletnią córkę Nawrockich, Kasię. Pierwsza rodzina od początku jest wystawiona na bezprecedensowe ataki

Jest taka maskotka, która zrewolucjonizowała świat i wszyscy chcą ją mieć. Ona się nazywa Labubu. Ja byłam na wakacjach i coś tak podejrzewałam, że w tym orędziu [wygłoszonym przez Karola Nawrockiego w Sejmie 6 sierpnia – przyp. red.] coś mi brzmi znajomo, to wykonałam takie zestawienie. Niech państwo zobaczą, że podobieństwo jest trudne do przegapienia między naszym prezydentem a maskotką Labubu – ogłosiła z rozbawieniem Katarzyna Kasia, współprowadząca zbierający wiele negatywnych recenzji program satyryczny w TVP Info „Kwiatki Polskie". Następnie zaprezentowano fotomontaże – Nawrocki jako potworek Labubu na wakacjach, pod palmami, w brązowym wdzianku z walizką. – Każda pani powinna mieć takiego przy torebce – dodała Kasia.

Coś, co miało być chyba w założeniu lekką satyrą polityczną (i oczywiście wbiciem szpilki nielubianemu politykowi), wywołało falę oburzenia. „Przecież mamy do czynienia z rozkręcaniem przemysłu pogardy w wersji 3.0. Adepci sztuki, których zgromadziła TVP, bez wytchnienia będą ten przemysł rozwijać. Widocznie takie mają zadanie" – skomentowała zniesmaczona Marzena Paczuska, członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Konrad Wernicki z „Tygodnika Solidarność" napisał: „Nie dziwię się, że nikt tego nie ogląda". Były rzecznik Policji Mariusz Ciarka zauważa: „Jest to zwyczajnie nieeleganckie ze strony publicznej telewizji – te wypo-

eprasa.pl ace439ea40

Po zaprzysiężeniu rodzina Nawrockich – prezydent, jego żona Marta oraz dwoje dzieci (siedmioletnia Kasia i 15-letni Antek; najstarszy Daniel mieszka już „na swoim") – zamieszkali w Belwederze

FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

wiedzi i w tle sztuczny śmiech mają charakter lekceważący Głowę Państwa, a nawet poniżający". W marcu tego roku prowadzący program, Katarzyna Kasia i Grzegorz Markowski, zostali wyróżnieni w plebiscycie Wirtuale 2025, otrzymując nagrodę w kategorii „osobowość medialna roku". Plebiscyt zorganizował branżowy portal Wirtualne Media.

„KRYTYCZNE LATA WALKI"

Szerokim echem odbił się w mediach społecznościowych także materiał serwisu informacyjnego TVP „19.30", w którym w charakterystyczny dla przedstawicieli metody „łączenia kropek" sposób (jak np. Tomasza Piątka) kolejny raz uderzono w Nawrockiego. „Trzymajcie się, bo absolutne kino. TVP zrobiło reportaż o sabotażach rosyjskich. Zgadnijcie, z kim to powiązali… Tak, z Nawrockim, który zna się z Wielkim Bu, który to został prawie pobity przez kogoś, kto pracował na rzecz rosyjskiego wywiadu" – nie dowierzał jeden z internautów. – Środowisko Karola Nawrockiego tłucze się między sobą. To przerażająco brzmi, że głowa państwa może mieć kontakt z takimi bandziorami – oburzał się w materiale poseł KO Adrian Witczak.

Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego media publiczne częściowo przemilczały. Zamiast uroczystości w Sejmie TVP1 nadawała 6 sierpnia rano... jeden z odcinków serialu o policyjnym psie pt. „Komisarz Alex". To, jak wielka nagonka na prezydenta Nawrockiego ze strony mediów publicznych czeka nas w najbliższym czasie, dobrze oddają słowa Doroty Wysockiej-Schnepf. Otwierając swój program „Niebezpieczne związki", ogłosiła: – Od wczoraj prezydentem Polski jest Karol Nawrocki. Przed nami dwa krytyczne lata walki o przyszłość naszego kraju.

Bezczelnie clickbaitowy, sugerujący złamanie przez nowego prezydenta prawa tytuł zastosował portal Business Insider. „Pięć lat bez kierownicy. Zakaz prowadzenia auta dla Karola Nawrockiego" – czytamy. Czyżby Nawrocki stracił uprawnienia w wyniku złamania prawa? Nie, jednak o przyczynach dowiadujemy się dopiero z dalszej części tekstu. „To efekt niepisanej, lecz ściśle przestrzeganej procedury. Służba Ochrony Państwa (SOP) przejmuje pełną kontrolę nad transportem prezydenta, zapewniając mu bezpieczeństwo na najwyższym poziomie" – wskazano.

NIE OSZCZĘDZONO NAWET DZIECKA

Po zaprzysiężeniu rodzina Nawrockich – prezydent, jego żona Marta oraz dwoje dzieci (siedmioletnia Kasia i 15-letni Antek; najstarszy Daniel mieszka już „na swoim") – zamieszkali w Belwederze. W planach jest przeprowadzka do Pałacu Prezydenckiego na Krakowskim Przedmieściu, jednak dopiero po remoncie prezydenckich apartamentów. – Powiedzmy sobie szczerze, po 10 latach naszego mieszkania w apartamencie w Pałacu Prezydenckim on wymaga odświeżenia. Ten proces na pewno chwilę potrwa – zapowiadał Andrzej Duda. Już pierwsze godziny pobytu Nawrockich w Belwederze wywołały medialną furię. Najpierw Karol Nawrocki, czym wzbudził zaniepokojenie swoich ochroniarzy, wychylił się z okna, aby pomachać sympatykom czekającym przed bramą wjazdową. Prezydent pokazał się w stroju domowym – białym podkoszulku z podwiniętymi rękawami. Obiecał, że za pół godziny wyjdzie, i obietnicy dotrzymał. – Będę wychodził za pół godziny – oświadczył, zwracając się do zgromadzonych.

Następnie rodziny pary prezydenckiej zjawiły się w posiadłości, co „Super Express" opisywał w następujący sposób: „Wpaść na wizytę do zięcia do pałacu? Marzenie. Tym bardziej jeżeli tym pałacem jest historyczny Belweder. Państwo Smoleń, czyli teściowie Karola Nawrockiego, złożyli już taką wizytę i nie omieszkali rozejrzeć się po wspaniałej rezydencji. Podobnie zrobili wujek prezydenta, Waldemar Nawrocki, znany już trener boksu, i jego żona, którą wypatrzyliśmy na balkonie. Rodzina nowego prezydenta – zarówno ta najbliższa, jak i trochę dalsza – będzie miała więcej takich atrakcji. Głowa państwa dysponuje przecież całą gamą rozsianych po Polsce rezydencji. Od wspaniałego ośrodka w Juracie na Helu, przez dostojny dworek w Ciechocinku, aż do prezydenckiego zamku w Wiśle! Na naszych zdjęciach widać, że doskonale zaaklimatyzowała się w nowym domu również córka Kasia. Dziewczynka, korzystając z doskonałej pogody, jeździła na hulajnodze. I wyglądała na bardzo szczęśliwą".

Nie wszyscy jednak podzielają entuzjazm tabloidu. „W Belwederze zawitał »Świat według Kiepskich«. Na naszych oczach powstają kolejne odcinki, ot taka rewolucja kulturowa. Czekam, aż na tych balkonach zawisną gacie i biustonosze, w końcu to normalne i nie ma się na co oburzać. Czy status człowieka może wpływać na to, co jest dozwolone?"; „To nie jest działka pod Białymstokiem, to jest Belweder. Jeśli rodzice chcą na powietrze, mają ogrody i balkony na tyłach. Frontowe okna i balkony nie są miejscem na prywatne pogaduszki prywatnych osób i żula w żonobijce"; „Belweder to nie dom prywatny. Tutaj obowiązują zasady. Rodzina przyzwyczajona do wyjścia na balkon w bloku może skorzystać

eprasa.pl ace439ea40

Karol Nawrocki wychylił się z okna Belwederu, aby pomachać sympatykom czekającym przed bramą wjazdową FOT. WPOLSCE24.TV

z ogrodu za budynkiem. I cieszyć się prywatnością. A my będziemy cieszyć się brakiem wstydu" – to niektóre z internetowych komentarzy.

Sieć zalała fala niecenzuralnych wpisów i wyzwisk. Nie oszczędzono nawet dziecka. Według samozwańczych, anonimowych ekspertów Kasia Nawrocka jest zaniedbywana przez rodziców: „Pracowałem z zaburzoną młodzieżą. Mnie Kasia Nawrocka nie rozbraja, tylko sygnalizuje mi poważne zaniedbania (medyczne, emocjonalne, wychowawcze) ze strony rodziców". Niedawno media lifestyle'owe rozpisywały się o zakupach żony i córki prezydenta. „Mała Kasia szczególnie upodobała sobie dużą maskotkę Sticha z popularnej bajki »Lilo i Stich« i chciała zabrać ją ze sobą do sklepu. Ostatecznie pluszak trafił jednak do państwowej limuzyny, gdzie poczekał na dziewczynkę. Mama i córka odwiedziły znany sklep z zabawkami. Jak udało się ustalić, pierwsza dama wybrała m.in. plastikowy pojemnik na klocki, który kosztował niecałe 100 zł. W ich koszyku znalazł się również duży zestaw klocków, choć nie wiadomo dokładnie, ile za niego zapłaciły. Według cennika dostępnego na stronie sklepu ceny podobnych zestawów wahają się od 100 do 550 zł" – opisywał Onet.

Politycy koalicji rządowej nie atakują na razie wprost rodziny Nawrockich, być może nauczeni doświadczeniem z kampanii wyborczej, gdy ataków było tak wiele, że zwykłemu Kowalskiemu trudno było się w nich połapać (niektórzy mówili nawet o „efekcie Trumpa"; skoro ktoś jest tak bardzo podgryzany przez mainstream i establishment, to może będzie stał po stronie obywateli). Jednak z pomocą przychodzą różnej maści komentatorzy. Najłatwiejszym celem jest dla nich pierwsza dama. Chociaż w Polsce żona prezydenta ma odprowadzane jedynie składki emerytalne i zwyczajowo rezygnuje z pracy zawodowej (tak zrobiła Marta Nawrocka, przez lata funkcjonariuszka Służby Celno-Skarbowej), to staje się obiektem dogłębnej analizy i najczęściej krytyki.

Ekspert do spraw wizerunku Maurycy Seweryn w rozmowie z „Faktem" nie pozostawił na żonie Nawrockiego suchej nitki, choć od zaprzysiężenia minęły zaledwie trzy tygodnie. „Na tym etapie nadal uważam, że pierwsza dama, podobnie jak pani Agata Duda, wpisuje się w rolę żony przy mężu. Ta rola nie musi oznaczać, że będzie codziennie, krok w krok, tam, gdzie jest pan prezydent. Odwiedziła Cmolas, spotkała się z bardzo sympatycznym prezydentem Stalowej Woli, Lucjuszem Nadbereżnym, założyła fartuszek na elegancką kreację i gotowała z seniorkami. To wciąż wpisuje się w schemat troskliwej, gotującej, opiekuńczej żony" – ocenia z wyraźnie pobrzmiewającą wyższością. Dalej zaznacza, że prawdziwa ocena Nawrockiej będzie możliwa tylko wtedy, gdy pokaże ona swoją osobowość. „Trzeba zaczekać na pierwszą deklarację, która będzie nie po myśli męża i nie wpisze się w system wartości PiS czy Konfederacji. Inaczej jej działania pozostaną symboliczne, nastawione głównie na ocieplenie wizerunku pana Karola Nawrockiego" – podkreśla Maurycy Seweryn.

Ekspert kreśli raczej negatywną wizję pełnienia funkcji pierwszej damy przez 39-latkę. „Może się okazać, że nawet jeśli się wypowie, to nadal będzie to pozycja żony popierającej męża. Nie chodzi o buntowanie się, ale o wyrażanie własnych opinii albo wspieranie konkretnych działań, które inicjują grupy interesu: NGO, lobby, kościoły, obywatele. Chodzi o to, by mieć zdanie i je wyrazić" – podsumował.

Wystarczającym powodem do krytykowania świeżo upieczonej pierwszej damy są jej stroje. Na uroczystość z okazji Święta Wojska Polskiego Nawrocka wybrała elegancki garnitur w odcieniu beżu. Według stylistki Ewy Rubasińskiej-Ianiro czegoś w tej stylizacji zabrakło. – To nie my wybieramy pracę, to praca wybiera nas. W przypadku nowej pierwszej damy widać to jak na dłoni. Sentyment do poprzedniego miejsca pracy przełożył się na modową narrację z wyraźnym militarnym minimalizmem w tle. Od początku było jasne, że będzie inaczej niż za poprzedniczki – bardziej rzeczowo, aktywnie, dynamicznie. I że do stylizacji wkradnie się męski pierwiastek, patrząc na charakter pani Nawrockiej. Mundury są szyte z chirurgiczną precyzją, bo od tego, jak prezentuje się żołnierz, zależy nie tylko jego autorytet, lecz także morale całej formacji. Tu zabrakło tego krawieckiego rygoru – komentowała w rozmowie z Plejadą.

Rubasińska-Ianiro zwróciła uwagę na karnację pierwszej damy. – Daje wrażenie lekkości i świeżości, ale w dress codzie obowiązuje żelazna zasada: odcień musi być dopasowany do karnacji. Źle dobrany sprawia, że twarz wygląda na zmęczoną, a detale stroju tracą ostrość. Przy tak jasnej tonacji wszystkie niedociągnięcia w kroju i brak proporcji widać jak na dłoni – stwierdziła ekspertka.

Z badania SW Research dla Onetu wynika, że aż 49,6 proc. ankietowanych za najlepszą pierwszą damę uważa Jolantę Kwaśniewską. Na drugim miejscu jest Maria Kaczyńska – na tragicznie zmarłą pod Smoleńskiem żonę Lecha Kaczyńskiego wskazało 14,1 proc. Trzecia Agata Kornhauser-Duda zdobyła 6,7 proc. głosów. Czy Marta Nawrocka ma szansę podbić polskie serca i choćby zbliżyć się do sympatii, którą szczególnie w kręgach lewicowo-liberalnych darzona jest Kwaśniewska? Wszystko przed nią, choć pierwsze tygodnie urzędowania nowego prezydenta oraz reakcje mediów na „rodzinę prezydencką" nie wróżą Nawrockiej medialnej „kariery".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

SZLACHTA – PRAWDA VS MITY

Jacek Komuda o dumie Rzeczypospolitej – Stan szlachecki stworzył podstawy współczesnej kultury polskiej. Czy mamy herby czy nie – wszyscy jesteśmy duchowymi potomkami obywateli, którzy założyli dawną Rzeczpospolitą

Białe imperium z Medellín – Zabójstwo polityczne, które właśnie wstrząsnęło Kolumbią, przypomniało jej obywatelom o terrorze, który lata temu rozpętał w ich ojczyźnie Pablo Escobar

„Trupie główki" idą w ogień – Dywizja SS-Totenkopf uchodziła za najbardziej fanatyczną i zarazem najlepszą jednostkę w niemieckich siłach zbrojnych

Błyskawice i „jajka" – Żołnierze AK walczący w Warszawie dokonywali prawdziwych cudów, by zdobyć uzbrojenie i naboje. Czasem, na skutek niemieckich błędów, w ich ręce wpadały prawdziwe „skarby"

Rzeki krwi i atramentu – Zdobycie przez Mongołów Bagdadu było największą tragedią w dziejach islamu

Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima – Po aferze z „Konduktem" Salon wyklął Bohdana Drozdowskiego. Odtąd jego książki z rzadka doczekiwały się recenzji, milczano nawet o tych tytułach, które osiągały sukces czytelniczy

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ace439ea40

Z ks. Jarosławem Wąsowiczem, salezjaninem, kapelanem Prezydenta RP
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zdradza się tylko raz

RYSZARD GROMADZKI: Długo się ksiądz zastanawiał nad propozycją zostania kapelanem prezydenta Karola Nawrockiego?

KS. JAROSŁAW WĄSOWICZ: Był to dla mnie wielki zaszczyt. Przemodliłem tę propozycję. Ostatecznie za zgodą moich przełożonych, na prośbę prezydenta, podjąłem się posługi bycia jego kapelanem.

Bycie kapelanem prezydenta RP to z pewnością nowe wyzwanie duszpasterskie dla księdza?

Nowe, bo przez ostatnie ponad 20 lat byłem dyrektorem archiwum salezjańskiego, pracowałem naukowo, prowadziłem wiele akcji na rzecz dzieci i młodzieży z naszych dawnych Kresów. Oczywiście prowadziłem też normalne duszpasterstwo salezjańskie. Jak powszechnie wiadomo – organizowałem również pielgrzymki kibiców na Jasną Górę.

Rzeczywiście tych aktywności było bardzo wiele. Część z nich będzie teraz trzeba zrewidować. Mam nadzieję, że pan prezydent pozwoli mi realizować te projekty, które uważam za bardzo ważne, jak promocja patriotyzmu wśród dzieci i młodzieży, kultywowanie pamięci o naszych bohaterach, akcję „Serce dla »Inki«" czy aktywności adresowane do polskich dzieci na Litwie, Ukrainie, Białorusi. W tym roku gościliśmy także dzieci z Naddniestrza w Mołdawii. Mam nadzieję, że wszystkie te obowiązki uda mi się pogodzić.

Funkcja kapelana prezydenta to posługa duchowa w Pałacu Prezydenckim, a nie – tak jak się wielu wydaje, jak można poczytać w sensacyjnych artykułach – funkcja polityczna. Oprócz tego, że jestem naukowcem i działaczem społecznym, przede wszystkim jestem księdzem. Pan prezydent oczekuje ode mnie posługi duchowej, czyli sprawowania sakramentów, opieki nad kaplicami prezydenckimi, udziału w uroczystościach religijnych. To wszystko będę się starał wypełniać jak najlepiej.

Będzie ksiądz jako „proboszcz Pałacu Prezydenckiego" codziennie sprawował w tym miejscu Mszę Świętą?

Dokładny zakres moich obowiązków będę ustalał jeszcze z panem prezydentem. Rzeczywiście, w czasie ostatniej kadencji prezydenta Dudy Msza Święta była codziennie sprawowana w pałacowej kaplicy. Dużo zależy od aktywności głowy państwa. Na pewno każdego dnia, w którym będę w Warszawie, będę sprawował Mszę Świętą – czy to w Pałacu Prezydenckim, czy Belwederze. Z całą pewnością będzie tak w każdą niedzielę.

W orędziu, które prezydent Nawrocki wygłosił w dniu zaprzysiężenia, jednym z najczęściej powtarzanych słów było słowo „służba". To – jak się domyślam – także słowo klucz do misji, której ksiądz się podjął?

Myślę, że to niezwykle trafne postrzeganie jakiejkolwiek misji społecznej, dotyczące nie tylko prezydenta sprawującego najwyższą godność w państwie, lecz także parlamentarzystów czy członków rządu. Każdy, komu zostaje powierzone ważne zadanie, powinien traktować to jako służbę, a nie dobrą okazję do tego, żeby realizować swoje ambicje. To rzecz fundamentalna, o której zawsze warto mówić. Bardzo się cieszę, że pan prezydent w ten sposób określił swoje zadania i zarysował swoją prezydenturę jako służbę narodowi.

Oczywiście ja też postrzegam zadanie, które zostało mi powierzone, jako służbę. Zresztą moje powołanie kapłańskie, zakonne, salezjańskie, całe moje życie jest służbą. Cieszę się, że również w taki sposób będę mógł się realizować w Pałacu Prezydenckim, u boku prezydenta Karola Nawrockiego, jego rodziny i najbliższych współpracowników.

W przeszłości był ksiądz wielokrotnie atakowany przez środowiska lewicowe i liberalne w związku ze swoją działalnością wśród kibiców. Nazywa się księdza „duszpasterzem kiboli", przypisuje faszystowskie sympatie i związki ze światem przestępczym. Teraz, w związku z misją, której się ksiądz podjął, te ataki mogą być jeszcze bardziej bezpardonowe.

Każda służba jest usłana cierniami i tak wygląda nasza droga do Nieba. Obok dni, w których doświadczamy radości i dowodów sympatii, są też te pełne upokorzeń ze względu na naszą wierność Panu Jezusowi, jeśli te ataki związane są z takim, a nie innym odczytywaniem mojej posługi, w różnych środowiskach, jako salezjanina. Co podkreślam, bo jesteśmy zgromadzeniem ze szczególnym charyzmatem. Zgromadzeniem, które w drugiej połowie XIX w. założył św. Jan Bosko, pochylając się nad najbardziej zaniedbaną młodzieżą. Starał się on dać im nadzieję na to, że mogą zmienić swoje życie. I to mu się rzeczywiście udawało. Nieraz przestępców, hersztów band ulicznych złodziei przemieniał w dobrych ludzi, poprzez swoją ciężką pracę wychowawczą, poprzez świadectwo tego, że kocha każdego i z szeroko otwartymi ramionami, jak w przypowieści o synu marnotrawnym, czeka na to, aby razem z nim zmieniali swoje życie.

Od lat przyzwyczajony jestem do ataków na siebie. Zresztą te artykuły, które pojawiły się w ostatnim czasie, oparte są na tej samej narracji o zdjęciach z takimi, a nie innymi ludźmi, o tym, że organizuję pielgrzymki kiboli. Przykre jest to, że większość autorów tych artykułów porusza się w swojej bańce. Ciągle powtarzane są te same, nazwijmy to, „newsy", choć czasami zdarzają się tacy dziennikarze, którzy potrafią spojrzeć szerzej na

eprasa.pl ace439ea40

moją dotychczasową aktywność salezjańską, z której jestem dumny.

Dziękuję Panu Bogu, że pozwolił mi przez te wszystkie lata móc być i z kibicami, i służyć w różnych środowiskach patriotycznych, uczestniczyć w wielu niezwykłych inicjatywach, które często przywracają ludziom nadzieję. Tak postrzegam swoją posługę kapłańską i tyle.

Te wszystkie ataki sprowadzają się do jakichś wydarzeń, które często wyrwane są z kontekstu. Można by długo na ten temat rozmawiać. Najśmieszniejsze jest to, że nazywa się mnie neofaszystą, a znaczną część mojej aktywności naukowej poświęciłem badaniom nad niemieckimi zbrodniami w Polsce czy nad martyrologią duchowieństwa polskiego. Przez wiele lat byłem postulatorem w procesach beatyfikacyjnych polskich męczenników drugiej wojny światowej, więc tego typu inwektywy nijak mają się do rzeczywistości.

Na czym polega fenomen środowiska kibicowskiego w Polsce? Nie idealizując naiwnie kibiców, widzi ksiądz jakąś analogię między ich patriotyzmem a patriotyzmem batalionów harcerskich z okresu drugiej wojny światowej? To echo tego samego dziedzictwa?

Myślę, że tym wspólnym echem jest umiłowanie ojczyzny i wartości, które przez lata kształtowały poczucie naszej narodowej więzi. To jest fundament. Oczywiście można porównywać różne pokolenia młodzieży przynajmniej od czasów, kiedy straciliśmy niepodległość. Młodzi ludzie zawsze stawali w pierwszym szeregu – czy to w powstaniach narodowych, czy walcząc w wojnie polsko-bolszewickiej, organizując się w „Szare Szeregi" w czasie drugiej wojny światowej, czy jako Żołnierze Wyklęci podejmując straceńczą walkę z sowieckimi okupantami. Wystarczy wspomnieć, że Danuta Siedzikówna „Inka", ikona tego pokolenia, nie miała 18 lat, kiedy komuniści dokonywali na niej egzekucji w gdańskim więzieniu. Ten polski gen wolności udaje się przenosić na kolejne pokolenia.

W środowisku kibicowskim jest coś takiego, że starzy kibice starają się przekazywać młodym kibicom pewne zasady środowiskowe. Być może nie są one do końca zrozumiałe dla postronnych, ale zawierają reguły które pomagają funkcjonować w życiu. Szczególnie kiedy komuś przydarzy się coś złego. Hasła „Nigdy nie będziesz sam" czy „Zdradza się tylko raz" autentycznie przemawiają do wielu kibiców

To coś na kształt „kibicowskiego kodeksu honorowego"...

Tak, to dla nich kodeks honorowy, który pomaga funkcjonować w życiu. To dzieje się cały czas. Obserwuję to z perspektywy ponad 40 lat jako kibic Lechii Gdańsk.

Jeżeli tak długo kibicuje ksiądz Lechii, to muszę postawić to pytanie. Był ksiądz na legendarnym meczu Lechii Gdańsk z Juventusem we wrześniu 1983 r.? Lechia występowała wtedy w II lidze, ale dzięki zdobyciu Pucharu Polski zmierzyła się z turyńskim Juventusem, który miał w składzie prawie komplet włoskich mistrzów świata z 1982 r., wzmocnionych wielkimi gwiazdami tamtych lat, czyli Francuzem Michelem Platinim oraz Zbigniewem Bońkiem. Sam mecz był wielką manifestacją poparcia dla Solidarności.

Byłem wtedy dzieckiem, ale na meczu oczywiście byłem. To najważniejsze wydarzenie w historii Lechii. Ten mecz był niezapomniany nie tylko z powodu obecności w Gdańsku największych gwiazd futbolu. Był przede wszystkim polityczną manifestacją, którą udało się zorganizować. Na meczu pojawił się Lecha Wałęsa, który w tamtych czasach był symbolem Solidarności i tego, że nie udało się jej zdławić siłą. Mecz transmitowały zachodnie stacje telewizyjne. Dzięki temu wielka manifestacja poparcia dla Solidarności na gdańskim stadionie poszła na cały świat.

Udało mi się wykupić od telewizji włoskiej nagranie, które było częścią transmisji z Gdańska. Był to niezwykły zapis, bo włoscy kamerzyści skupili się raczej na pokazywaniu Wałęsy i kibiców skandujących: „Solidarność" niż samego meczu. Ten wyjątkowy mecz trzeba widzieć w całym cyklu wydarzeń, które miały miejsce od sierpnia 1980 r. Już wówczas, podczas wyjazdowego meczu z Wisłą Płock, kibice Lechii kolportowali na stadionie ulotki, że w Stoczni Gdańskiej trwa strajk. Trzeba pamiętać, że młodzi kibice Lechii należeli do organizatorów strajków w maju i sierpniu 1988 r. Wówczas po meczu z Górnikiem Wałbrzych w maju tamtego roku wszyscy kibice obecni na stadionie udali się manifestacyjnie pod stocznię. Z kolei w sierpniu strajki wspierała spora grupa kibiców Śląska Wrocław zaprzyjaźnionych z Lechią.

To niezwykłe historie, które pokazują pewien etos – że klub to nie tylko wyniki sportowe, bo akurat Lechia tymi wynikami nie może się za bardzo pochwalić. Jednak udało nam się stworzyć „biało-zieloną rodzinę", środowisko, które ma istotny wpływ na to, co dzieje się w Gdańsku. Chodzi zarówno o pamięć, jak i o walkę. Kiedy trzeba przypomnieć, że Gdańsk to miasto wolności, kibice Lechii zawsze stają w pierwszym szeregu.

Donald Tusk pasuje do tej „biało-zielonej rodziny" Lechii Gdańsk?

Chyba nie za bardzo, skoro kilka lat temu na stadionie w Gdańsku został wywieszony transparent: „Nigdy nie byłeś, nie jesteś i nie będziesz kibicem Lechii". Choć kiedy kibicowanie było jeszcze „cool", to sam premier Tusk opowiadał, jak walczył z kibicami Zawiszy na dworcu w Bydgoszczy i sam oceniał siebie jako mocnego kibica z „Młyna", czyli takiej gdańskiej „Żylety". Oczywiście Tusk chodził na mecze Lechii i nadal chodzi, ale niekoniecznie jest dziś akceptowany w środowisku kibicowskim. Tak jak powiedziałem: „Zdradza się tylko raz". Tusk rozpoczął wojnę z kibicami, dlatego nigdy nie będzie przez kibiców Lechii postrzegany jako jej kibic.

Czy pomimo nowych obowiązków będzie ksiądz na Marszu Niepodległości 11 listopada?

Byłem na prawie wszystkich Marszach Niepodległości. Od kilku lat mam zaszczyt prowadzić Różaniec przed marszem, więc oczywiście będę.

Razem z prezydentem?

Mam nadzieję, że będę mógł dalej prowadzić Różaniec, a pan prezydent będzie uczestniczył w marszu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. Jarosław Wąsowicz
– salezjanin, historyk, doktor habilitowany nauk humanistycznych. W okresie PRL działacz Federacji Młodzieży Walczącej. W 2011 r. obronił doktorat na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, nagrodzony I miejscem Europejskiego Centrum Solidarności na najlepszą pracę naukową. W latach 2003–2011 postulator procesu beatyfikacyjnego męczenników drugiej wojny światowej. W latach 2022–2024 członek Rady Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

eprasa.pl ace439ea40

Orlim lotem przez osiem dekad

Piotr Semka

To historia człowieka wywodzącego się z rodziny czerwonej nomenklatury, który mówi bardzo otwarcie na temat niezwykle delikatny. Chodzi o splot żydowskich korzeni z marksistowską wiarą jego rodziców i o jego drogę do antykomunizmu

Józef Orzeł to w warszawskiej panoramie ludzi pasjonujących się polityką postać niezwykle ciekawa. Żyd z komunistycznej rodziny, który od ponad trzech dekad trzyma się po prawej stronie. Człowiek, który przez całe życie musiał zmagać się z wypominaniem mu swoich rodzinnych korzeni i który przeszedł długą drogę do nawrócenia na katolicyzm. Szara eminencja, postrzegana jako zausznik Jarosława Kaczyńskiego, ale z „naczelnikiem z Nowogrodzkiej" co rusz się wadząca i kłócąca.

Ktoś posądzany o wieczne polityczne spiskowanie i ktoś, kto bardzo często łapie się za głowę, gdy politycy, którym dobrze życzy, postępują dokładnie inaczej, niż on im doradza. A przy okazji świadek historii, który w przyszłym roku ukończy 80 lat.

„To moja pierwsza książka i mam nadzieję, że nie ostatnia – o (zaplanowanych) następnych napisałem na końcu tej. A ta po co? Po co pisać pierwszą książkę, gdy ma się 78 lat? Co chcę Czytelnikowi opowiedzieć? Że można być pogodnym, pomimo tego że życie bywa ciężkie.

eprasa.pl ace439ea40

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Że można się pośmiać, pokochać, pogadać z dziećmi i przyjaciółmi. Zjeść coś z nimi, a czasami wypić (in vino veritas). Zostawić ślad. Zawierzyć Bogu, nawet jeśli dopiero po sześćdziesiątce. Podzielić się sercem i historyjkami, może się przydadzą, rozśmieszą, pozwolą pomyśleć, a może i zrobić coś pożytecznego" – wyznaje bohater książki „Orle gniazdo", którego wysłuchała, spisała i którego słowa opracowała niezwykle pracowita Bogusława Radziwon.

Józef Orzeł swoje wspomnienia nazywa skromnie historyjkami, ale śmiem twierdzić, że to książka nietuzinkowa. To historia człowieka wywodzącego się z rodziny czerwonej nomenklatury, który mówi bardzo otwarcie na temat niezwykle delikatny. Chodzi o splot żydowskich korzeni z marksistowską wiarą jego rodziców i o jego drogę do antykomunizmu. Większość takich opowieści to domena szeroko rozumianego środowiska „Gazety Wyborczej". Po prawej stronie opowieści o dylematach dzieci z rodzin „żydokomuny" podjął się Antoni Zambrowski, który na przełomie lat 80. i 90. rozmawiał z moim redakcyjnym kolegą, Piotrem Gabryelem.

Książkę „Orle gniazdo" warto też przeczytać choćby dlatego, że niesłychanie ciekawie oddany został w niej klimat karnawału Solidarności z lat 1980–1981. Wbrew pozorom nie ma zbyt wielu interesujących wspomnień na temat tego okresu.

I wreszcie trzecia najważniejsza część książki. To okres wyłaniania się dwóch obozów: okrągłostołowego, do którego dołączył potem Donald Tusk, i politycznej alternatywy, którą wykreował Jarosław Kaczyński. Im bliżej naszych czasów, tym Orzeł coraz bardziej się dystansuje od oceniania aktualnej polityki. Jednocześnie dzieli się z nami wiedzą o wielu aktualnych tajemnicach politycznych. A że jest człowiekiem, który także o dzisiejszych tajemnicach polskiej polityki wie bardzo dużo, to można odnieść wrażenie, że na razie wiele z kulis politycznych procesów woli zachować dla siebie. Może ujawni je w jakiejś kolejnej edycji swoich wspomnień. Ale pewnie będzie to w sytuacji, w której naprawdę uzna, że już stoi nad grobem, bo jak dotąd żywotności i przenikliwości intelektu mogłoby mu zazdrościć wielu 40-latków.

SZABASOWA SZYNKA

„Bardzo mało wiem o swojej rodzinie, o przodkach. Rodzice, Ruta i Adam (właściwie Abram, po wojnie ojciec zmienił imię na polskie na mocy rozporządzenia premiera Cyrankiewicza), byli komunistami już jako nastolatkowie". Tak zaczyna się rozdział o nazwie „Komuniści prawie od dziecka".

Oboje rodzice pochodzili z ubogich dzielnic żydowskich w Kutnie. Zbuntowali się dość szybko przeciw religijnym normom tamtejszej wspólnoty żydowskiej i jako środek do kontestacji wybrali ideologię komunizmu. W takich miasteczkach jak Kutno młodzi dusili się w warunkach braku perspektyw i niezwykle ostrej konkurencji w handlu między sobą oraz z Polakami. Tak zaczęła się typowa dla komunistów z rodzin żydowskich w tamtych latach kariera. Najpierw Związek Młodzieży Komunistycznej, potem awans do „dorosłej" Komunistycznej Partii Polski i wreszcie międzywojenny czas odmierzany kolejnymi wyrokami więzienia. Bardzo charakterystyczne dla tamtego okresu były też decyzje, takie jak ta podjęta przez babcię Józefa Orła, która w 1936 r. wyjechała do Palestyny. Chciała zabrać ze sobą ojca autora książki, ale ten z oburzeniem odmówił. Nie chciał budować komunizmu w Palestynie. Jego ambicją było robienie tego w Polsce.

Orzeł wspomina, jak jego ojciec z lubością demonstrował swoje zerwanie z tradycją żydowską. Gdy dostał pierwszą tygodniówkę – i to akurat w piątek – kupił za nią szynkę. Przyszedł do domu i na stół, na którym stały żydowskie szabasowe potrawy, rzucił ją zawiniętą w papier. Był dumny ze swojej odwagi i niekonwencjonalności, nawet nie rozumiejąc, jaki ból sprawił najbliższym.

Jak pisze Orzeł, ojciec po wybuchu wojny chciał przetrwać w stolicy, ale szantażowany przez szmalcowników żądaniami okupu przedostał się przez zieloną granicę na teren zaboru sowieckiego. Władze sowieckie wysiedliły go na Krym, a potem powołały do Armii Czerwonej. Paradoksalnie z jej szeregów zwolniono go w myśl urzędowego sowieckiego nakazu, że wszyscy byli polscy obywatele mają iść do armii Władysława Andersa. A że ojciec jako dobry komunista uparł się, że do burżuazyjnej armii nie pójdzie,

JÓZEF ORZEŁ OPOWIADA BOGUSŁAWIE RADZIWON „ORLE GNIAZDO" WYDAWNICTWO ZONA ZERO, WARSZAWA 2025

eprasa.pl ace439ea40

wysłano go na Syberię, gdzie łowił ryby w rzekach płynących przez tajgę. W trakcie długiego powrotu rodziców do Polski matka była już w ciąży. W rezultacie Józef Orzeł przez cały okres PRL nosił w dowodzie wpis: urodzony 26 lutego 1946 r. w Charkowie (ZSRS).

CZERWONE DZIECIŃSTWO

Powojenne losy ojca wpisują się we wszelkie stereotypy na temat ówczesnych losów żydowskich komunistów. Jak pisze autor: „Jeszcze w 1946 roku przyjechała [do Poznania, gdzie ojciec był aktywistą partii komunistycznej] jakaś dama z Warszawy i oznajmiła, że na rozkaz Stalina wszyscy towarzysze żydowscy pracujący w partii mają przenieść się do UB, czyli Urzędu Bezpieczeństwa. No i ojciec to zrobił".

Było to zresztą powodem zgryzot nastoletniego Orła, który długo bał się, że jego ojciec krzywdził ludzi, ale jak się okazało z papierów w IPN, Adam Orzeł został zatrudniony w dziale szkoleniowym. Konkretnie uczył historii w kole bezpieki w Legionowie. Zwolnili go w 1964 r. za wyjazd do Izraela (chciał spotkać się z rodziną) i, o dziwo, za komunistyczny idealizm. Kiedy w tym czasie dochodziło do incydentów granicznych między komunistycznymi Chinami a ZSRS, ojciec przekonywał wszystkich, że tylko zgoda między tymi państwami zagwarantuje pokój na świecie. Uznano to za ekstrawagancki optymizm i brak solidarności z towarzyszami sowieckimi. Notabene te zajęcia ojca w Legionowie odbijały się potem czkawką po wejściu młodego Orła na ścieżkę dysydencką.

„Gdy mnie zatrzymywała esbecja, to pierwsze ich zdanie zawsze było takie samo: »My tu wszyscy uczniowie pańskiego ojca, takiego porządnego człowieka, a pan co, nie wrodził się w ojca?«".

KIM JESTEM?

Kapitalny jest zapis Józefa Orła, jak powoli odkrywał swoją żydowską tożsamość, a jednocześnie jak dochodził do wniosku, że droga ideowa jego rodziców była totalną pomyłką. Młody Józek już jako dziecko odkrył antagonizm między dziećmi ze swego własnego wojskowo-milicyjnego bloku przy warszawskiej ulicy Madalińskiego a ferajną z pobliskiego, dużo większego, osiedla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Musiał zadać sobie pytanie, skąd tak duża wrogość tamtych dzieci do dziatwy z jego osiedla. Kolejną obserwacją, że z jego rodziną jest coś nie tak, była też różnica reakcji w domu i poza domem na śmierć Józefa Stalina w marcu 1953 r. W jego szkole po tym, jak nauczycielka powiedziała, że nie żyje Stalin, nikt nie był zmartwiony, wręcz przeciwnie. Za to rodzice w domu cicho płakali.

Matką chrzestną Józefa Orła została Małgorzata Bryll, żona poety Ernesta Brylla

Niedługo potem na podwórku jeden z jego kumpli oznajmił beznamiętnym tonem, jakby stwierdzając oczywistość: „Jesteś Żydem". Józef Orzeł był zdumiony: „Usłyszałem to pierwszy raz w życiu. W domu nikt nigdy nie powiedział, że mamy coś wspólnego z Żydami. Nikt mi też tego nie powiedział ani na ulicy, ani w szkole". Z kolei gdy wraz z ojcem odwiedził babkę w Izraelu, jego tamtejsi krewni byli zdumieni, że w rozmowie zadeklarował, iż jest Polakiem. Cała izraelska rodzina zaczęła namawiać młodego Józka, aby został, a on z kolei dziwił się, dlaczego miałby opuścić Polskę i osiąść w obcym kraju, gdzie obcy ludzie mówią w obcym języku.

Gdy w końcu zapytał rodziców, dlaczego oni płakali po Stalinie, a w szkole nikogo to nie martwiło, rodzice próbowali mu coś wytłumaczyć, ale jedyne, co zrozumiał, to to, że mówią nieprawdę i że coś z tym Stalinem jest jednak nie w porządku. „Zrozumiałem, że prawdy nie ma w moim domu, tylko w innych" – wspomina. Tak samo zawsze działały mu na nerwy komunistyczne pieśni, które narzucano mu w szkole. Z tym większym zdumieniem odkrył, że gdy w końcu lat 60. zaczął bywać na prywatkach w środowisku „komandosów", śpiewali oni te same piosenki, co kiedyś dzieci na komunistycznych koloniach, które sam pamiętał. Szczególnie chodziło o piosenki z hiszpańskiej wojny domowej.

Wcześniej już miał swoje zatargi ze środowiskiem przyszłych „komandosów". Jako zapalony brydżysta został zaproszony do studenckiego klubu przy warszawskim oddziale Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, zwanego nieformalnie Klubem Babel. Jak wspomina: „Doznałem bardzo silnych negatywnych emocji. Do głowy przyszła mi nazwa tego, co zobaczyłem i poczułem – »hucpa«, słowo z jidysz, języka, którego nie znałem, czyli arogancka bezczelność, wyższość nad innymi, i wiedziałem, że ludzie, którzy tam siedzą, tacy właśnie są. Nie chciałem tam być. Nie zagrałem w brydża w Klubie Babel i nigdy już tam nie poszedłem".

Czy takie drobiazgi mogły zadecydować o wyborze przyszłej politycznej linii? W warunkach polskich, a szczególnie w warunkach warszawskich – tak. Świadczy zresztą o tym to, że po latach odmówił podporządkowania się Adamowi Michnikowi w opozycyjnym salonie.

Orzeł wspomina: „[Michnik] chciał mnie wyhodować na swojego ludka, w czym był specjalistą. Szukał ciekawych ludzi i ich zagospodarowywał – był kierownikiem kadr opozycyjnej elity. On ją czarował, ona go miała za swojego guru. Była to dyktatura intelektualna. Co Michnik powiedział, było święte. Wyznaczał trendy, zasady, kierunki, autorytety [...]. Ja jestem duchem niezależnym, nie lubię mieć żadnych kierowników".

DRUŻYNA „TYSOLA"

Co spowodowało, że Orzeł został filarem „Tygodnika Solidarność", który po objęciu go w 1989 r. przez Jarosława Kaczyńskiego stał się zaczynem politycznej alternatywy dla obozu Michnika? Na pewno to, że Orzeł poszedł swoją drogą już w trakcie politycznej inicjacji w marcu 1968 r., a potem, po stanie wojennym, związał się z Międzyzakładowym Robotniczym Komitetem Solidarności, który skupiał głównie radykalnych robotników, a nie opozycję wywodzącą się z KOR.

Fenomenem było to, że wokół „Tysola" zgromadziła się nieprawdopodobnie ciekawa konstelacja osobowości. Ich nazwiska są już dzisiaj nieco zapomniane, ale sam często bywałem wtedy w „Tygodniku Solidarność" i nigdy nie zapomnę intelektualnego formatu oraz ciekawości świata takich ludzi jak Piotr Wierzbicki, Andrzej Urbański, Maciej Zalewski, Krzysztof Wyszkowski, Wojciech i Maria Giełżyńscy, Aleksandra Zawłocka, Dorota Macieja.

eprasa.pl ace439ea40

Jarosław Kaczyński jako redaktor naczelny pisma jakoś wpasował się w ten niezwykły zespół. Był dla tych ludzi niezwykle ciekawym analitykiem bieżącej polityki. Jak wspomina Orzeł: „Jarosław, który specjalnie na prowadzeniu gazety się nie znał, organizował kierunek polityczny i pewnie od początku miał projekt, żeby wokół niej zbudować środowisko polityczne. Raz w tygodniu całej redakcji robił wykład o tym, co się dzieje w kraju, jak to rozumieć, jak o tym pisać itd. Dla tych, co się interesowali polityką tak jak ja, to było bardzo interesujące. On widział politykę głębiej niż my, ale dla młodych to było szokujące, bo oni w ogóle z polityką chcieli mieć jak najmniej do czynienia, a jak najwięcej z pisaniem do gazety. Nie dało się tego pogodzić i kiedyś Ola Zawłocka napisała coś, co się Jarkowi bardzo nie spodobało, i to poszło do druku". Jak wspomina Orzeł, Kaczyński chciał ją wyrzucić, ale wszyscy funkcyjni wraz z Orłem powiedzieli, że jeśli to zrobi, to odejdą.

„To był pierwszy raz, kiedy Jarek się zdziwił, po prostu był zszokowany tym, że w błahej według niego sprawie kierownictwo redakcji chce poświęcić swoją karierę, i chyba stracił do nas pełne zaufanie" – czytamy w książce. To krótkie zdanie doskonale tłumaczy zarówno skuteczność Kaczyńskiego w polityce, jak i problemy, które sobie co rusz stwarza. Bardzo często nie rozumie reakcji ludzi, którzy nie chcą ulec jego przemożności i którzy po takim konflikcie często zostają jego przeciwnikami do grobowej deski.

W książce Orzeł przypomina historię dotyczącą mojej skromnej osoby, którą, szczerze mówiąc, zdążyłem już w ogóle zapomnieć. Jak pisze, w tym czasie doszło do meczu towarzyskiego „Tysola" i „Gazety Wyborczej". Tę niecodzienną imprezę Orzeł osobiście zorganizował.

„Mecz się odbył. Przegrywaliśmy po pierwszej połowie 3:0. Szans już nie mieliśmy, ale mieliśmy potencjał. Mianowicie przyjąłem do roboty, pierwszej w ich życiu, dwóch początkujących dziennikarzy z Trójmiasta. Jacka Kurskiego i Piotra Semkę, którzy świetnie grali. Poprzedniego dnia jednak popili i wsiedli nie w ten pociąg co trzeba, musieli się przesiadać i przyjechali pod dobrą datą, ale nie w terminie – akurat na drugą połowę. Strzelili dwie bramki i przegraliśmy mecz tylko 3:2 (Piotrek inaczej mecz pamięta, według niego strzelili z Jackiem tylko jedną bramkę – jest to chyba jedyny przypadek na świecie, żeby po wódce widzieć nie podwójnie, a tylko połowicznie, po czym na placu Teatralnym wspólnie z Gazetą wypiliśmy sporo piwa)". W dzisiejszych realiach to wspomnienie brzmi jak pocztówka z jakiegoś odległego, dawno minionego świata.

Bardzo ciekawy jest w książce opis krótkiej kariery Józefa Orła jako posła Porozumienia Centrum. Bohater książki opisuje, jak Kaczyński wymusił na nim noszenie garnituru i krawata w miejsce uwielbianego przez Orła kompleciku dżinsowo-kurteczkowego. „Jeden Kuroń w Sejmie wystarczy" – orzec miał surowo późniejszy demiurg z Nowogrodzkiej. Ale Orzeł jako niezależny duch postawił się z czasem i Kaczyńskiemu. W 1993 r. odszedł do klubu Polski Program Liberalny, zrzeszającego m.in. posłów Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Tyle że Sejm I kadencji uległ samorozwiązaniu już w maju 1993 r. i krótka kariera poselska Orła się skończyła. Nigdy więcej już nie kandydował, choć jego drogi z Kaczyńskim przez kolejne lata bardzo często się znów zbiegały.

W książce przywołana jest sytuacja, która doskonale tłumaczy zarówno skuteczność Jarosława Kaczyńskiego w polityce, jak i problemy, które sobie co rusz stwarza

Książka pełna jest smakowitych anegdot doskonale pokazujących złożoność zainteresowań Jarosława Kaczyńskiego. Tak Orzeł opowiada o pewnej wspólnej wyprawie w roku 1991 do Gdańska z ówczesnym szefem PC: „Przed samym odjazdem do naszego przedziału weszła piękna, zgrabna pani z walizeczką. I wtedy rzuciliśmy się z Jarkiem, żeby tej pani walizeczkę położyć na najwyższej półce. Jarek jest trochę niższy ode mnie, ale to on zdobył walizkę i ją tam położył". Gdy pani wysiadła w Warszawie, Kaczyński spytał Orła: „Józku, oczywiście nie masz pojęcia, co to była za pani?". Po chwili wyjaśnił, że była to Miss Polonia wybrana latem tamtego roku.

NA DRODZE DO KATOLICYZMU

Ostatni akcent książki to opis drogi przejścia Józefa Orła na katolicyzm. Bohater książki bardzo serio opisuje cztery objawienia na drodze do wiary, czyli ujmując rzecz dokładniej – jak sam stwierdza – do łaski wiary. Gdzie był początek tej drogi?

„W 1952 roku poszedłem do szkoły muzycznej przy Miodowej w Warszawie [...]. Po drodze był kościół kapucynów i jest do tej pory z ruchomą szopką. Wszystkie dzieci w mojej klasie były wierzące i było to absolutnie naturalne. Skoro wszyscy byli wierzący, to ja też! Nie wiem, jak to się stało, ale chodziłem do tego kościoła, a tam zakonnicy rozmawiali ze mną o Bogu, dawali mi książeczki, modlitewniki, obrazki święte. Ja to chowałem w swoim łóżku. Mój dom był niewierzący i komunistyczny, aczkolwiek żydowski nie był. Pewnego razu ojciec znalazł te książeczki, wyrzucił wszystko przez balkon z trzeciego piętra".

Jak pisze Orzeł, o jego drodze w kierunku wiary zdecydowało dwóch kapłanów. „Ksiądz Józef Tischner, który o mnie powiedział, że jestem katolikiem, tylko o tym nie wiem, i święty ksiądz Jerzy Popiełuszko, który też mówił, że jestem niewierzącym katolikiem". Matką chrzestną Orła w 2006 r. była Małgorzata Bryll, żona poety Ernesta Brylla.

Autor książki, podsumowując swoje życie, wielokrotnie powtarza, że na politykę patrzy jako na element analizy, którą ćwiczył w latach 70., przenicowując dzieła Hegla. Sama praktyka polityki nie budzi jego zainteresowań, ale zauważanie jej prawidłowości go fascynuje. „To pcha mnie ku wiecznej roli szarej eminencji" – wyznaje skromnie. A szare eminencje zawsze są demonizowane lub przeceniane są ich wpływy. W książce „Orle gniazdo" jej bohater chce opowiadać o swoim zauroczeniu polityką w brawurowy sposób. Dawno już nie czytałem równie barwnej panoramy ostatnich prawie ośmiu dekad. Krótko mówiąc, literatura obowiązkowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

W miasto z przewodnikiem

Tomasz Adamkiewicz kupił wagon tramwajowy Sanok z 1928 r., odrestaurował go i wozi nim turystów po Łodzi FOT. ARCHIWUM TOMASZA ADAMKIEWICZA

Radosław Wojtas

Kto w czasach szkolnych wycieczek zraził się do pogadanek przewodników – które wpadały jednym uchem, a wypadały drugim, niewiele po sobie zostawiając – i jest niechętny tej formie zwiedzania, ten poznając obecną bogatą ofertę, może zmienić swoje nastawienie

Pokochał pociągi w dzieciństwie. Wychował się w małym domku w łódzkich Chojnach, położonym tuż przy torach. Pociągi mógł obserwować z okna, lecz kiedy tylko mógł – wolał podchodzić bliżej. Do dziś wspomina, jakie wrażenie zrobił na nim maszynista, który – specjalnie dla niego – zakręcił kołami parowozu w miejscu.

Pasja nie minęła z wiekiem, a z dziecięcego marzenia o posiadaniu własnego pociągu Tomasz Adamkiewicz nigdy nie wyrósł. Z czasem zrozumiał jednak, że marzenie to – jeśli ma się spełnić – musi przybrać inny wymiar.

– Marzyłem o posiadaniu własnego pociągu, skończyło się tak, że mam własny tramwaj. Dlaczego tak się stało? Z Łodzi było daleko do jakiegokolwiek skansenu lub chociaż stowarzyszenia, które prowadzi działalność typowo kolejową. Aby móc realizować swoją pasję, musiałbym dojeżdżać, np. do Skierniewic, gdzie mieści się Polskie Stowarzyszenie Miłośników Kolei. Dla mnie to było za daleko – opowiada „Do Rzeczy". – W TVP Łódź obejrzałem program, w którym Ryszard Bonisławski opowiadał o łódzkich tramwajach. I zaczęło mi się wszystko układać. Tramwaj to przecież w pewnym sensie miejski pociąg. Zrozumiałem, że to on może połączyć moją miłość do kolei z pragnieniem, by nie realizować swojego hobby daleko poza Łodzią, z którą moja rodzina jest związana od pokoleń – dodaje.

Dziś zabytkowym tramwajem wozi po Łodzi turystów.

SANOK W ŁODZI

Jak się okazuje, tramwaj można – a przynajmniej w 1997 r. było można – kupić tanio. Zwłaszcza gdy wagon jest stary, zniszczony i służy jako domek letniskowy oraz składzik na rowery. W czasach, gdy trudno było o materiały budowlane, wagony sprzedawane za bezcen przez MPK chętnie kupowali działkowicze. Od drugiej połowy lat 90., gdy zamieniali je na zgrabne domki, wagony niszczały w pokrzywach, trafiały na złom, nieliczne dostawały drugie życie. Na jednej z działek w Wiśniowej Górze pod Łodzią Tomasz Adamkiewicz trafił na wagon Sanok z 1928 r. Jego właścicielka odsprzedała go chętnie. Za 250 zł.

Pan Tomasz, wówczas uczeń szkoły plastycznej, wagon kupił, lecz nie bardzo miał pomysł, co z nim zrobić. – Chciałem odświeżyć, może odrestaurować, ale nigdy nie myślałem, że ten wagon kiedykolwiek pojedzie – mówi dumny właściciel pojazdu, który dziś, ilekroć pojawia się na ulicach Łodzi, wzbudza zainteresowanie. Służy głównie do obwożenia turystów, którzy z tej perspektywy zwiedzają miasto. Tomasz Adamkiewicz siedzi za sterami Sanoka a przewodnik opowiada o historii Łodzi. – Jedziemy z niedużą prędkością, by przewodnik nadążył z opowieścią. Warto poznawać Łódź z tej perspektywy, bo pomimo tego, że w latach 60. i 70. przeprowadzono w centrum dużo wyburzeń, zachowało się sporo oryginalnej, zabytkowej tkanki miejskiej – mówi pan Tomasz.

I dopowiada anegdotę pokazującą, że sam zabytkowy tramwaj (oraz jego właściciel) jest dziś sporą atrakcją. – Raz przyjechał człowiek z Japonii, żeby mnie poznać. Widział na YouTube filmik ze mną i był przekonany, że to żart. Nie wziął tej historii na poważnie, ale zaczął drążyć, informacje mu się potwierdzały, aż któregoś dnia podczas wizyty w Polsce przyjechał do Łodzi specjalnie po to, żeby mnie poznać i przejechać się moim tramwajem – opowiada Tomasz Adamkiewicz.

WOKULSKI, KNAJPY I ZBRODNIE

Oferta zwiedzania wielu polskich miast jest dziś bardzo zróżnicowana. W stolicy każdy znajdzie coś dla siebie. Grupa przewodników Skarby Warszawy, obok

eprasa.pl ace439ea40

klasycznych wycieczek po najważniejszych punktach miasta, proponuje również trasy tematyczne.

Można np. zwiedzać śladami miejsc walki i męczeństwa Polaków w okresie drugiej wojny światowej albo wyruszyć na poznawanie architektury okresu dwudziestolecia międzywojennego, poznać popularne wówczas miejsca spotkań oraz zwyczaje ówczesnych warszawiaków. Grupa na swej stronie internetowej proponuje przemierzanie stolicy śladami Fryderyka Chopina, Marii Skłodowskiej-Curie, trasą pielgrzymek Jana Pawła II. „Warszawa jak malowana" to spacer po Warszawie utrwalonej w dziełach Canaletta, Zygmunta Vogla i innych malarzy, „Światła miasta" są ofertą dla osób chcących poczuć ducha współczesnej Warszawy. Nocne zwiedzanie reprezentacyjnych części miasta zakończone może być wizytą w restauracji, pubie, klubie lub wyjściem do teatru. W zależności od preferencji grupy.

Niektóre daty w kalendarzu stwarzają okazję do organizowania korespondujących z nimi spacerów tematycznych. Na przykład walentynki to dobry moment, by poznać historie miłosne, których świadkiem była Warszawa na przestrzeni wieków. Popularnością cieszy się też trasa miejsc uwiecznionych przez Bolesława Prusa w „Lalce" (ścieżka jest oznaczona, w Internecie znajdziemy specjalną mapkę, można iść na własną rękę).

Jeśli ktoś wybierze bardziej imprezowy klimat, to może wyruszyć na poznawanie „legendarnych knajp PRL-u". Od knajpy do knajpy chętnych wozi zabytkowy ogórek, a przewodnicy opowiadają o popularnych lokalach i o ich bywalcach. Organizatorzy ostrzegają: „Treści, które pojawią się na wycieczce, są nieodpowiednie dla osób poniżej 18. roku życia, mogą też urazić niektórych dorosłych".

Zostając jeszcze w Warszawie i w show-biznesie, a jednocześnie wracając do spraw poważnych: licencjonowanym przewodnikiem po Warszawie jest znany słuchaczom polskiego rapu Eldo (w tym roku ma się ukazać nowy album, który warszawski raper po latach przerwy nagrał wspólnie z inną legendą polskiej sceny – O.S.T.R.). Leszek Kaźmierczak z pasją prowadzi spacery historyczne czy crime story, zasypuje ciekawostkami, czasem trafi się perełka ze świata hip-hopu.

W wielu miastach organizowane są wycieczki z dreszczykiem. Krakowska przewodniczka Agnieszka Kuźma ma w ofercie spacer śladami zbrodni. Krzysztof Kowalczyk proponuje spacer po „miejscach niezwykłych" Gdańska. „Zabiorę Cię w podróż po miejscach, w których pełno ukrytych zakamarków, niewyjaśnionych zagadek i opowieści, które Cię zachwycą" – zachęca. We Wrocławiu można błądzić szlakiem krasnali, a przy okazji poznawać historię miasta...

A zatem może warto wykorzystać ostatni tydzień wakacji, by zwiedzić któreś z polskich miast z przewodnikiem, który w oryginalny sposób opowie nam lokalną historię. Kto w czasach szkolnych wycieczek zraził się do pogadanek przewodników – które wpadały jednym uchem, a wypadały drugim, niewiele po sobie zostawiając – i jest niechętny tej formie zwiedzania, ten poznając obecną bogatą ofertę, może zmienić swoje nastawienie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl ace439ea40

Osobisty wróg króla Hiszpanii

Słynna scena, której reprodukcje wisiały niegdyś w każdej mesie oficerskiej okrętów Royal Navy – Francis Drake nie przerywa gry w bule nawet po otrzymaniu wiadomości, że hiszpańska Wielka Armada wyruszyła ku brzegom Anglii FOT. GALERIA SZTUKI NOWEJ POŁUDNIOWEJ WALII

Piotr Semka z Buckland Abbey

Sir Francis Drake był najstarszym z 12 dzieci Edmunda Drake'a, dość prostego farmera, ale fanatycznego protestanta. To on nauczył syna płomiennej nienawiści do „papistów". W wieku 12 lat przyszły władca mórz został oddany na praktykę do kapitana statku handlowego, po czym szybko wykazał się wybitnymi talentami nawigacyjnymi

To najsłynniejszy brytyjski korsarz XVI w. Sir Francis Drake łupił i palił hiszpańskie statki w imieniu Jej Królewskiej Mości Elżbiety I. W swoich czasach był kimś w rodzaju Jamesa Bonda. Tak jak agent 007 zarówno potrafił posługiwać się każdym rodzajem broni, jak i był dżentelmenem – oficerów zdobytych hiszpańskich galeonów często honorowo wypuszczał, odbywszy wcześniej z nimi wystawną kolację. Ale tak samo potrafił bezlitośnie palić i mordować hiszpańskie miejscowości nad Pacyfikiem. Co więcej, w jego rajdach na hiszpańskie kolonie był też silny element ideologiczny. Wychowany w fanatycznie protestanckiej rodzinie uznawał, że wysieczenie iluś „papistów" to czyn miły Bogu. Zapraszam zatem państwa na wizytę do jego rodzimej posiadłości, Buckland Abbey, którą zakupił z bogactw zdobytych na morskich rajdach.

OPACTWO ZRABOWANE CYSTERSOM

„Ach ten Devon – to jest Eden!". Tę frazę zawarła sama Agatha Christie w wierszyku o 10 małych Murzynkach. Istotnie Devon, część Anglii położona na granicy z Kornwalią, może jawić się jako jeden wielki zaczarowany ogród. Droga wśród lesistych pagórków prowadzi do opactwa Buckland. Założyli je angielscy cystersi w 1278 r., a ufundowane zostało przez Amice de Clare, hrabinę Devon. Było to najbardziej wysunięte na zachód Anglii opactwo zakonu, który wyznawał zasadę „Ora et labora" („Módl się i pracuj"). Pozytywna dla okolicznych rolników działalność zakonników zakończyła się w momencie kasaty klasztorów przez Henryka XVIII, który wybrał drogę reformacji. Dochodowy majątek był cennym kąskiem i przechodził z rąk do rąk wielmożów nagradzanych przez króla Henryka, aż w 1580 r. trafił w ręce sir Francisa Drake'a.

Opactwo jest dość nietypowe, ponieważ kościół został zachowany jako główny element nowego domu, a całą resztę zburzono, co stanowiło odwrócenie normalnego przebiegu tego typu przebudowy kompleksów klasztornych. Słynny pirat mieszkał tu przez 15 lat, a po nim jego potomkowie. Ostatnia potomkini sir Francisa, Elizabeth Fuller-Eliott-Drake, zmarła 9 maja 1937 r. Kolejni nabywcy przekazali w końcu w 1947 r. posiadłość specyficznie angielskiej instytucji National Trust – instytucji opiekującej się miejscami związanymi z brytyjskim dziedzictwem i historią.

Jak u każdego katolika widok sekularyzowanego średniowiecznego klasztoru

eprasa.pl ace439ea40

budzi smutek. Ale wędrówka przez kolejne sale pokazująca burzliwe życie naczelnego korsarza Wielkiej Brytanii i twórcę podwalin pod jej kolonialne imperium powoduje, że nie sposób oprzeć się tej wspaniałej brytyjskiej opowieści. Poza tym polubiłem korsarską legendę jeszcze w latach szkoły podstawowej. W mojej gdańskiej szkole dawano nam do czytania trylogię o kaprach Zygmunta Augusta pióra nieocenionego Franciszka Fenikowskiego. Hiszpanie, którym Drake dał się mocno we znaki, z zabobonnym respektem nazywali go Smokiem („el Draque"). A jak prezentuje się gniazdo smoka?

Zwiedzanie zaczynamy od dawnego klasztornego refektarza, na którym wielka mapa mural pokazuje wszystkie wyprawy nieustraszonego żeglarza. Był pierwszym Anglikiem i drugim żeglarzem po Ferdynandzie Magellanie, który opłynął kulę ziemską. Tylko że o ile Magellan umarł w czasie swojej wyprawy, o tyle Drake nie tylko wrócił cały, lecz także przywiózł jeszcze mnóstwo złota i cennych korzeni.

Urodził się w nieodległym miasteczku Tavistock ok. 1540 r. Dokładna data jego urodzin jest do dziś dyskutowana przez naukowców – jego narodziny nie zostały formalnie odnotowane lub dokument ten zaginął. Był najstarszym z 12 dzieci Edmunda Drake'a, dość prostego farmera, ale fanatycznego protestanta. To on nauczył syna płomiennej nienawiści do „papistów". Oddany w wieku 12 lat na praktykę do kapitana statku handlowego kursującego do Francji i Holandii szybko wykazał się tak wybitnymi talentami nawigacyjnymi, że po odejściu na emeryturę stary kapitan oddał mu swój statek i swoje biznesy z Francuzami i Holendrami.

Temperament młodego Francisa pchał go jednak na wielkie morza. Razem ze swym kuzynem, przedstawicielem bogatej rodziny handlowej z Plymouth, sir Johnem Hawkinsem, popłynął do Afryki, aby skupować niewolników i sprzedawać ich po korzystnej cenie w karaibskich koloniach Korony Brytyjskiej. Ten epizod z życia będzie mu w ostatnich latach bardzo ostro wypominany, o czym wspomnę w dalszej części tego tekstu. W 1568 r. Drake i Hawkins zostają zatrzymani przez Hiszpanów i uwięzieni w lochach twierdzy na wyspie San Juan de Ulúa u wybrzeży Meksyku. Obu śmiałkom uda-

Portret Francisa Drake'a, który w swoich czasach był kimś w rodzaju Jamesa Bonda

FOT. WŁASNOŚĆ MUZEUM BUCKLAND ABBEY

je się uciec z więzienia, a Drake przysięga Hiszpanom dozgonną zemstę.

Na wystawie obejrzeć można modele statków, na których Drake odbywał od 1572 r. zbójeckie wyprawy. Łupem tych wypraw padało hiszpańskie złoto i srebro przywożone z Peru na Przesmyk Panamski i wysyłane do hiszpańskiej metropolii na pokładach galeonów tworzących słynną Flotę Indii. Problemem Drake'a było to, że bardzo często złota było tyle, że na jego stosunkowo niewielki statek niebezpiecznie było ładować aż tak ciężki ładunek – złoto bywa wyjątkowo ciężkie. Angielski pirat urządzał zatem rozmaite skrytki w rejonach Karaibów, w których chował swoje poszczególne łupy, obiecując sobie, że przybędzie po nie już solidnym dużym statkiem sporej ładowności. Stąd wzięła się późniejsza legenda „wysp skarbów", o których rozpisywać się będą później tacy mistrzowie pióra jak Robert Stevenson czy A.D. Howden Smith. Rabuś z Plymouth tak bardzo rozdrażnił hiszpańskiego króla Filipa II, że zaoferował on wszystkim na całym świecie nagrodę w wysokości 20 tys. dukatów za doprowadzenie „el Draque" żywego lub umarłego każdemu hiszpańskiemu urzędnikowi królewskiemu. Elżbieta I, która wtedy prowadziła jeszcze politykę trzymania neutralności między Anglią a Hiszpanią, nakazała swemu protegowanemu, by zniknął na pewien czas. A gdy już wybuchła otwarta wojna monarchii angielskiej z Hiszpanią, zaopatrzyła go w listy kaperskie i nakazała mu pustoszenie hiszpańskich siedzib w Ameryce Południowej od strony Pacyfiku.

DOOKOŁA ŚWIATA

Gdy ogląda się na wystawie schematy statków używanych przez królewskiego pirata, uderza, że były to stosunkowo niewielkie jednostki. Na tych niewielkich łupinkach Drake fruwał dookoła globu niczym tajfun. Bardzo ciekawa jest sekcja wystawy pokazująca realia życia na statku. Przewodzenie grupom 30–40 mężczyzn, silnych i przyzwyczajonych do zabijania, wymagało talentów przywódczych i odwagi. Każdy bunt musiał być bezwzględnie miażdżony w samym zarodku. Tak było w czasie podróży Drake'a dookoła świata. Niekiedy kapitan musiał być bezwzględny nawet wobec osób, które znał i z którymi się przyjaźnił przez wiele, wiele lat. Tak było z Thomasem Doughtym. Podczas sztormu na środku Atlantyku statek z flotylli Drake'a „Swan", dowodzony przez Doughty'ego, samowolnie odłączył się od ekspedycji. Drake wydał rozkaz pojmania Doughty'ego i jego brata Johna. Drake oskarżył Thomasa Doughty'ego o bunt i zdradę, a następnie przeprowadził jego egzekucję. 2 lipca 1578 r. skazaniec został ścięty. Bardzo długo za tą decyzją Drake'a ciągnęła się zła sława. Marynarze przekonywali, że Doughty wywołał bunt, ale nieprawdziwy był zarzut, iż spiskował w porozumieniu z Hiszpanami. Późniejsze burze, które wyniszczyły aż cztery z pięciu okrętów Drake'a, były kojarzone z gniewem bożym za zbyt surowe potraktowanie niegdysiejszego przyjaciela.

Na wystawie zgromadzono jak relikwie aż sześć sztandarów z różnych statków Drake'a. Niegdyś krwiście purpurowe, dziś nadal całkiem nieźle zachowują swój kolor. Gdy pytam o to przewodnika, wyjaśnia mi, że flaga musiała być widoczna na morzu i nie mogła ulec wypłowieniu w wyniku działania słońca. Dlatego kapitanowie nie szczędzili pieniędzy na najlepsze i najtrwalsze naturalne barwniki. Byleby tylko ich flagi na statkach zachowywały jaskrawy kolor. Na

eprasa.pl ace439ea40

kolejnych sztandarach widzę symbole orlicy, słońca, księżyca czy wreszcie flagę Królestwa Anglii. Wszystko wyszywane w przepięknym artystycznym stylu. Każda flaga nosiła symbol informujący o wojskowej randze dowódcy danego statku. Flagi zmieniano co dwa, trzy lata, gdyż stosunkowo szybko się zużywały. To, że ocalało aż sześć bander z flotylli Drake'a, można uznać za cud. Wyprawa brytyjskiego pirata dookoła świata trwała w latach 1577–1580.

Angielska legenda głosi, że to właśnie z tej wyprawy Drake przywiózł królowej pierwsze ziemniaki. W brytyjskim filmie „Władca wielu mórz" z 1961 r. obejrzeć można zabawną scenę. Gdy królowa Elżbieta na uroczystej uczcie po przybyciu Drake'a do Londynu próbuje przywiezionych przez Drake'a ziemniaczanych bulw, nagle pyta go, jaka jest oryginalna nazwa tego niezwykłego warzywa. Zaskoczony Drake uświadamia sobie, że nigdy się tym nie zainteresował, ale chcąc zaspokoić ciekawość władczyni, wypowiada imię Potato. Było to imię córki wodza jednego z indiańskich plemion, które Drake spotkał w czasie wyprawy. Z kobietą tą przeżył wiele upojnych nocy. Gdy członkowie załogi słyszą, że ich kapitan użycza kartoflom imię swojej kochanki, pijąc wino, krztuszą się ze śmiechu.

Z takich legend o legendarnym żeglarzu utkana jest legenda Francisa Drake'a, ale patrząc głębiej, można zrozumieć, jak wykuwał się ten mit. Jego wyprawy położyły podstawę pod budowę Imperium Brytyjskiego. Drake zasłynie raz jeszcze w 1588 r., kiedy to stanie na czele brytyjskiej floty, która wyruszy naprzeciw wielkiej hiszpańskiej armady mającej zdobyć Anglię i przywrócić w niej katolicyzm. Na wystawie obejrzeć można wielki obraz pokazujący scenę, w której wiadomość o zbliżaniu się hiszpańskiej floty dotarła do sir Francisa Drake'a. Według legendy żeglarz grał wtedy w bule na wzgórzu Plymouth. Gdy jego rozgorączkowani adiutanci przybiegli z wieścią, Drake miał odpowiedzieć, że nie widzi powodu, by kończyć grę, a ma jeszcze mnóstwo czasu, zanim pokona Hiszpanów. Ta scena na niezliczonych sztychach do niedawna wisiała na ścianach mes wielu oficerskich okrętów Jej Królewskiej Mości na morzach całego świata. Kolejne lata życia aż do pięćdziesiątki to okres, kiedy słynnemu korsarzowi przestaje już dopisywać szczęście. Może to skutek starzenia się, a może coraz lepszego przygotowania Hiszpanów do obrony przed Anglikami. Przychodzi pasmo porażek. W 1595 r. nie udaje mu się zdobyć portu Las Palmas, a następnie ileś razy zostaje odparty przy próbach złupienia hiszpańskich posiadłości w Ameryce Południowej. Bezskutecznie próbuje oblegać hiszpańską twierdzę San Juan na wyspie Porto Rico. W 1596 r. umiera w wieku 51 lat w trakcie oblegania wybrzeży Portobelo na terenie obecnej Panamy, gdzie schowały się hiszpańskie galeony ze złotem i srebrem. Drake zaraził się dezynterią na brudnych bagnach wokół miejscowości Nombre de Dios. I tu znów scena, którą obejrzeć można na wielkim obrazie w muzeum. Drake przed śmiercią poprosił, by ubrać go w galową zbroję. W tym rynsztunku pochowano go w ołowianej trumnie, którą spuszczono do morza w pobliżu Portobelo. I ten motyw wisi na obrazkach w niezliczonych mesach oficerskich Royal Navy.

Model flagowego statku Francisa Drake'a – „Golden Hind" („Złota Łania") FOT. NATIONAL TRUST

ŚCIGANY PRZEZ POLITYCZNĄ POPRAWNOŚĆ

Gdy wychodzę z muzeum, zadaję pytanie przewodnikowi: „Wspaniałe to wasze muzeum. Ale dlaczego muzeum Drake'a jest właśnie tu, w Buckland Abbey, na dewońskiej prowincji, a nie ma go w macierzystym porcie Drake'a Plymouth?". Przewodnik w moich pytaniach chyba wyczuł, że nie zachwyca mnie polityczna poprawność. Dlatego konfidencjonalnie nachylił się do mnie i powiedział: „W Plymouth to byłoby już dziś niemożliwe. Tamtejsi radni miejscy ledwo ocalili przed wyburzeniem pomnik Drake'a".

Gdy niedługo potem jestem na górującym nad portem wzgórzu Plymouth Hoe, oglądam pomnik korsarza. Owszem, stoi nadal, ale na specjalnej tabliczce pod spodem znajduje się tzw. nota kontekstowa. Informuje ona, że słynny korsarz odpowiada za udział w handlu niewolnikami między Afryką a Karaibami. Czytamy też, że przewoził niewolników i sprzedawał ich do wykorzystania na hiszpańskich plantacjach kolonialnych. Porywanie i przymusowy transport ludzi były wtedy uważane za przestępstwo, ale prawo to nie dotyczyło niewolników, osób niebędących protestantami oraz przestępców. Nota wskazuje też, że statki dowodzone przez Drake'a napadały na hiszpańskie osiedla na wybrzeżach Pacyfiku, mordując niejednokrotnie całą żyjącą tam ludność.

W 1575 r. Drake obecny był także w czasie masakry na wyspie Rathlin w Ulsterze, gdzie po poddaniu się społeczności katolickiej zamordowano 600 mężczyzn, kobiet i dzieci.

W 2022 r., gdy przez Wielką Brytanię przeszła fala protestów kończących się obalaniem pomników osób uznawanych za uczestników handlu niewolnictwem, studenci Goldsmiths (części Uniwersytetu Londyńskiego) zażądali usunięcia pomników sir Francisa Drake'a i adm. Horatia Nelsona z ratusza w Deptford, budynku należącego do tej uczelni. Władze uczelni uratowały obie rzeźby, jedynie powołując się na przepisy o ochronie zabytków. Tam też umieszczono solidną „notę kontekstową", w której wyliczono wszystkie niegodziwości słynnego korsarza.

U schyłku życia stare grzechy dogoniły morskiego rabusia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomnik Francisa Drake'a ze zbiorów muzeum Buckland Abbey FOT. NATIONAL TRUST

Szczegóły odwiedzin w Buckland Abbey na stronie www.nationaltrust.org.uk.

eprasa.pl ace439ea40

Zdefektowany Czaruś

Krzysztof Masłoń

Kadr z filmu „Przedwiośnie" z 1928 r.

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

Żeromski zawsze sprawiał kłopoty. Usiłowano go poprawiać, ale z połowicznym skutkiem, o czym przekonał się w słusznie minionych, ale jakże niesłusznie ocenionych latach Leon Kruczkowski, dopisując czwarty akt do kulawego dramatu „Grzech". A całkiem niedawno, bo w 2018 r., prezydent Andrzej Duda, sposobiąc się do Narodowego Czytania, na które, prawem kaduka, wybrał „Przedwiośnie", zlecił Andrzejowi Doboszowi skrócenie tej niewydarzonej powieści, co też ten uczynił, redukując tekst o jedną trzecią. Niestety, ta skrócona wersja upiornej historii o Czarusiu Baryce nie przyjęła się i biedną naszą młódź poloniści wciąż katują ponad 350-stronicową, oburzającą opowieścią o jakichś Nawłociach, Leńcach, Chłodkach i cholera wie czym jeszcze.

Minister Barbara Nowacka, jak można sądzić, nie stosowałaby półśrodków i wygruziłaby całą tę żeromszczyznę na wysypisko historii, z czym zupełnie nie wiem, dlaczego zwleka. A w tym czasie sączy się z kart „Przedwiośnia" złowroga nacjonalistyczna ideologia polana obrzydliwym sosem antysemityzmu.

A przecież dzieciństwo głównego bohatera powieści nie zapowiadało jeszcze jego późniejszego upadku. Wychowany w Baku „Czaruś stokroć lepiej mówił po rosyjsku niż po polsku". Wiadomo, ruska onuca. Ale skąd się wzięła późniejsza niechęć Baryki do narodu wybranego? Wszak ten zaprzysięgły antysemita w dniach rewolucji przyznawał, że to właśnie rewolucyjni przywódcy pochodzenia żydowskiego „z fenomenalnym jasnowidzeniem ujawniali geniusz swej rasy, zdolność docierania do najgłębszej, najostatniejszej iściżny, do samego sedna spraw ludzkich – odsłaniali słabość i miejsca chore, zgniłe, obumarłe konającego świata burżuazji i ofiarowywali pracującemu ludowi swe najtrafniejsze pod słońcem rozumowanie o istocie i potędze przewrotu, który się właśnie dokonywał".

Niestety, nad Wisłą nawdychał się Czaruś polskich miazmatów, nawojował z orzełkiem na żołnierskiej czapce i chociaż kłócił się z Szymonem Gajowicem, swoim mentorem, zakonotował sobie jego zdanie: „Jesteśmy urodzeni z defektem polskości". A przecież – jak po latach z jakąż przenikliwością zauważył pewien znany polityk – „polskość to nienormalność".

W Warszawie, gdzie Baryka zamieszkał, wstrętem napawały go „kamienice wzniesione przez Żydów i do nich należące" o cechach „wielkomiejskiej tandety, bezwstydnej ordynarności i haniebnej brzydoty. Wojna odarła je z olejnych lub klejowych pomalowań. Malowanie na olejno poskręcało się w rurki i zwoje i wygląda na powierzchni tych domów jak niechlujne pejsy na niechlujnym Izraelicie". A sami Żydzi? „Całe to zbiegowisko sprawiało wrażenie soboru potępieńców opętanych od diabła, o coś twarzą w twarz zaciekle walczących".

Komunizm, nie tylko za sprawą Żydów, odrzucił, ale zdrowa polska woda w polskim kranie też przestała mu wystarczać, wołał więc: „Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać jak powietrzem. Tu jest zaduch". Ot, PiS-owiec się znalazł.

Bez dwóch zdań: Żeromski – z naszej nowoczesnej, europejskiej szkoły – out! Bezzwłocznie, nie czekając na żadne przedwiośnie. ©℗

PS

Tych z szanownych państwa, którzy po lekturze moich felietonów opatrzonych nadtytułem „Bohaterowie ksiąg zbójeckich" oburzyli się, że redakcja „Do Rzeczy" udostępnia łamy na bezrozumne ataki na klasykę literatury polskiej, bądź też dali wyraz trosce o stan psychiczny niżej podpisanego, chciałbym uspokoić, jako że wprawdzie pod rządami niemiłościwie nam panującego Donalda I wszyscy żyjemy na krawędzi szaleństwa, niemniej, jak się zdaje, na razie pozostaję przy zdrowych zmysłach. Nie da się tego powiedzieć o kreaturach kierujących od pewnego czasu polską oświatą, które w zapale eliminowania z procesu dydaktyczno-wychowawczego treści patriotycznych – co nazywają unowocześnieniem edukacji – dokonują czystki wśród lektur szkolnych, usuwając utwory, ich zdaniem, szkodliwe, w których dopatrują się a to nacjonalizmu, a to antyfeminizmu z antysemityzmem pospołu, to znów religianctwa. Że indywidua te pracują na miano największych szkodników polskiej kultury – ich sprawa, ale że w swoich poczynaniach znajdują popleczników w rodzaju pewnego poety(!), któremu zawadza „Bogurodzica", to już jest oznaka zbydlęcenia.

Gdybyśmy nie mieli do czynienia z tym wszystkim, nie pisałbym swoich opowiastek o „bohaterach ksiąg zbójeckich", które jednak – jak się okazuje – niektórzy czytelnicy odczytują wprost, jako wyraz moich poglądów, a nie parodię absurdalnej poprawności w swojej istocie będącej bałwanieniem do kwadratu. Dlatego też oświadczam, co następuje: bez „Pana Tadeusza" i „Krzyżaków", bez „Kordiana" i „Nie-Boskiej komedii", bez „Chłopów" i „Lalki", bez „Nad Niemnem" i „Przedwiośnia" właśnie nie ma polskiej literatury i dzieł tych z pewnością nie zastąpią choćby i nagradzane ponad ich miarę utwory Olgi Tokarczuk, Jacka Dehnela, Michała Witkowskiego czy innych tuzów współczesnego piśmiennictwa. Usuwanie utworów klasycznych ze spisów lektur w konsekwencji oznacza złamanie kodu kulturowego łączącego pokolenia Polaków. Byłaby to niepowetowana strata.

Na koniec namawiam rozżalonych czytelników do przezwyciężenia naturalnego wstrętu do kocopołów, którymi podpierają się wszelcy poprawiacze i cenzorzy, i do tego, by spróbowali przebrnąć przez w dużej mierze złożone z tychże bredni moje felietony, a wtedy teksty te okażą się – być może – wprawdzie obrazoburcze, ale zgoła inaczej, niż by się to mogło wydawać.

eprasa.pl ace439ea40

Czy androidy śnią o obcych?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

„Obcy: Ziemia” to karkołomne połączenie serii „Alien” z opowieścią w duchu „Blade Runnera”. Działa. Przez większość czasu

Noah Hawley, twórca serialu „Obcy: Ziemia” („Alien: Earth”), wrzucił do scenariusza tak wiele kwestii, że ośmioodcinkowa opowieść powinna się była pod tym ciężarem załamać. Tak się jednak nie stało, co zawdzięczamy tyleż narracyjnemu talentowi autora antologii odcinkowej „Fargo” (pięć sezonów), co ciekawej obsadzie i efektowi „wow!” towarzyszącemu nam podczas seansu. Jak wieść niesie, telewizja FX wydała na ten serial więcej niż na „Szoguna”, który kosztował ćwierć miliarda dolarów. Widać te pieniądze w kadrze, oto kolejna tego lata produkcja, która oferuje odbiorcom streamingu doświadczenie znane dotąd z kina.

PIĘĆ STREF WPŁYWÓW

Pierwszy w historii serial z uniwersum Obcego jest zarazem bezpośrednim prequelem do oryginalnego filmu Ridleya Scotta („Obcy”, 1979). Jednocześnie odchodzi od oryginału bardzo daleko – choć wiele elementów jest zbieżnych. Chodzi jednak o ducha opowieści. Pierwszy film (gdy go kręcono, oczywiście nikt nie wiedział, że będą kolejne) to klasyczny dreszczowiec typu „home invasion”, tyle że zamiast domu na uboczu mamy statek kosmiczny, a morderczym włamywaczem okazuje się obca forma życia. Była to też opowieść łatwa do odczytania w kategoriach religijnych – gigantyczny statek „Nostromo” był katedrą w kosmosie, a obcy – figurą szatana. Złem upostaciowionym. Tym bardziej przerażającym, że tak naprawdę nie wiedzieliśmy, kim/czym jest rasa ksenomorfów, skąd przybyła, kto ją stworzył. Wizja skrajnie okrutnego, beznamiętnego zła czającego się poza bezpiecznymi progami ojczystej planety była szczególnie sugestywna.

Od tamtej pory minęło niemal pięć dekad, z filmu Scotta wykiełkowała nie tylko seria sequeli, lecz także cały osobny popkulturowy wszechświat, franczyza pełna komiksów, powieści, gier. A sam ksenomorf stał się takim samym mieszkańcem zbiorowej wyobraźni jak Superman, Batman, Robin Hood czy Sherlock Holmes. Z jednej strony obcy nam spowszedniał, z drugiej – taka sytuacja otwiera nowe możliwości przed autorami rozmaitych ciągów dalszych. Nie muszą już niczego wyjaśniać, wiemy, jak główny bohater się zachowuje, jak żeruje, jak jest niebezpieczny, jak się rozmnaża itd. Można na tym fundamencie budować własne fabuły, nie tracąc czasu na origin stories.

Noah Hawley skorzystał z tej okazji i napisał fabułę, która wykorzystując ikonografię z filmu Ridleya Scotta, koncentruje się na czymś innym: marzeniu o wiecznym życiu, tworzeniu przez ludzi

eprasa.pl ace439ea40

NOAH HAWLEY
„OBCY: ZIEMIA”
USA, WIELKA BRYTANIA, TAJLANDIA 2025

sztucznych istot, odpowiedzialności za swoje eksperymenty. Filmy kinowe z serii „Obcy” mówiły o starciu z nieznanym poza Ziemią. „Obcy 2 – decydujące starcie” był filmem wojennym, „Obcy 3” wracał do horroru i klaustrofobii oryginału, ale na większą skalę, bo zamiast jednego statku „Nostromo” mieliśmy całe więzienie na planecie Fiorina 161, z kolei „Obcy: Przebudzenie” (powinno być: „Zmartwychwstanie”) to już była próba przyjrzenia się skutkom kontaktu Ziemian z ksenomorfami, łącznie z próbą wyhodowania hybrydy człowiek/obcy.

U Hawleya najważniejsze jest to, co dzieje się na Ziemi. Trafiamy oto do przyszłości, w której cała planeta podzielona jest na pięć stref wpływów, każdą kontroluje inna megakorporacja. Weyland-Yutani, czyli korporacja, do której należały statki transportujące obcych, to tylko jeden z graczy; konkuruje z nią m.in. Korporacja Prodigy – gigant stworzony przez młodego trylionera zwącego się Boy Kavalier (i podobnie się zachowującego). Obsesją Kavaliera jest pokonanie śmierci oraz wygranie wyścigu ze sztuczną inteligencją. Jak wyjaśnia, w chwili gdy stworzone przez nas maszyny doskonalsze od człowieka stworzą kolejną generację, jeszcze doskonalszą, historia ludzkości dobiegnie końca. Staniemy się gatunkiem niepotrzebnym. Odpowiedzią ma być program tworzenia hybryd – przepisywania ludzkiej osobowości do sztucznego ciała.

Dostajemy więc tu transhumanizm nie jako naturalny punkt rozwoju ludzkości – jak chce Ray Kurzweil – czy jako technologiczną utopię, ale jako formę samoobrony. Logiczny efekt grzebania nie tam, gdzie powinniśmy: przypomina się tradycyjne przesłanie fantastyki w pierwszej połowy XX w. o tym, że są rzeczy, których człowiek nie powinien odkrywać i czynić. Nauka musi się samoograniczyć dla dobra ludzkości. Tak się jednak nie dzieje, Boy Kavalier proponuje bowiem zwalczanie dżumy cholerą. Skąd pewność, że stworzone przez niego hybrydy pozostaną ludzkie? Skąd przekonanie, że będą grały po naszej stronie? W końcu są to de facto nadludzie: szybsi, silniejsi, bardziej wytrzymali, niemożliwi do zniszczenia, obdarzeni możliwością samodoskonalenia się i uczenia przez setki lat.

Ciekawy punkt widzenia prezentuje naczelny naukowiec Korporacji Prodigy, który jest nie hybrydą, lecz istotą całkowicie syntetyczną. Kirsh, grany przez Timothy'ego Oliphanta, spogląda na ludzi z góry. Podczas swoich mentorskich przemów tłumaczy nowo stworzonym hybrydom, że dotąd były tylko zwierzętami, a teraz zaczynają prawdziwe życie. Zwierzęta czują strach, zwierzęta boją się śmierci – ale to już za nimi. Pora na nowy początek. Prawdziwy początek. Ludzie, wedle tej interpretacji, stają się podludźmi. Etapem wstępnym ewolucji, która prowadzi nas… No właśnie, dokąd?

Dwa słowa o fabule, by wszystko stało się bardziej zrozumiałe. Boy Kavalier przepisuje do syntetycznych ciał umysły śmiertelnie chorych dzieci, ratując je od raka i innych wyroków śmierci (słyszymy, że umysły dorosłych są zbyt ukształtowane, by poddać je takiej procedurze). W grupce pierwszych hybryd najważniejsza jest Wendy (bardzo dobra Sydney Chandler, którą pamiętamy m.in. z serii Aplle TV+ „Sugar”). Imię nieprzypadkowe, jest ona dla pozostałych dzieciaków przeniesionych w dorosłe ciała opiekunką i przewodnikiem, co czyni z nich Zaginionych Chłopców, a z wyspy trylionera Cavaliera – nową Nibylandię. Nawiązania do „Piotrusia Pana” J.M. Barriego są wręcz nachalne.

CZAS DECYZJI

Teraz drugi wątek – z głębin Kosmosu wraca na Ziemię statek USCSS „Maginot”, jednostka bliźniacza do „Nostromo” z filmu Scotta, co widać po odtworzonych pieczołowicie wnętrzach (akcja rozgrywa się dwa lata przed fabułą oryginalnego „Obcego”). Na pokładzie kolekcja obcych form życia, w tym ksenomorf, co oczywiście nie może skończyć się dobrze. Gdy „Maginot” rozbija się na Ziemi (w strefie Korporacji Prodigy), wnętrze statku to już rzeźnia. Na pokład „Maginota” wkracza grupa korporacyjnych żołnierzy, niepodejrzewająca, jaki koszmar ich czeka. Wśród nich Hermit (Alex Lawther), medyk, a prywatnie brat Wendy, który jest przekonany, że siostra nie żyje.

Tu następuje karkołomna próba złączenia wątków: Wendy chce ratować brata, więc rwie się do akcji, a Boy Kavalier, wbrew radom naukowców, decyduje się wysłać do Nowego Syjamu (metropolia, gdzie doszło do katastrofy) nie tylko Wendy, lecz także całą resztę świeżo stworzonych hybryd. Pomysł absurdalny, bo przecież wciąż są to dzieci, tyle że w ciałach dorosłych. Jest to główny punkt, w którym widz zdecydować musi, czy całość odrzuca jako bzdurę czy przyjmuje zasady gry, zawiesza niewiarę i ogląda dalej. Zwolenników drugiego podejścia jest więcej, „Alien: Ziemia” to dziś najchętniej oglądany serial nie tylko serwisu Disney+, lecz także w ogóle całego polskiego streamingu.

Oglądałem dalej i nie żałuję, bo dla samego spektaklu warto w ten świat się zagłębić, choć Noah Hawley wyraźnie ma kłopot z przełożeniem licznych interesujących go pytań na zakręty fabuły. Udało się to w filmie „Blade Runner 2049”, ale nie każdy nazywa się Denis Villeneuve. Kto tu jest obcy? Ksenomorf czy syntetyk? Kto tu jest drapieżcą: obcy czy człowiek? Kim jest homo sapiens, którego umysł przeniesiono w sztuczne ciało: wciąż człowiekiem czy – jak zresztą głosi nazwa – hybrydą – a może już po prostu istotą sztuczną? Co z moralnością takiej istoty?

Mamy wreszcie arcyciekawy wątek rywalizacji dwóch tworów sztucznych, zbudowanych przez dwie różne cywilizacje: syntetyków i hybrydy zbudowali ludzie. Ale patogen, który stworzył ksenomorfy, stworzyła obca rasa zwana we franczyzie Inżynierami. Jest wreszcie wątek, który Hawley podkradł ze świetnej powieści Orsona Scotta Carda „Gra Endera”, gdy okazuje się, że Wendy jest w stanie ponadzmysłowo wyczuwać obecność obcych, tak jak Ender łączył się ze zbiorowym umysłem obcej rasy Robali próbujących podbić Ziemię.

Choć wiele w tej opowieści drastycznych, krwawych scen i dreszczy charakterystycznych dla uniwersum Obcego, to jednak to, co najważniejsze, jest tu wyjęte z rozważań o konkurencji AI i człowieka. Tego podrzędnego, skazanego na cierpienie i śmierć człowieka. „Każdy z nich umrze, a my możemy tylko patrzeć i zapisywać imiona” – mówi syntetyk Kirsh. Czyżby sztuczna istota miała za nas wszystkich odmówić kadysz?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dziadek wie lepiej

★★★★☆☆

SEZON 1
„NA WYSOKICH OBROTACH" („SHIFTING GEARS")
USA 2025

wyst. Tim Allen, Kat Dennings, Seann William Scott

Matt Parker (Tim Allen) to wdowiec prowadzący zakład renowacji klasycznych samochodów. Awantury wokół zaimków uważa za idiotyczne. Twierdzi, że Ameryka produkuje już tylko mięczaków, cukrzyków i celebrytów, wyznaje kult ciężkiej pracy i słucha podcastów Rogana. Pod jego dach po 15 latach powraca córka, która wyszła kiedyś za podrzędnego basistę rockowego. Dzisiaj się z nim rozwodzi i spłukana, bezdomna, z dwojgiem dzieci szuka pomocy u ojca, z którym nie zgadza się w niczym: od polityki do metod wychowania dzieci.

Tym, co odróżnia „Na wysokich obrotach" od innych produkcji, jest to, że postać Matta Parkera przedstawiona jest bez uprzedzeń i bardzo łatwo go polubić. Trudno nie widzieć w tym ukłonu w kierunku widzów, którzy są wyborcami Trumpa (jak i sam Parker powtarzający hasło „drill, baby, drill").

Jest to ewidentnie próba wyjścia koncernu Disneya naprzeciw oczekiwaniom widzów bardziej konserwatywnych. Na tyle udana, że zamówiono już drugi sezon. Ale zarazem jest to próba bardzo nieśmiała, bo po kilku odcinkach, w których Matt ostro komentuje amerykańską rzeczywistość, komedia naraz staje się głęboko przewidywalna i wtórna. No i bezpieczna, bo już brak polityki, są za to doskonale znane z innych sitcomów grepsy.

Nie zmienia to tego, że na tle konkurencji „Na wysokich obrotach" pozostaje propozycją unikatową, bo nie tylko nie wyszydza konserwatywnego punktu widzenia, lecz także pokazuje, że ludzie o zupełnie różnych poglądach mogą ze sobą normalnie rozmawiać, a nawet żyć pod jednym dachem i czegoś się od siebie nawzajem uczyć.

Duża w tym zasługa zarówno Tima Allena, który jako Matt Parker jest bardzo wiarygodny, jak i znanej z „Dwóch spłukanych dziewczyn" Kat Dennings w roli jego córki. Dennings też mogła być karykaturą zbuntowanej progresistki, tymczasem dostajemy postać bardziej zniuansowaną.

Na drugim planie zwracają uwagę Seann William Scott (Stifler z serii „American Pie") oraz Jenna Elfman, dawna gwiazda serialu „Dharma i Greg".

Przesłanie nie jest oryginalne, ale w ostatnich czasach bardzo rzadkie: gdy nadchodzą ciężkie czasy, pomóc może tylko rodzina, tyle wolności, ile odpowiedzialności i tyle zarobków, ile ciężkiej pracy. ©℗

GRA TYGODNIA: „NINJA GAIDEN: RAGEBOUND"

★★★★★☆

Spin-off cyklu „Ninja Gaiden" to gra krótka (na ok. 8 godzin), ale dopracowana. Przykład produktu, w którym kosztem ilości stawia się na jakość. Szkoda miejsca na opisywanie fabuły, która jest, bo być musi. Jej sztampowość nie odejmuje jednak przyjemności z gry. A ta jest duża. Nie tylko za sprawą walki ze zwykłymi przeciwnikami i z bossami, lecz także dzięki znakomicie zaprojektowanym poziomom, naszpikowanym wyzwaniami. Nowoczesna platformówka, w której czuć ducha starej, dobrej szkoły tworzenia gier tego gatunku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

©℗ **Radosław Wojtas**

- **Gatunek:** platformówka 2D
- **Platforma:** PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC
- **Producent; wydawca:** The Game Kitchen; Dotemu

eprasa.pl ace439ea40

Oddychanie strachem

KINO

Korsyka dzika dawno odkryta? Jak się okazuje, nie do końca. Julien Colonna zafundował nam wycieczkę w mroczną przeszłość wyspy. Trzydzieści lat temu w Ajaccio i okolicach toczyła się wojna o wpływy i pieniądze, dla zmyłki nazywana walką o autonomię lub wręcz suwerenność ojczyzny Napoleona. Trup ścielił się gęsto, bo Korsykanie są tak samo honorowi i mściwi jak Sycylijczycy (chociaż, o dziwo, mówią po francusku). Reżyser debiutant oparł się pokusie zrobienia filmu politycznego. Przedstawicieli klasy rządzącej oglądamy tylko na ekranach telewizorów. Potępiają przemoc, tym gorliwiej że jeden z nich padł właśnie ofiarą zamachu. Nie wiedzą, że prawdziwym celem egzekutorów był ktoś inny – ukrywający się od lat szef jednego z najpotężniejszych klanów. Pierre-Paul planował spędzić upalne, śródziemnomorskie lato w zupełnie inny sposób. Zachowując wszelkie środki ostrożności, sprowadził do siebie córkę. Nastolatka, wychowana przez ciotki, chciałaby żyć zwyczajnie, imprezować z rówieśnikami, lecz jest zapatrzona w ojca i zrobi wszystko, by mu się przypodobać. Gotuje, łowi, poluje, umie nawet wypatroszyć dzika.

★★★★☆☆

REŻ. JULIEN COLONNA
„NASZE KRÓLESTWO" („LE ROYAUME")
FRANCJA 2024

wyst. Ghjuvanna Benedetti, Saveriu Santucci, Anthony Morganti

Pierre-Paul, wieczny konspirator, jest w rozterce. Nie może opuścić wyspy, zawieść swoich ludzi, uciec od „obowiązków" i zostać pełnoetatowym tatą. Zdaje sobie sprawę, że wszędobylskie i dociekliwe dziewczę może ściągnąć mu na głowę policję lub zbirów z konkurencyjnego gangu. Odwleka jednak rozstanie z Lesią, gdyż przeczuwa, że jego dni są policzone. Córka to jedyna osoba na świecie, przy której może być stuprocentowo szczery. Nie będzie lepszej okazji, by snuć wspomnienia, przyznać do strachu przed śmiercią i… prosić o wybaczenie.

Gdyby Francis Ford Coppola mniej kochał operę, mógłby nakręcić film podobny do „Naszego królestwa". Tyle, że Oscary przeszłyby mu koło nosa, gdyż Amerykanie najbardziej cenią fabuły efektowne, umiarkowanie realistyczne i zrealizowane w gwiazdorskiej obsadzie. Colonna zatrudnił zaś aktorów amatorów, Korsykę pokazał od mało atrakcyjnej strony, a jej mieszkańców umieścił w moralnej szarej strefie. Takich rzeczy rozsądny człek nie robi, więc pretensje o brak nagród Francuz może mieć tylko do siebie. ©℗

Wiesław Chełminiak

ŻYCIORYS UROZMAICONY

YouTube

Kiedyś na sam jego widok ludzie pękali ze śmiechu. Adolf Dymsza zmarł 50 lat temu, ostatni film w jego karierze był właściwie benefisem. Bohater peregrynuje po urzędach, starając się o przydział ogródka działkowego. Dziennikarka ignorantka usiłuje przeprowadzić wywiad ze „starym warszawiakiem". Słabe? Szczęśliwie to tylko rama, w którą oprawiono fragmenty przedwojennych komedii, w których Dodek śpiewa, tańczy, gra na zdezelowanym pianinie, przebiera się za kobietę i policmajstra, szerzy chaos w szeregach rosyjskiej armii oraz organów porządkowych i wygłasza mądrości w stylu: „Nie bogactwo daje szczęście, tylko gotówka". Towarzystwo innych gwiazd II RP – od Eugeniusza Bodo do Miry Zimińskiej – dobrze mu służy. Nazywany „polskim Chaplinem" Dymsza stworzył postać ponadczasową – cwaniaka z sercem miękkim jak wosk. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. JAN ŁOMNICKI
„PAN DODEK"
POLSKA 1970

wyst. Adolf Dymsza, Anita Dymszówna, Tadeusz Łomnicki

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

W Muzeum Bitwy Warszawskiej

GDZIE?
Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Ossowie
KIEDY?
ekspozycja stała

Musiało upłynąć 105 lat, by jedna z najważniejszych bitew w historii Polski, a zarazem w historii Europy, doczekała się poświęconego jej dużego muzeum. Imponujący budynek Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku, ustawiony na 17-metrowym sztucznym nasypie, zwieńczonym dwoma 70-metrowymi masztami, na których powiewają polskie flagi, otwarto 15 sierpnia. Budowa ruszyła za rządów PiS, obecna władza ją dokończyła. Do powstania takiego obiektu w Ossowie przyczynił się również upór Kawalera Orderu Orła Białego, architekta Czesława Bieleckiego.

FOT. ZIELONKAMIESZKANCY/FACEBOOK

Motto ekspozycji stałej to „Zjednoczeni – Niezwyciężeni". Wśród eksponatów m.in. umundurowanie i broń używane przez obie strony wojny, obrazy upamiętniające starcie z 1920 r., sygnet gen. Tadeusza Rozwadowskiego, pamiątki po Józefie Piłsudskim oraz po ks. Ignacym Skorupce: stuła ze śladami krwi, czapka pasyjka i Order Virtuti Militari. To nowoczesne muzeum, nie brakuje w nim zatem też multimediów. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Uroki prowincji

Felietony to – jak powszechnie wiadomo – sól, pieprz, małmazja i ambrozja żurnalistyki. Należy je jednak dozować, gdyż zebrane po latach w sążnistych tomach rzadko kiedy wytrzymują próbę powtórnej lektury, a w swojej masie zwyczajnie nużą, o czym przekonał się niejeden czytelnik nawet mistrzów tego gatunku. Z tym większą nieufnością wziąłem do ręki „Tu i tam" Huberta Klimko-Dobrzanieckiego z 80 felietonami mającymi swój pierwodruk we wrocławskiej „Odrze" w latach 2012–2023. Powiedzieć, że spotkała mnie miła niespodzianka, to nic nie powiedzieć.

Oczywiście nie jest „Tu i tam" wzorcem z Sèvres i niektóre z autorskich szajb mogą co bardziej niecierpliwych odbiorców literatury zdrażnić. No bo ile można czytać o kolejach, knajpach, których próżno szukać pod dawnymi nazwami, czy przepisach na królika, w dajmy na to śmietanie? Ale może to właśnie jest w tych tekstach najfajniejsze, co piszę z przekonaniem, choć króliczego mięsa nie trawię.

Hubert Klimko-Dobrzaniecki jest człowiekiem niespokojnym, nosi go więc po świecie, a odkąd w 1991 r. wyjechał z Polski, pomieszkuje a to na Islandii (przez dziesięć lat!), a to w Anglii czy Holandii, a od dłuższego już czasu bazę ma w Wiedniu, skąd ma całkiem blisko do rodaków, miłych jego sercu Czechów, a i przedstawicieli innych nacji. Na przykład takich Szwajcarów, którzy dowodzą, że „jeszcze istnieje bytowanie pozaunijne". I co państwo powiedzą: „Tu też po nocy przychodzi dzień. Słońce wschodzi i zachodzi. Pory roku się zmieniają. A dlaczego tak jest? Ponieważ Bruksela nie ma na to żadnego wpływu, by przywołać klasyka […]. Ktoś kiedyś powiedział mi, że Szwajcarzy przeprowadzili kilka referendów w sprawie wstąpienia do Unii. Wszystkie wyszły na »nie«. Ponieważ chcieli całkowicie zamknąć sprawę, przeprowadzili ostatnie referendum dotyczące tego, by już więcej nie było żadnych referendów na temat akcesji. Tym razem przytłaczająca większość wypowiedziała się na »tak«. A szwajcarska tolerancja? Do pozazdroszczenia. Szwajcarzy przede wszystkim tolerują siebie samych. W czterech urzędowych językach i dziesiątkach dialektów mogą się dogadać. Dosłownie i w przenośni. Sporo narodów nie może się porozumieć tym samym językiem. Zawsze są jacyś oni. Zawsze są jacyś my".

Innym razem zauważa, że „Polacy kochają Czechów, choć miłość ta jest wyraźnie jednostronna […]. Zaznaczyć jednak trzeba, że drzewiej inaczej bywało. Kochaliśmy Czechów, a oni kochali nas. Kochaliśmy również Morawian, którzy choć czeskim się posługiwali, trochę inną przynależność plemienną czuli. W każdym razie, kiedy u nich w kraju wpływowe kręgi reakcjonistów niemieckojęzycznych zafundowały stronnictwu braci czeskich kopa, znaleźli owi bracia schronienie w katolickiej, było nie było, Polsce. W Lesznie Wielkopolskim na przykład się osiedlili. Taki Jan Amos Komensky tam mieszkał. Twórca nowożytnej pedagogiki, ale też zdrajca. Niestety, ze Szwedami się skumał podczas potopu i dlatego kopa z Polski dostał – słusznie zresztą. Po wiekach, i w ramach pewnej rehabilitacji, jego podobizna trafiła na banknot o nominale dwustu koron czeskich, którym tak chętnie i Polacy płacą za piwo".

W 2013 r. pan Hubert interesująco opowiedział, jak Czesi wybrali sobie prezydenta. To znaczy Praga go wybrała, bo to – zdaniem autora – „były wybory praskie, a nie ogólnonarodowe – prowincja się nie podniecała. Prowincja, jak przystało na prawdziwą prowincję, do tego prowincję czeską, hrabalowską, ta właśnie cudna prowincja dnia zimowego spała snem kamiennym, ponieważ dzień ten miała w dupie. Nie była to dla mnie żadna nowość – powiada Hubert Klimko-Dobrzaniecki – wszak sam z prowincji zapadłej pochodzę i wiem, że ciepły obiad znaczy tam więcej niż jakieś wybory. Na prowincji się nie wybiera. Na prowincji się trwa".

W Słowacji np. wybrał się pisarz do Zahorskiej Wsi nad Morawą. Konkretne po to, by zbadać możliwości zakupu stojącego tam ceglanego komina. Tego samego, na który w Hrabalowych „Postrzyżynach" zekranizowanych przez Menzla wdrapała się wraz ze swoim pieprzniętym szwagrem Pepinem prześliczna Maryszka, czyli Magda Vášáryová, późniejsza ambasador Słowacji w Polsce zresztą. Autor „Tu i tam" jako nastolatek z miejsca się w niej zakochał, co jest zrozumiałe, tak że jak finalizować będzie transakcję, to mogę się dorzucić.

A państwa namawiam do lektury tej i innych książek (m.in. „Dom Róży. Krysuvik", „Samotność", „Zostawić Islandię", „Fisharmonia") tego autora. Zabawnych, czasem prowokacyjnych, ale i przenikliwych, bywa, że nieoczekiwanie erudycyjnych, wreszcie – co najważniejsze – ciekawych i, jakże to rzadkie!, niegłupich. ©℗

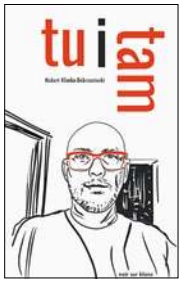

★★★★★

HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI „TU I TAM"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2025

eprasa.pl ace439ea40

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Mroki Pirenejów

Jest to opowieść o Hiszpanii, ale nie tej ze słonecznych plaż Costa del Sol, lecz górskiej, surowej niczym pustkowia Las Hurdes filmowane przez Luisa Buñuela niemal 100 lat temu. Wioska Turmo leży jednak nie w prowincji Salamanka, lecz gdzieś na pograniczu hiszpańsko-francuskim.

Krótka powieść, ale w formie złączonych, przeglądających się w sobie miniatur. „Znakomite opowiadania, złączone pomysłem fabularnym, w którym każda następna historia wyjaśnia to, co zdarzyło się w poprzedniej" – rekomenduje na okładce sam Eustachy Rylski. Autorka to Polka mieszkająca w Hiszpanii, tłumaczka tekstów filozoficznych.

W jednym zgodzę się z Rylskim – to jest proza godna uwagi, to jest ciekawe specyficzne literackie połączenie polskiej wrażliwości z hiszpańskim kolorytem lokalnym. Podobne odczucia towarzyszyły mi podczas lektury powieści Marka Magierowskiego „Dwanaście zdjęć prezydenta", tyle że on na potrzeby swej fikcji wymyślił całe państwo wyspę, a Maria Fogler jedynie kamienną wioseczkę w Pirenejach.

W opowieści rozciągniętej na kilka dekad, od czasów przed wojną domową do współczesności, pojawiają się mieszkańcy Turmo, których przychodzenie na świat i z niego odchodzenie jest równie naturalne jak następowanie po sobie pór roku. Te zwykłe życiorysy, ten realizm, połączony z poetyckim chwilami stylem, są największą siłą książki. Zawodzi natomiast ów wątek fabularny, który ma wszystko splatać. Niektóre dialogi (zwłaszcza w pierwszym opowiadaniu) odstają anachronizmem od dobrych partii refleksyjnych.

W swojej literackiej grze jest też Fogler chwilami stronnicza – wstydzić się za swe grzechy muszą głównie mężczyźni, a godne współczucia są głównie kobiety. Najsympatyczniejsza z nich to ateuszka ukrywająca całe życie przed księdzem swój ateizm i akceptację dla aborcji. Gdy od drobnych obserwacji i filozoficznej akceptacji surowości praw natury i mroków ludzkiej duszy autorka przechodzi do tzw. ważnego przesłania, grzęźnie w banale. Bo sięga po nazbyt zgrane karty: jak ofiara, to Żydówka, jak okrutnik, to zawsze biały człowiek (fragment afrykański).

Mniej znaczy więcej – dobre jest w tej książce spojrzenie na odwieczny rytm życia i udręczone dusze mieszkańców Turmo. Nadbudowa już mniej interesuje. Nie jest to więc książka znakomita, lecz prawie bardzo dobra. A „prawie" czyni różnicę. ©®

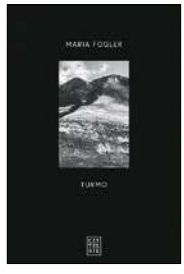

★★★☆☆☆
MARIA FOGLER „TURMO" CZYTELNIK 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Wolność myślenia w erze neurotechnologii": Co robić, jeśli połączenie mózgu i neurotechnologicznych narzędzi nadejdzie szybciej, niż myślimy? Już teraz potrzebne są rozwiązania prawne w obronie naszej wolności i niezależności.

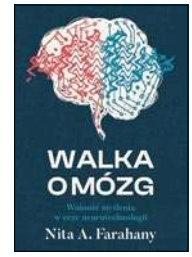

NITA A. FARAHANY „WALKA O MÓZG" ZYSK I S-KA

Od biedy w Irlandii do przyjęć z gwiazdami w Londynie – wspomnienia irlandzkiej pisarki, z której poglądami łączy mnie niewiele, ale pióro ma znakomite, a jej autobiografia jest kapitalnym świadectwem epoki.

EDNA O'BRIEN „IRLANDZKA DZIEWCZYNA" CZARNE

Andrzej Nowak, Wojciech Roszkowski, Tomasz G. Grosse, Ewa Thompson, a z drugiej strony także Antoni Dudek, Barbara Piwnik czy Maria Szyszkowska. Zbiór rozmów definiujących współczesny spór o Polskę.

KATARZYNA OBŁĄKOWSKA „PRAWDA WYZWOLONA" ZONA ZERO

Najzabawniejsza (obok „Billa, bohatera Galaktyki") powieść zmarłego w 2012 r. twórcy SF. Jak nakręcić realistyczny film o wikingach? Cofnąć się w czasie do ich epoki. A gdy nie będą zachowywać się po wikińsku? Namówić ich.

recenzuje Piotr Gociek

HARRY HARRISON „FILMOWY WEHIKUŁ CZASU" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: HORROR KOSMICZNY

Autor zaskakujących i niekonwencjonalnych adaptacji klasyki (jak choćby odjechana wersja „Draculi"), klasyk argentyńskiego komiksu, tym razem proponuje własne spojrzenie na najbardziej znane utwory H.P. Lovecrafta. Prace pochodzące sprzed półwiecza doskonale zniosły próbę czasu. Adaptacji literackiej dokonał Norberto Buscaglia.

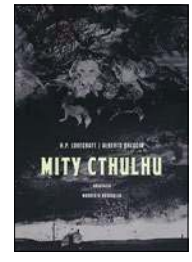

ALBERTO BRECCIA „MITY CTHULHU" NON STOP COMICS 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl ace439ea40

Michał Krupa

Marniejąca kondycja Zachodu

W oczach Emmanuela Todda Europa Wschodnia – w tym Polska – stała się strefą buforową Zachodu. Przekonanie Polaków o „powrocie do Europy" nabiera – w świetle jego analiz – cech tragikomicznych. Polska nie „wróciła", tylko została zintegrowana z Zachodem jako przedmurze wojny, miejsce taniej siły roboczej i rynek zbytu

Opublikowana w roku 2024 książka Emmanuela Todda „La Défaite de l'Occident" („Klęska Zachodu") to jedno z najbardziej dyskutowanych dzieł współczesnej myśli polityczno-socjologicznej. Francuski demograf i historyk, znany ze swoich przenikliwych analiz upadku komunizmu czy islamu jako religii ekspansywnej, tym razem bierze na warsztat współczesny Zachód. Wnioski są druzgocące: Zachód przegrywa nie tylko gospodarczo, lecz także duchowo i cywilizacyjnie. Todd nie pisze z pozycji apologety Rosji czy konserwatysty, lecz jako intelektualista, który dostrzega, że Zachód stracił kontrolę nad własnym losem.

Pozycja, o której mowa, oparta jest na analizie długich trendów demograficznych, kulturowych i gospodarczych. Todd, jak zwykle, łączy perspektywę socjologiczną z historyczną i antropologiczną, przez co jego diagnozy są zarówno przekrojowe, jak i zakorzenione w konkretnych faktach.

REAKCJA OBRONNA

Jednym z centralnych tematów książki jest populizm. Todd nie potępia go w całości, jak czyni to wielu liberałów, lecz stara się zrozumieć, skąd się bierze jego siła. Wskazuje na to, że populizm nie jest anomalią demokracji, lecz reakcją obronną przed jej degeneracją. Demokracje zachodnie, choć formalnie utrzymują procedury wyborcze, w praktyce wykluczają obywateli z realnego wpływu na politykę. Wybory coraz częściej przypominają plebiscyty na osobowość medialną, a nie na realne programy polityczne. Ludzie dostrzegają, że niezależnie od tego, kogo wybiorą, polityka gospodarcza i zagraniczna pozostaje taka sama.

Todd analizuje te zjawiska na przykładach USA (Donald Trump), Francji (Marine Le Pen i Jean-Luc Mélenchon), Włoch (Matteo Salvini, Giorgia Meloni), Niemiec (AfD) czy Wielkiej Brytanii (brexit). W każdym z tych przypadków mamy do czynienia z podobną dynamiką: „Systemowa alienacja wyborcy i próba powrotu do wspólnoty politycznej przez populistyczny skrót emocjonalny".

Jak wskazuje: „Między 1999 a 2014 rokiem odsetek użytkowników internetu na świecie wzrósł z 5 proc. do 50 proc. Kraje zostały przekształcone we wsie, a kontynenty w kantony. Jednak w najbardziej rozwiniętych państwach rozprzestrzenia się poczucie upadku i bezradności wobec niego. W Stanach Zjednoczonych w tym samym czasie mediana dochodu gospodarstw domowych spadła z 57 909 do 53 718 dolarów. Wzrósł wskaźnik umieralności białych Amerykanów w wieku

eprasa.pl ace439ea40

Żołnierz ukraiński strzela w kierunku wojsk rosyjskich na linii frontu w obwodzie donieckim, 5 sierpnia 2025 r.

FOT. OLEKSANDR RATUSHNIAK/REUTERS/FORUM

45–54 lat. Bunt białego elektoratu doprowadził w listopadzie 2016 r. do wyboru nieprawdopodobnego, budzącego obawy kandydata – Donalda Trumpa". Obecna kondycja USA „to niebezpieczny stan pustki, z resztkowymi obsesjami na punkcie pieniędzy i władzy", które prowadzą do „samozniszczenia, militaryzmu, endemicznej negatywności, czyli w gruncie rzeczy – nihilizmu".

Todd nie gloryfikuje przy tym populizmu. Pisze jasno: populizm to energia sprzeciwu, ale nie oferuje spójnego programu. Jest reakcją, nie propozycją. Brakuje mu zaplecza instytucjonalnego i kadr zdolnych do odbudowy systemu.

SPROWOKOWANY KONFLIKT

Najbardziej kontrowersyjna część książki dotyczy wojny na Ukrainie. Todd, wbrew głównemu nurtowi francuskiej i zachodniej opinii publicznej, przedstawia ją nie jako klasyczny konflikt agresora i ofiary, lecz jako „symptom rozkładu zdolności strategicznych Zachodu".

Zachód sprowokował konflikt, na który nie był ani moralnie, ani przemysłowo, ani psychologicznie przygotowany. Todd przypomina: „Przyzwyczajeni do narzucania wartości, które cały świat powinien zaakceptować, ludzie Zachodu szczerze, a wręcz naiwnie oczekiwali, że cała planeta podzieli ich oburzenie wobec Rosji. Rozczarowali się. Po pierwszym szoku wojny zaczęły się pojawiać coraz mniej skrywane przejawy poparcia dla Rosji w różnych miejscach na świecie".

Todd twierdzi, że wojna ta ujawnia trzy fundamentalne słabości Zachodu. Pierwsza z nich to brak przemysłu. Zachód od dziesięcioleci przenosi produkcję do Azji. W efekcie nie jest w stanie produkować amunicji, czołgów czy dronów na skalę potrzebną do wsparcia Ukrainy lub prowadzenia długofalowego konfliktu.

Zdaniem Todda wojna na Ukrainie ujawnia trzy fundamentalne słabości Zachodu: brak przemysłu, brak autonomii decyzyjnej Europy, mit moralnej wyższości

Słabość druga to brak autonomii decyzyjnej Europy. Unię Europejską Todd przedstawia jako twór podporządkowany interesom amerykańskim. Bruksela, jego zdaniem, nie posiada niezależnego myślenia strategicznego i jedynie powiela przekaz Waszyngtonu. Jak pisze: „Z żalem włączam strach do mojej interpretacji europejskiej służalczości wobec USA. Nie jest to jedyny czynnik podporządkowania, ale ten system władzy, absolutnie szczelny, z posłuszeństwem bliskim 100 proc., sugeruje, że w najwyższych sferach panuje atmosfera totalitarna. Władimir Putin może ironizować, mówiąc, że gdyby USA kazały europejskim przywódcom powiesić się, zrobiliby to, ale błagaliby, aby sznury były wyprodukowane u nich; i dodaje, że ta prośba zostałaby odrzucona, by chronić interesy amerykańskiego przemysłu tekstylnego. Do skrajnego posłuszeństwa – skrajne wyjaśnienie".

Niedawne nazwanie Donalda Trumpa „daddy" przez sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego, choć miało żartobliwy ton, zostało odebrane jako

eprasa.pl ace439ea40

symboliczna manifestacja nierównowagi relacji transatlantyckich. I wreszcie słabość trzecia to mit moralnej wyższości: Zachód traktuje konflikt jako starcie Dobra (Ukrainy i liberalnych demokracji) ze Złem (Rosja, „autokracja"). Tymczasem Todd przypomina, że moralne uproszczenia często uniemożliwiają analizę realnych interesów i prowadzenie racjonalnej dyplomacji.

W tym kontekście autor przypomina artykuł w „Foreign Affairs" zatytułowany: „Jak Ameryka zniszczyła swoją machinę wojenną". Informuje, że przemysł obronny, który w latach 80. zatrudniał 3,2 mln pracowników, po restrukturyzacjach i koncentracji przedsiębiorstw zatrudnia dziś jedynie 1,1 mln. To spadek o dwie trzecie. Amerykańscy ekonomiści, mistrzowie przekręcania rzeczywistości, prawdopodobnie nazwaliby ten proces „konsolidacją".

Przykładem fatalnego błędu Zachodu jest „przecenienie skuteczności sankcji". Todd pokazuje, że gospodarka rosyjska, mimo strat, zaadaptowała się do nowej sytuacji szybciej, niż ktokolwiek przewidywał, podczas gdy Europa odczuwa poważny kryzys energetyczny i inflacyjny. Jak pisze: „Każdy nowy reżim sankcji wydaje się skłaniać Rosję do kolejnych przekształceń gospodarczych i do odzyskiwania autonomii względem rynku zachodniego". Nie dziwi więc konstatacja autora, że „Europa zaangażowała się w wojnę głęboko sprzeczną z jej interesami, prowadzącą do autodestrukcji". Stawia również zasadne pytanie: „Jak to możliwe, że przy społeczności wywiadowczej liczącej sto tysięcy osób tylko w samych Stanach Zjednoczonych mogli sobie wyobrazić, że odcięcie od systemu SWIFT i sankcje powalą na kolana ten kraj o powierzchni 17 milionów km kw.?".

Rosja pod rządami Putina znacznie się zmieniła w porównaniu z rozkładem państwa za czasów Borysa Jelcyna. Szczególnie warto zwrócić uwagę na sytuację zdrowotną społeczeństwa rosyjskiego. Liczba zgonów, którym można było zapobiec – spowodowanych morderstwami, chorobami sercowo-naczyniowymi, alkoholem itd. – spadła od roku 2000 do 2018 o niemal 50 proc. Średnia długość życia u mężczyzn, spadająca od roku 1960 do 2005, a u kobiet pozostająca na stałym poziomie, regularnie wzrastała u obu płci aż do 2019 r., mimo że osiągnięte wartości są nadal niskie (ok. 67 lat u mężczyzn wobec ok. 80 lat we Francji).

Oczywiście Rosja boryka się ze stopniowym spadkiem liczby ludności na ogromnym terytorium, co skłania Todda do stwierdzenia, że Putin miał tylko krótkie okno czasowe na atak na Ukrainę, zanim liczba dostępnych do mobilizacji ludzi stanie się zbyt mała. W tym kontekście warto zachować sceptycyzm co do istnienia takiego okna czasowego, zwłaszcza że wojna na Ukrainie pochłania życie przede wszystkim młodych mężczyzn – najwyraźniej w dziesiątkach tysięcy – którzy tym samym nie będą mogli założyć rodziny. Do tego dochodzi duża liczba osób uciekających za granicę, co z dużym prawdopodobieństwem przyczyni się do dalszego spadku liczby urodzeń w Rosji w najbliższych latach, pogłębiając tym samym już trudną sytuację demograficzną. Toczenie wojny w tak przewidywalnych warunkach wydaje się zadziwiającą decyzją, chyba że przyjmie się, iż Rosjanie myśleli, że wygrają w dwa dni, ponosząc minimalne straty, albo – jak wskazuje wielu analityków – liczyli raczej na szybkie zakończenie „specjalnej operacji wojskowej", zmuszając militarnie Ukrainę do ustępstw i negocjacji, które – jak ukazują niezbite dowody – zostały sabotowane przez Zachód w kwietniu 2022 r. przy walnym udziale ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona.

Według Todda demokracje zachodnie, choć formalnie utrzymują procedury wyborcze, w praktyce wykluczają obywateli z realnego wpływu na politykę

Czy podjęliby tę decyzję, gdyby na początku lepiej ocenili zdolności Ukrainy i możliwość mobilizacji zasobów Zachodu dla Kijowa? Todd co prawda na to pytanie nie odpowiada, ale wyraźnie stwierdza, że nie ma żadnego ryzyka, aby Rosja próbowała zdobyć kraj europejski – po prostu nie ma na to ludzi. Ten argument jest niepodważalny.

DUCHOWA PUSTKA

Autor analizuje również szerszy kontekst: Rosja jako spadkobierca cywilizacji o długiej strukturze rodzinnej (autorytatywno-kolektywnej) kontra Zachód z jego zatomizowaną jednostkowością. W tym układzie Ukraina jawi się jako pole bitwy nie tylko geopolitycznej, lecz także cywilizacyjnej. Todd idzie dalej i pokazuje, że wojna ta może przyspieszyć koniec Zachodu jako spójnego projektu hegemonicznego. Chiny, Indie i inne państwa BRICS oraz reszta tzw. Globalnego Południa patrzą na Zachód jak na siłę niezdolną do samoorganizacji. Sojusze amerykańskie są coraz bardziej płytkie, a świat wielobiegunowy staje się realnością, nie teoretycznym zagrożeniem.

Todd zwraca też uwagę na duchową pustkę Zachodu. W jego analizie zanik protestantyzmu i sekularyzacja katolicyzmu prowadzą do fragmentacji społecznej. Religia, dawniej spajająca wspólnoty i nadająca sens etyczny, została zastąpiona przez ideologie tożsamościowe, konsumpcjonizm i „moralność eksportową" (czyli próbę narzucania swojego etosu innym kulturom). Wraz z upadkiem religii upada również państwo narodowe, doprowadzając do sytuacji, „w której jednostki zostały pozbawione jakiejkolwiek zbiorowej wiary zastępczej […], w tym właśnie momencie dochodzi do rozpadu państwa narodowego […] w społeczeństwach zatomizowanych, w których nie można już sobie nawet wyobrazić, że państwo może działać skutecznie".

W niektórych państwach osiągnięto taki stan religijnego indyferentyzmu, że Todd nazywa go mianem „religijnego zera", tłumacząc, iż to właśnie takie położenie „sprawiło, że zanikło poczucie narodowe, etyka pracy, pojęcie zobowiązującej moralności społecznej, zdolność do poświęcenia się dla wspólnoty".

Todd mocno krytykuje współczesny model gospodarczy Zachodu. W jego opinii klasa średnia została zniszczona przez globalizację, a elity finansowe odseparowały się od reszty społeczeństwa. System edukacyjny zaś produkuje ludzi niezdolnych do myślenia technicznego czy strategicznego.

eprasa.pl ace439ea40

Na przykładzie ojczystej Francji przypomina: „Wzrost liczby osób z dyplomem tworzy mnóstwo pasożytów. Jeśli francuski czytelnik chce się przestraszyć i zastanowić, dlaczego jego kraj się zuboża, zamiast wykrzykiwać przeciwko urzędnikom czy imigrantom, niech zastanowi się nad liczbą studentów w szkołach biznesu, zarządzania, rachunkowości i sprzedaży, których liczba wzrosła z 16 000 w 1980 roku do 239 000 w latach 2021–2022".

Todd ostrzega, że w sytuacji konfliktów globalnych Zachód nie będzie miał kim i czym walczyć. Wskazuje, że brak kadr technicznych to efekt dekad zaniedbań i fetyszyzacji edukacji humanistycznej, oderwanej od praktycznych potrzeb.

Książka wywołała ostrą polemikę. Dla liberałów Todd to cynik i defetysta. Dla części konserwatystów – sojusznik z rozsądnym spojrzeniem. Krytykował go Bernard-Henri Lévy, bronił Pascal Bruckner. Recenzenci podkreślają, że Todd dotyka tematów tabu: wypłukiwania demokracji z treści, pustki ideologicznej Unii Europejskiej, klęski moralizatorskiej polityki zagranicznej.

Zarazem nikt nie zaprzecza, że jego ostrzeżenia są warte uwagi. Bo jeśli Zachód nie odbuduje swojej suwerenności intelektualnej, przemysłowej i duchowej, to jego upadek będzie nie tylko demograficzny, lecz także cywilizacyjny.

Emmanuel Todd nie pisze dla poklasku. Jego diagnoza jest ostra, momentami brutalna, ale logiczna i zakorzeniona w twardych danych. Jego praca to nie manifest polityczny, lecz intelektualna mapa kryzysu cywilizacji zachodniej. To książka, która zmusza do myślenia i której nie da się zignorować, jeśli chce się rozumieć świat po 2022 r.

Dla polskiego czytelnika praca Todda może być lekturą zarazem fascynującą i głęboko prowokującą. Nie dlatego, że Todd głosi jakieś radykalne tezy, ale dlatego, że konsekwentnie podważa kilka z kluczowych dogmatów, które dominują w polskiej przestrzeni publicznej od 1989 r. W szczególności: bezwarunkową wiarę w Zachód jako centrum racjonalności i moralnej wyższości oraz głęboko zakorzenioną rusofobię – dziś często przekształconą w mechanizm tożsamościowy.

Todd nie jest rusofilem, jak próbują go przedstawić jego krytycy. Ale dla polskiego odbiorcy jego chłodna, realistyczna analiza Rosji – jako cywilizacji o własnej dynamice demograficznej, religijnej i politycznej, niekoniecznie gorszej od zachodniej – może być trudna do przyjęcia.

Szczególnie że Todd, w duchu klasycznej szkoły realistycznej, nie moralizuje: nie próbuje rozstrzygać, kto ma „rację" w wojnie na Ukrainie, lecz pokazuje, jak doszło do konfrontacji i co ona mówi o stanie samego Zachodu. Tym bardziej cieszy zapowiedziana publikacja pracy Todda również w języku polskim przez krakowskie Wydawnictwo Universitas.

BOLESNE WNIOSKI

W Polsce, gdzie rusofobia pełni funkcję „ideologii obywatelskiej" – scalającej liberalnych postsolidarnościowców z establishmentową prawicą – każda próba zrozumienia Rosji odbierana jest jako zdrada, a już na pewno każda próba bez obowiązkowych odwołań do „imperializmu", „maskirowki", „wojny hybrydowej" czy „kremlowskiej narracji".

Todd jednak nie szuka zrozumienia z sympatii, lecz z naukowej konieczności. I właśnie to może być największym wyzwaniem dla polskiego czytelnika. Szczególnie szokująca może być następująca obserwacja: „Osobiście pozostaję przekonany, że wysiłki Stanów Zjednoczonych mające na celu odseparowanie Niemiec od Rosji – jedna z ich strategicznych obsesji od 1990 roku – ostatecznie zakończą się niepowodzeniem. Na mapie Europy wyraźnie widać dwie główne siły: Niemcy i Rosję. Ich wspólna dzietność na poziomie 1,5 dziecka na kobietę działa uspokajająco i zbliża je do siebie. Nie mogą już prowadzić wojny; ich gospodarcza specjalizacja wskazuje na komplementarność. Prędzej czy później podejmą współpracę. Amerykańsko-ukraińska porażka otworzy drogę do ich zbliżenia. Stany Zjednoczone nie będą mogły w nieskończoność powstrzymywać siły, którą można nazwać niemal grawitacyjną, przyciągającą wzajemnie Niemcy i Rosję". Biorąc pod uwagę jednak, że obserwacja ta pochodzi od człowieka, który przewidział upadek ZSRS już w 1976 r., długo przed krachem imperium, powinna być tym bardziej odnotowana przez polskie elity, których znakiem rozpoznawczym przeważnie jest daleko posunięte myślenie życzeniowe na tematy związane z Niemcami i Rosją.

Z tej perspektywy Todd może być nie tyle „niebezpieczny", ile wywrotowy dla polskiej klasy politycznej – zarówno liberalnej, jak i konserwatywnej. Uderza bowiem w ich wspólne złudzenia: że Zachód jest bezalternatywny, że Rosja jest wcieleniem zła, a Ukraina – uosobieniem moralności geopolitycznej. Tymczasem Todd pokazuje, że Europa Środkowa jest zakładniczką cudzych interesów i że jej podmiotowość została „sprywatyzowana" przez sojusze wojskowe i ideologiczne.

W oczach Todda Europa Wschodnia – w tym Polska – stała się strefą buforową Zachodu, nie jego pełnoprawną częścią. Polski mit, że „wróciliśmy do Europy", staje się – w świetle jego analiz – tragikomiczny. To nie Polska „wróciła", tylko została zintegrowana jako przedmurze wojny, miejsce taniej siły roboczej i rynek zbytu. Polska nie jest decydentem Zachodu, tylko jego narzędziem – i to właśnie zdaje się wynikać z analiz Todda. Ujmując sprawę szerzej, w kontekście Europy Wschodniej, Todd konstatuje: „Rzeczywistość jest taka, że wszystkie te kraje, mimo swojej różnorodności, są zdominowane przez klasy średnie wytworzone przez komunizm, które – po uzyskaniu wolności – podporządkowały swoje proletariaty zachodniemu kapitałowi".

Dla wielu Polaków takie wnioski mogą być bolesne. Ale właśnie dlatego lektura pracy Todda może działać oczyszczająco. W świecie, w którym iluzje są podtrzymywane przez klasę polityczną i medialną, głos kogoś spoza regionu – chłodny, analityczny, ale nie cyniczny – może pomóc zrozumieć nasze miejsce w układance globalnych przemian.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Książka Emmanuela Todda „La Défaite de l'Occident" – szeroko komentowana we Francji i poza nią – ukaże się po polsku w najbliższych miesiącach w Wydawnictwie Universitas. To prowokujące, a momentami kontrowersyjne dzieło wybitnego demografa i historyka analizuje głęboki kryzys cywilizacyjny Zachodu, przywołując zarówno dane statystyczne, jak i odważne tezy geopolityczne.

eprasa.pl ace439ea40

Trauma 1939

Rafał A. Ziemkiewicz

Skąd wzięły się polskie „fatalności”? To oderwanie od rzeczywistości i swoista społeczna „dwufazówka”, zaburzająca narodową samoocenę? Oraz ta niemożność niepodległego istnienia bez wzajemnej nienawiści i chorobliwej pogardy „stronnictw politycznych”?

Wciąż nie chcemy, a jeśli nawet chcemy, to nie potrafimy rozmawiać o naszej historii. Spory o nią przebiegają w sposób zrytualizowany, płytki, sprowadzane są do powtarzania podnoszonym chętnie głosem jedynie słusznych sloganów, rwania szat i traktowania każdej próby rewizji stereotypów wyłącznie w kategoriach bluźnierstwa lub szyderstwa. Wiem, o czym piszę, jak mało kto – w życiu nie doświadczyłem reakcji tak głupich i „ni pri czom”, jak po publikacji 11 lat temu książki „Jakie piękne samobójstwo”. Książki, w której starałem się, lepiej czy gorzej – nie mnie oceniać – zanalizować, w którym momencie weszliśmy na ścieżkę bezwolnego poddania się wojennej hekatombie i spotęgowania jej skutków, co sprawiło, że kolejni nasi przywódcy popełniali błąd za błędem, każdy bardziej brzemienny w tragiczne następstwa od poprzedniego. I którą, w znacznym stopniu przepracowawszy, wznawiam teraz, bo wyciągnięcie wniosków z tego polskiego „marszu szaleństwa”, że odwołam się do tytułu i przewodniej myśli sławnej książki Barbary Tuchman, jest dziś pilniejsze niż kiedykolwiek.

Odmowa uczestnictwa w układach mających powstrzymać niemieckie dążenia do rewizji traktatu wersalskiego i granic. Milcząca aprobata dla „Anschlussu” Austrii. Zaniechanie podniesienia w porę w rozmowach z Hitlerem sprawy przyszłości Gdańska i obsesyjne skupienie na dążeniu do zdominowania Słowacji oraz uzyskania wspólnej granicy z Węgrami, prowadzące do uznania niemieckiego rozbioru Czechosłowacji i udziału w nim. Wszystko, co powyżej, z pozycji siły i w pewności, że Niemcy podporządkują się w końcu mocarstwowym koncepcjom sanacji, nie ważąc się na konflikt zbrojny z armią polską. I przy całkowitym wyparciu ze świadomości istnienia ZSRS w przekonaniu o jego słabości i rychłym rozkładzie, które przekuto w polityczny aksjomat, że ze strony Stalina nic nigdy nam nie zagrozi.

ROLA MARIONETKI

Dalej: odreagowanie okpienia Becka w sprawie Słowacji radykalnym postawieniem sprawy Gdańska, poniewczasie, i rzuceniem się w ramiona Anglii, w chwili gdy już zostaliśmy otoczeni z trzech stron przez III Rzeszę, skutkujące ściągnięciem na Polskę uderzenia, które dotąd planował Hitler skierować na Francję. Wyparcie ze świadomości paktu Ribbentrop-Mołotow i informacji wywiadowczych o załączonym doń tajnym protokole. Niebiorący pod uwagę rzeczywistej siły Niemiec – mimo ustalenia jej przez polski wywiad – czysto ofensywny plan kampanii wrześniowej, a po jego szybkim załamaniu katastrofa dowodzenia i, już od 6 września, praktycznie tylko nieustająca ucieczka dowództwa i władz państwa ku granicy rumuńskiej. A na koniec – ciążące nad całym późniejszym półwieczem zaniechanie oficjalnego ogłoszenia stanu wojny z ZSRS po agresji 17 września.

Dalej – zerwanie ciągłości państwa i złamanie konstytucyjnego następstwa jego władz, przyjęcie przez Sikorskiego władzy nad Polakami z nominacji sojuszników w zamian za ograniczenie się do roli marionetki w ich rękach, wiele jego katastrofalnych błędów, na czele z absurdalną koncepcją „kapitału krwi”, czyli dążenia do maksymalnego wykrwawiania okupowanego kraju celem moralnego zobowiązania zachodnich aliantów do odwdzięczenia się za poniesioną ofiarę w traktatach pokojowych. Długotrwałe milczenie o zbrodniach Sowietów, o Katyniu, a potem podniesienie sprawy w najgorszym możliwym momencie, po użyciu jej przez Niemców do próby poróżnienia aliantów. Szalona koncepcja traktowania Sowietów jako „sojusznika naszych sojuszników” i bezgraniczna wiara, że Roosevelt z Churchillem wymuszą na Stalinie godne potraktowanie Polski, zaniechanie przeciwdziałania penetracji komunistycznej w okupowa-

eprasa.pl ace439ea40

Żołnierze polscy, wzięci do niewoli pod Zamościem, czekają na transport do obozu jenieckiego, wrzesień 1939 r.
FOT. EAST NEWS

nym przez Niemców kraju, a na koniec zbrodnicza wręcz decyzja o ujawnieniu przed wkraczającymi Sowietami wszystkich struktur państwa podziemnego i podaniu im na tacy, do eksterminacji, całej Armii Krajowej i delegatur rządu na kraj, zwana „planem Burza”, której częścią było samopalenie Warszawy.

Wielu czytelnikom powyższe, z konieczności bardzo pobieżne wyliczenie wydać się może dyskusyjne. Zaręczam – prawda, a przecież wszyscy chyba zgodzimy się z Mackiewiczem, że tylko ona jest ciekawa, była inna od bajek, które sobie o własnej historii ułożyliśmy, początkowo po to, żeby w obliczu dokonanej zagłady nie zwariować, a potem, sam już nie wiem, chyba z intelektualnego lenistwa i w imię dobrego samopoczucia. Utarło się np. opisywać sprawę Gdańska tak, jakby zaistniała ona dopiero na przełomie lat 1938 i 1939, w chwili ogłoszenia niemieckich żądań eksterytorialnego korytarza – a przecież wiadomo było, że mandat Ligi Narodów wygasa w roku 1940, a wtedy „wolne miasto”, w zdecydowanej większości niemieckie oraz nazistowskie, i tak zostanie włączone do Rzeszy, lege artis i przy pełnej aprobacie świata, i rząd polski winien był zabezpieczyć polskie interesy na Wybrzeżu ze stosownym wyprzedzeniem, zamiast brnąć w nieakceptowaną nawet przez sojuszników narrację o polskości Gdańska i nieoddawaniu ani guzika. Utarło się całą opowieść o kampanii wrześniowej opierać na wspomnieniach współsprawców klęski, w których na potęgę wybielali oni siebie samych i sanację jako taką, tworząc post factum mity inspirowane doświadczeniami późniejszymi, zwłaszcza kampanii francuskiej – a ignorować ogólnie dostępne źródła niemieckie, opisujące dokładnie ruch jednostek i ich działania dzień po dniu. Tymczasem wzięte pod uwagę, zaświadczone w archiwach fakty – polecam tu niedawno wydaną, przełomową książkę „Kampania wrześniowa 1939” Grzegorza Górskiego – całą opowieść niedobitków sanacji niweczą punkt po punkcie, ukazując bezmiar nieudolności dyktatury, która swą propagandową legitymizację czerpała z potrząsania szabelką, a zmarnowała praktycznie w dwa tygodnie, mimo licznych szans na przełamanie niemieckiego naporu, najsilniejszą armię, jaką miała Polska kiedykolwiek w swych dziejach.

Fakty są takie, że Polska w sojuszu z Hitlerem była i przełomową decyzją nie było jego zawarcie, lecz spektakularne zerwanie go w momencie najbardziej dla Polski niekorzystnym

KRWAWY PR

Podobnie jest z maglowaną jałowo co roku sprawą Powstania Warszawskiego, które po pierwsze całkowicie wyrywa się z ogólnego kontekstu planu „Burza”, a po drugie skupiono całą dyskusję na decyzji o jego wybuchu – podczas gdy kluczowa dla katastrofy była decyzja o dzień późniejsza, by, pomimo całkowitej klęski w pierwszym dniu i nieosiągnięciu żadnego z założonych celów, odstąpić od pierwotnego planu. Plan bowiem zakładał w takim wypadku wycofanie oddziałów powstańczych z Warszawy (zgrupowanie żoliborskie nie otrzymało zmienionych rozkazów na czas i istotnie rozpoczęło „odskok”, by potem znowu krwawo zdobywać opuszczone zgodnie z pierwotnymi założeniami pozycje). To wtedy właśnie dopuszczono się całkowitego szaleństwa, z pełną świadomością tego, co w chwili wydania rozkazu jeszcze oczywiste nie było: że powstanie nie ma żadnego militarnego sensu ani szans na jakiekolwiek powodzenie, że zagłada miasta będzie tylko rodzajem krwawego PR, obliczonego na poruszenie sumień Churchilla i Roosevelta.

eprasa.pl ace439ea40

Jedenaście lat, w których czasie historycy dokonywali nowych ustaleń i odkrywali nieznane wcześniej źródła, to dość, by zweryfikować hipotezy postawione w pierwszym wydaniu. Czytelnik zechce – mam nadzieję – ocenić to sam, ale osobiście uznałem, że właściwie żadnej z zasadniczych tez mojej książki w tym czasie nie obalono przekonującymi kontrargumentami. Trudno zresztą było o to w sytuacji, gdy adwersarze celowo wszystko, co napisałem, ignorowali, skupiając się na przypisywaniu mi tez z „Paktu Ribbentrop-Beck” Piotra Zychowicza (którą to książkę cenię za odwagę włożenia kija w mrowisko, ale mam swoje zdanie) i histerycznym artykułowaniu sprzeciwu wobec sojuszu z Hitlerem. Tymczasem fakty są takie, że Polska przecież w sojuszu z Hitlerem była i przełomową decyzją nie było jego zawarcie, które przyszło niejako samo z siebie, lecz spektakularne zerwanie go w momencie najbardziej dla Polski niekorzystnym.

Przygotowując wznowienie, nie czułem więc potrzeby weryfikowania swych dawniejszych intuicji, ale niezbędne okazało się ich pogłębienie. W części dotyczącej Rydza, Becka i Września 1939 zatrzymałem się byłem bowiem na oderwaniu ówczesnych polskich elit politycznych od rzeczywistości, na urojonej mocarstwowości, która kazała im traktować armię niemiecką – w rzeczywistości najlepiej wtedy, dzięki restrykcjom traktatu wersalskiego, zorganizowaną, wyszkoloną i dowodzoną armię świata – jak żałosną zbieraninę, którą polskie wojsko popędzi bagnetami ku Berlinowi, jak swego czasu pędziło na wschód rozbite hordy bolszewickie. Oraz na obłąkańczej licytacji prowadzonej w późnych latach 30. pomiędzy władzą a opozycją, kto bardziej przywoła niesfornych Niemców do porządku i kto odbierze im więcej polskich ziem. Licytacji, w której narodowi radykałowie, a także ludowcy i wypchnięci na emigrację współojcowie polskiej niepodległości z Frontu Morges oskarżali Becka i Rydza o kapitulanctwo i agenturalność, żądając natychmiastowego uderzenia na Niemcy i odebrania im reszty Śląska oraz zachodniego Pomorza.

Ta obłąkańcza licytacja, kto – „Piłsudskiego dzieci”, czy ci, których owe dzieci zamykały w więzieniach i torturowały w Berezie – uczyni Polskę mocarstwem, czyniła możliwym plan, o którym historycy nie mogą powiedzieć nic pewnego dopóty, dopóki nie zostaną otwarte archiwa brytyjskiego wywiadu, a te nie zostaną otwarte nigdy, ale który publicysta może opisać, kierując się dedukcją, historycznym kontekstem i nielicznymi wzmiankami w źródłach. Plan przeprowadzenia przez wywiad brytyjski w Polsce zamachu stanu, by odsunąć od władzy „proniemiecką” sanację i już wtedy wysunąć do władzy Sikorskiego, chętnego zapłacić za pomoc w położeniu kresu „ohydzie rządów pomajowych” kapitałem polskiej krwi wylanej w walce z Hitlerem. Tak dokładnie, jak zrobili to Anglicy w Jugosławii w 1941 r., gdzie rękami antyniemiecko nastawionych oficerów obalili kapitulującego przed Hitlerem i Mussolinim króla Pawła i tymiż rękami pchnęli kraj do wojny, obiecując pomoc równie hojną, którą w 1939 r. przysłany z tajną misją do Warszawy Rettinger obiecywał za obalenie Sanacji – by potem oczywiście żadnej pomocy nie udzielić, a ostatecznie oddać Jugosławię komunistom i zdradzić gen. Mihailovicia tak samo, jak zdradzili legalnych przywódców polskich.

PRZYWÓDCY NIE PRZYWODZILI

Beck ostatecznie wykonał „manewr artylerii konnej”, jak sam nazwał antyniemiecki zwrot i przyjęcie gwarancji brytyjskich, więc misja Rettingera okazała się zbędna – owoce wydała dopiero półtora roku później. Ale można sądzić, że gdyby Beck i Rydz pogodzili się z faktami, brytyjskie SOE zrealizowałoby scenariusz jugosłowiański także u nas. Bo w Polsce w 1939 r. wszyscy chcieli bić Niemca. Walczyć o polską mocarstwowość i zamorskie kolonie, do których kluczem miał być Bałtyk (a do Bałtyku Gdańsk) „do ostatniego mężczyzny, do ostatniej kobiety”. Tak samo, jak wszyscy chcieli bić Niemca w Warszawie w 1944 r. Ile razy słyszeli państwo ten argument, że właśnie dlatego „powstanie musiało wybuchnąć” – bo „wszyscy chcieli walczyć”?

Dlaczego o losie Polski zadecydowali, prowadząc ją ku zagładzie, „wszyscy”? Dlaczego przywódcy tak naprawdę nie przywodzili, tylko ścigali się z opozycją do łask ulicy, którą sami wcześniej omamili i podjudzili wizjami urojonej polskiej potęgi oraz żądzą mocarstwowości? Bo nad wszystkim górę wzięły „chorobliwe podniecenie i namiętność polityczna, zasłaniająca spokojny sąd”, które w liście pasterskim z 1932 r. bezsilnie krytykował prymas Polski, kard. Hlond. „Nienawiść podzieliła obywateli Polski na nieprzejednane obozy, postępuje z przeciwnikami politycznymi jak z ludźmi złej woli, poniewiera ich bez względu na godność człowieczą, zniesławia i ubija moralnie” – czyż te słowa arcypasterza z roku 1932 nie pasują równie dobrze do roku 2025? Czy całe myślenie o Polsce nie jest nadal, jak wtedy, odarte z jakiejkolwiek refleksji wyższej, niż… powiedzmy, osiem gwiazdek z jednej, a chęć zakończenia za wszelką cenę „ohydy” takich „ośmiogwiazdkowych” rządów – z drugiej?

Retoryczne pytania. Ale skąd wzięły się te polskie „fatalności”? To oderwanie od rzeczywistości i swoista społeczna „dwufazówka”, zaburzająca narodową samoocenę? Oraz ta niemożność niepodległego istnienia bez wzajemnej nienawiści i chorobliwej pogardy „stronnictw politycznych”? Kiedy konkretnie po odzyskaniu niepodległości, możliwemu dzięki krótkotrwałej zgodnej współpracy wszystkich Polaków, Piłsudskiego z Dmowskim, Witosa, Korfantego i Paderewskiego, weszliśmy na równię pochyłą, wiodącą przez Brześć i Berezę ku Katyniowi, Palmirom i zagładzie Warszawy, ku wysługiwaniu się interesom obcym nawet za cenę biologicznego istnienia narodu polskiego?

O tymże warto dumać na warszawskim bruku, pozwolę sobie powiedzieć, dzieląc się z czytelnikami ponownie, po ich poprawieniu i uzupełnieniu, przemyśleniami nad polską drogą od głębokiego upadku po klęsce powstania 1863, przez ogromny sukces lat 1918–1921, do hekatomby drugiej wojny światowej i jałtańskiego pochówku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki Rafała A. Ziemkiewicza „Jakie piękne samobójstwo”, której nowe, uzupełnione wydanie ukaże się niebawem nakładem wydawnictwa Fabryka Słów.

eprasa.pl ace439ea40

REPUBLIKA

Najlepsi goście, gorące dyskusje, ostre i ciekawe spory. Ruszamy z nowym formatem programu! Wszystko przy udziale publiczności i w nowym studiu Republiki. Zachęcam do wyrażania opinii, zamieszczania komentarzy i zadawania pytań **#KlubRepubliki** – zaprasza **Adrian Klerenbach.**

NIEDZIELA
21:30
w Republice

KLUB REPUBLIKI

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej (zw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów). Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ostry multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX 12 oraz Lubina i Głogowa – MUX 17. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale Youtube: @Telewizja Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ace439ea40

Zielone barwy konserwatyzmu

Akcje Ostatniego Pokolenia wywołują gniew kierowców. Blokada tunelu Wisłostrady w Warszawie, 1 grudnia 2024 r.

FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

Filip Memches

Niegdyś prawica głosiła wizję świata, w której rewolucja przemysłowa jawiła się jako potężna siła nie tylko naruszająca tkankę społeczną, lecz także dewastująca przyrodę. Tymczasem lewica opowiadała się za postępem. Przyrost wiedzy naukowej miał iść w parze z naprawą stosunków społecznych. Przedmiotem troski był jednak człowiek jako poskromiciel żywiołów

Ekologia ma dziś twarz szalonego lewicowego radykalizmu. Kojarzy się z takimi zjawiskami, jak międzynarodowy ruch Ostatnie Pokolenie. To europejska sieć organizacji zrzeszających aktywistów, którzy twierdzą, że Ziemi grozi kataklizm wywołany skutkami globalnego ocieplenia. Ludzie ci zatem biją na alarm, ale nie ograniczają się bynajmniej do krzykliwej retoryki. Za słowami idą czyny, a konkretnie terroryzowanie społeczeństw takimi akcjami, jak blokowanie przemieszczania się pojazdów na ulicach miast czy akty wandalizmu w muzeach.

Działacze Ostatniego Pokolenia są przekonani, że człowiek jako gatunek jest ciemiężcą Ziemi. Niepohamowaną produkcją przemysłową doprowadził do tego, że planeta ledwo zipie i jest na skraju wyczerpania swoich zasobów naturalnych. Grozi jej więc katastrofa. Ale winowajca jest zarazem samobójcą. Zmiany klimatyczne jako rezultat globalnego ocieplenia niosą bowiem widmo zagłady człowieka.

Innym obliczem kojarzonego z ekologią obłąkanego lewicowego radykalizmu jest Front Wyzwolenia Zwierząt. To również ruch międzynarodowy. Jego działalność to m.in. wypuszczanie zwierząt z laboratoriów i ferm. Ma on na swoim koncie również akcje antyfutrzarskie polegające na niszczeniu cudzego mienia (w sklepach odzieżowych oblewanie futer farbą).

PROLETARIAT ZASTĘPCZY

W efekcie ekologia kojarzy się z lewicową czy wręcz lewacką ideologią. Rzecz w tym, że to wynika z pomieszania pojęć. Trzeba bowiem odróżnić ekologię od ekologizmu. Ekologia to nauka zajmująca się relacjami człowieka z jego otoczeniem naturalnym, a więc po prostu z przyrodą. Natomiast ekologizm stanowi ideologię. I faktycznie przymiotnik „lewacka" do niej pasuje, choć oddziałuje ona również na europejską mainstreamową prawicę bezobjawową, która ma swój udział w forsowaniu Zielonego Ładu.

Założenia ekologizmu można byłoby streścić krótko: człowiek, dążąc do panowania nad przyrodą, jest jej wyzyskiwaczem. Tak sformułowany pogląd wpisuje się w schemat rodem z lewicowych doktryn wymierzonych w kapitalizm pojęty jako system niesprawiedliwości społecznej. Podział ról jest tu oczywisty: człowiek to krwiożerczy fabrykant, natomiast przyroda – ciemiężony proletariat.

Jeśli tak, to punktem odniesienia dla ekologizmu może być działający na początku XIX w. w Anglii ruch luddystów. Należeli do niego drobni rzemieślnicy, których przerażały wynalazki rewolucji przemysłowej. Tak było choćby we włókiennictwie. Tkacze obawiali się tego, że mechaniczne krosna pozbawią ich pracy, więc je niszczyli. Nazwa ruchu wzięła się stąd, że według rozpowszechnionej legendy na jego czele stanął niejaki Ned Ludd, przypuszczalnie jednak postać fikcyjna.

Nasuwa się zatem wniosek, że luddyści, kontestując rozwój kapitalizmu, przecierali szlak lewicy, która opowiadała się po stronie klasy robotniczej przeciw prywatnym właścicielom środków produkcji. Tyle że w Europie XIX stulecia konsekwencje rewolucji przemysłowej krytykowali też konserwatyści. I tu dochodzimy do sedna zagadnienia.

Prawica u swoich źródeł była opcją warstw społecznych, które czerpały przywileje z feudalizmu i odbierały rozwój kapitalizmu jako zagrożenie dla swojej pozycji w społeczeństwie (szlachta broniła się przed naporem burżuazji). Jednak z tym klasowym partykularyzmem

eprasa.pl ace439ea40

łączyły się też idee polityczne. Wyłaniała się z nich wizja świata, w której rewolucja przemysłowa jawiła się jako potężna siła nie tylko naruszająca tkankę społeczną, lecz także dewastująca przyrodę. Tymczasem lewica opowiadała się za postępem. Przyrost wiedzy naukowej miał iść w parze z naprawą stosunków społecznych. Przedmiotem troski był człowiek jako poskromiciel żywiołów. Na lewicy nie żywiono sentymentów do przyrody. I było to świadectwo intelektualnej konsekwencji.

Przyroda bowiem jest okrutna. Przedstawianie jej w sposób idylliczny – co niegdyś było domeną właśnie konserwatystów – nie oddaje pełni prawdy o niej. Przecież stan naturalny jest podłożem osiągania celów przemocą, a to oznacza, że liczy się wyłącznie naga siła. Przyroda stanowi więc źródło niesprawiedliwych relacji społecznych. Skoro tak, to człowiek – istota rozumna – powinien jej stawiać czoła, a nie ją bałwochwalczo hołubić. Jego prometejskim powołaniem jest heroiczne przekształcanie świata na przekór stanowi naturalnemu. To zresztą paradoksalnie wynika z naturalnej kondycji człowieka (różniącej go od reszty przyrody), na którą składa się myślenie.

Tak więc w przeszłości socjalistom i komunistom nie w głowie był żaden powrót do natury. Zamierzali oni czerpać użytek z rewolucji przemysłowej, tyle że na rzecz klasy robotniczej i innych warstw społecznych, które – jak uważali – były wyzyskiwane przez kapitalistów.

I właśnie dlatego stanowisko dawnej lewicy było zaprzeczeniem ekologizmu. Co się zatem zmieniło? Na Zachodzie pojawiła się nowa lewica. Jest ona produktem społeczeństwa dobrobytu ukształtowanego dopiero w drugiej połowie XX w. W krajach zachodnich nastąpiły zmiany cywilizacyjne, które rozwiązały rozmaite problemy społeczne, w tym znacząco podniosły poziom życia klasy robotniczej. Wyłoniła się zatem nowa lewica będąca emanacją burżuazyjnych ekscentryzmów (dała o sobie szczególnie znać podczas rewolty młodzieży w latach 60.). Klasa robotnicza nie była dla niej wdzięcznym obiektem umizgów politycznych, zwłaszcza że kulturowo i obyczajowo okazała się konserwatywną warstwą społeczną. Należało więc poszukać proletariatu zastępczego. Nowa lewica poddała krytyce społeczeństwo dobrobytu jako zbiorowość, w której ceną za bycie sytym jest konieczność podporządkowania się konwencjom i normom tłamszącym indywidualną wolność. Stąd nowej lewicy bliska się stała idea powrotu do natury. W stanie naturalnym człowiek nie ogląda się na konwencje i normy (choćby regulujące obyczajowość seksualną), może być sobą. I to naiwne stanowisko nowej lewicy – bo abstrahujące od takiej cechy przyrody, jak brutalna walka o byt – utorowało ścieżkę ekologizmowi. To ideologia, w której przyroda pełni funkcję proletariatu zastępczego i jest – świadomie lub nieświadomie – antropomorfizowana.

PYSKÓWKI MIĘDZY „BAŃKAMI"

Natomiast jeśli chodzi o dawną prawicę – jak już zostało powiedziane – odnosiła się ona do przyrody z atencją, tyle że – inaczej niż nowa lewica – wykazywała się przy tym poczuciem realizmu, bo nie postulowała utopijnego powrotu do natury i nie zaprzeczała temu, że człowiek to korona stworzenia. Dotyczyło to też XIX-wiecznych konserwatystów tęskniących za krajobrazem sprzed rewolucji przemysłowej – takich jak angielski teoretyk sztuki John Ruskin, który jednocześnie był zwolennikiem rozwiązań społecznych poprawiających los klasy robotniczej. Spadkobiercami tej opcji światopoglądowej okazali się na przełomie stuleci XX i XXI angielscy filozofowie: John Gray i Roger Scruton. Ten drugi wyraził przekonanie, że kluczem do ochrony środowiska naturalnego jest indywidualne poczucie odpowiedzialności za otoczenie lokalne, a nie zielone regulacje wprowadzane przez instytucje międzynarodowe.

Wypada odnotować, że także wśród dawnej polskiej prawicy podejmowana była refleksja nad tym, jak nowoczesność odcisnęła swoje piętno na relacjach człowieka z przyrodą. Można tu przywołać krąg wydawanego w latach 1935–1939 tygodnika „Prosto z Mostu". Było to młode pokolenie publicystów związanych z Narodową Demokracją. Patrzyli oni krytycznym okiem na kapitalizm jako na system wykorzeniający Polaków – w odróżnieniu od starego pokolenia działaczy endecji, którzy długo byli przeświadczeni o tym, że da się unarodowić liberalizm gospodarczy. Publicyści „Prosto z Mostu" przeciwstawiali kosmopolityczne i liberalne miasto narodowej i zanurzonej w tradycji wsi.

Ciekawostką może być to, że Stanisław Piasecki, redaktor naczelny tygodnika, entuzjastycznie recenzował opublikowaną w roku 1932 słynną dystopijną powieść „Nowy wspaniały świat". Trzy dekady później jej autor – angielski prozaik i eseista Aldous Huxley – stał się jednym z guru hipisów, a więc subkultury, do której nowa lewica kierowała swój przekaz. Akcja „Nowego wspaniałego świata" toczy się w XXVI w. i jest pesymistyczną wizją podporządkowania przyszłej ludzkości reżimowi likwidującemu w imię postępu resztki związków człowieka ze stanem naturalnym.

Również wśród starego pokolenia działaczy Narodowej Demokracji nie zabrakło myśliciela politycznego, który swoją aktywnością publiczną angażował się w debatę o relacjach człowieka z przyrodą. Chodzi o Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Był on członkiem Towarzystwa Tatrzańskiego. Chciał, żeby na terenie Tatr utworzono park narodowy. Pawlikowski dostrzegał zjawiska, które zwiastowały ekologizm. Będąc orędownikiem ochrony przyrody (zwłaszcza krajobrazu tatrzańskiego), zarazem wskazywał, że nowoczesny człowiek tak się oddalił od stanu naturalnego, że straciwszy z nim kontakt, zaczął go idealizować i tym samym widzi jego wypaczony obraz. Skądinąd warto sięgnąć do pism Pawlikowskiego wydanych w roku 2019 przez krakowski Ośrodek Myśli Politycznej w tomie „O mesjanizmie i konserwatyzmie polskim".

Dzisiaj można skonstatować, że lewica ukradła prawicy ekologię. W rezultacie relacje człowieka z przyrodą zostały zideologizowane, i to na modłę lewicową. Tymczasem powinny one być wyłączone ze sporów światopoglądowych. W przeciwnym razie nigdy się nie dowiemy, jak to naprawdę jest z globalnym ociepleniem. Opinia w tej sprawie będzie bowiem nadal zależeć od tego, w której politycznej „bańce" jest formułowana. Tym samym – ku własnej zgubie – będziemy skazani na jałowe pyskówki między fanatycznymi zielonymi lewakami a ich prawicowymi oponentami wykazującymi się bezmyślnie podejrzliwym traktowaniem ekologii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

Jak bezpieka chciała spacyfikować strajki na Wybrzeżu

Grzegorz Majchrzak

W sierpniu 1980 r. bezpieka planowała akcję propagandową skierowaną do gdańskich stoczniowców, a także do mieszkańców Trójmiasta. Jej celem byłoby zaprezentowanie rzekomej dobrej woli rządzących oraz zrzucenie odpowiedzialności za niepowodzenie negocjacji na „elementy antysocjalistyczne", czyli działaczy opozycji

Jest w filmie „Wałęsa. Człowiek z nadziei" Andrzeja Wajdy scena podczas sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej z 1980 r., kiedy to biorący w nim udział robotnicy, wyraźnie się czegoś obawiający, patrzą za kraty okupowanego przez siebie zakładu pracy. Scena ta wydaje się niezrozumiała, nawet jeśli pamięta się o robotniczej masakrze z grudnia 1970 r. Przecież rozegrała się ona nie w stoczni, lecz na terenie Trójmiasta. Problem w tym, że do strajkujących w Stoczni Gdańskiej docierały pogłoski, plotki o planowanym siłowym stłumieniu ich protestu, w tym o zatrzymaniu kierujących nim członków Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Te fałszywe informacje krążyły w Gdańsku nocą 21 sierpnia. Zapewne – podobnie jak w Szczecinie, gdzie robotnicy również strajkowali – docierały one również do protestujących, a przynajmniej do osób kierujących protestem. Bez większego ryzyka można stwierdzić, że te fałszywe informacje były dziełem Służby Bezpieczeństwa, a ich celem było nakłonienie pracowników najważniejszego zakładu w Trójmieście do zakończenia strajku. Na szczęście nie przyniosły one efektów.

RESORT ZADZIAŁAŁ BŁYSKAWICZNIE

Nie znaczy to, że PRL-owskie władze nie rozważały siłowego zakończenia strajków na Wybrzeżu. Podobnie jak nie wyklucza to, że na szczeblu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przygotowania do takiego wariantu były dalece zaawansowane, wręcz „dopięte na ostatni guzik". Trzeba jednak od razu dodać, że taki pomysł pojawił się kilka dni później – po

eprasa.pl ace439ea40

Brama nr 2 Stoczni Gdańskiej podczas strajku w sierpniu 1980 r.
FOT. JAKUB GRELOWSKI/PAP

raz pierwszy, przynajmniej na piśmie, został on sformułowany 26 sierpnia 1980 r. Dlaczego dopiero wtedy? Trudno powiedzieć. Warto jednak przypomnieć, że strajk w Stoczni Gdańskiej rozpoczął się 14 sierpnia i był latem tamtego roku pierwszym protestem zaplanowanym oraz zorganizowanym przez działaczy opozycji (głównie Bogdana Borusewicza). Resort spraw wewnętrznych nie pozostał bezczynny, zadziałał wręcz błyskawicznie – komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej w Gdańsku Jerzy Andrzejewski utworzył w KW MO w Gdańsku sztab i stanowisko dowodzenia, które miały rozpocząć swoje działania w dniu wybuchu tego protestu, o godz. 8. Nowo utworzony sztab koordynował wszelkie poczynania związane z ochroną porządku i bezpieczeństwa publicznego w województwie gdańskim oraz meldował o rozwoju sytuacji i podejmowanych przedsięwzięciach. W mieście zorganizowano również specjalną grupę operacyjną funkcjonariuszy MSW, którą kierował naczelnik Wydziału III Departamentu III „A” Władysław Kuca (odpowiadający w centrali resortu za działania wobec Wolnych Związków Zawodowych). Niestety, nie wiemy nic na temat działalności tej grupy, gdyż nie zachowały się żadne materiały na ten temat. Ponieważ strajki rozszerzały się na inne zakłady pracy i wszystko wskazywało na to, że rządzącym nie uda się ich szybko zakończyć, 16 sierpnia Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej postanowiło utworzyć zespół, którego zadaniem miała być koordynacja podejmowanych przez władze centralne poczynań zmierzających do zakończenia protestów. Tego samego dnia powołano również Sztab MSW „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”. Operacji SB nadano kryptonim Lato ’80, a na czele wspomnianego sztabu stanął wiceminister spraw wewnętrznych i resortowy „jastrząb” Bogusław Stachura.

I to właśnie kierowany przez Stachurę Sztab Operacji „Lato ’80” zaproponował 26 sierpnia siłowe zakończenie strajków. Odpowiedź na pytanie, dlaczego ten pomysł narodził się dopiero po niemal dwóch tygodniach strajku, może po części tkwić w esbeckich planach sformułowanych w reakcji na Grudzień ’70. Otóż na początku 1971 r. opracowano „koncepcję operacyjnego przygotowania na konflikt w szerszej skali”. Przewidywała ona, że wcześniej przygotowani i odpowiednio przeszkoleni tajni współpracownicy będą gotowi do „przejęcia w razie strajków roli przywódczej, a następnie kierowania spokojnym ich przebiegiem i niedopuszczenia do skierowania ruchu strajkowego na niebezpieczne politycznie tory”. Nie sposób dziś powiedzieć, czy udało się to na początku strajku w Stoczni Gdańskiej, lecz nie ulega wątpliwości – wspominała o tym m.in. Anna Walentynowicz – że kontrolę nad nim w znacznym stopniu przejął dyrektor Klemens Gniech. Dlaczego? Otóż została przyjęta jego sugestia (propozycja), że komitet strajkowy musi być reprezentatywny, a jego członkami powinni być przedstawiciele wszystkich części stoczni. W efekcie od 15 sierpnia został on znacząco powiększony. I od tego czasu – jak wynika z zapisu negocjacji strajkujących z dyrekcją – momentami był to samotny pojedynek przewodniczącego MKS Lecha Wałęsy z dyrektorem. W efekcie wynegocjowano m.in. zakończenie protestu rozpoczętego dwa dni wcześniej i zadowoleni stoczniowcy zaczęli opuszczać stocznię. Dzięki postawie grupy osób – gdyż nie wszyscy chcieli kończyć protest, a w tym czasie strajki rozprzestrzeniły się na inne zakłady Trójmiasta – część robotników została w Stoczni Gdańskiej. Rozpoczął się nowy etap strajku z nowymi władzami MKS, na które już ani dyrekcja zakładu, ani Służba Bezpieczeństwa nie miały decydującego wpływu. Kilka kolejnych dni to próby gaszenia przez władze PRL protestów, z pominięciem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku (misja wicepremiera Tadeusza Pyki).

Opracowana przez SB koncepcja przewidywała, że wcześniej przygotowani i odpowiednio przeszkoleni tajni współpracownicy będą gotowi do przejęcia kontroli nad strajkami

BIURO POLITYCZNE ODRZUCIŁO PROPOZYCJE

To wszystko opóźniło przygotowanie planu pacyfikacji strajków. W końcu jednak (26 sierpnia rano, o godz.10) Sztab MSW Operacji „Lato ’80” przygotował stosowne propozycje. Zakładały one uruchomienie (przy wykorzystaniu jednostek marynarki wojennej) portów w Gdańsku i Świnoujściu, blokadę Stoczni Gdańskiej przez Zmotoryzowane

eprasa.pl ace439ea40

Odwody Milicji Obywatelskiej, z „jednoczesnym ultymatywnym wezwaniem" strajkujących do jej opuszczenia. Miała temu towarzyszyć akcja propagandowa skierowana do gdańskich stoczniowców, a także do mieszkańców Trójmiasta, której celem byłoby zaprezentowanie rzekomej dobrej woli rządzących oraz zrzucenie odpowiedzialności za niepowodzenie negocjacji na „elementy antysocjalistyczne", czyli działaczy opozycji. W przypadku tych ostatnich zakładano ich aresztowanie, a przynajmniej jej liderów, i „doprowadzenie do wniesienia aktów oskarżenia" przeciwko nim. W związku z tymi planowanymi działaniami zaproponowano przywrócenie blokady łączności telefonicznej z Wybrzeżem. Propozycje ministerstwa uzasadniano tym, że strajki objęły kolejne miasta (m.in. Kraków, Łódź czy Wrocław), a także faktem, że w kilkudziesięciu innych występują „sytuacje konfliktowe grożące wybuchem". Za rozwiązaniem siłowym miała również rzekomo przemawiać coraz bardziej aktywna i agresywna postawa gdańskiego MKS, który miał ponoć dążyć „do wywołania w Polsce strajku powszechnego". Jak? Poprzez przedłużanie rozmów z komisją rządową, a także stawianie jej warunków wstępnych.

Oczywiście decyzja o ewentualnych działaniach siłowych nie należała do MSW. Taki scenariusz musiało jeszcze zaakceptować Biuro Polityczne KC PZPR. Jego członkowie pochylili się nad propozycjami z Rakowieckiej dwukrotnie. Po raz pierwszy uczynili to 27 sierpnia, kiedy to członkom tego gremium przedstawił je minister spraw wewnętrznych Stanisław Kowalczyk. Nie wzbudziły one jednak u przywódców partii entuzjazmu i zostały odrzucone. Zdecydowanie przeciwny pacyfikacji był Stanisław Kania (nadzorujący z ramienia Komitetu Centralnego PZPR m.in. MSW), który stwierdził: „To nie jest sprawa prosta i łatwa, trzeba mieć też świadomość grożących konsekwencji. Nawet jeśli się porty zdobędzie – to co potem? Kto je będzie obsługiwał? Potrzebni fachowcy. Trzeba aktywnie, stanowczo, zarazem taktownie wpływać na ograniczanie możliwości gromadzenia się ludzi pod bramą stoczni. Wejście do stoczni siłą jest nierealne, niewiele by dało, a mogłoby doprowadzić do rozlewu krwi". Podobnego zdania był

Na dowódcę „całości sił" plutonów specjalnych w Gdańsku wyznaczony został naczelnik Wydziału Zabezpieczenia Komendy Stołecznej MO Edward Misztal (po prawej)

FOT. ZENON ŻYBURTOWICZ/AFA PIXX/PAP

również Alojzy Karkoszka: „Zdobyć port możemy, ale go nie uruchomimy. Na tłum pod stocznią trzeba działać środkami porządkowymi. Wejście siłą na stocznię odradzam". Dodawał jednak: „Na organizatorów strajku mocniejsze argumenty, jeśli nawet po naszym poważnym oświadczeniu nie uspokoją się. Rozważyć przygotowanie ich zwinięcia". Przeciwny użyciu żołnierzy był ówczesny minister obrony narodowej Wojciech Jaruzelski, ten sam, który kilkanaście miesięcy później – już jako I sekretarz KC PZPR – nie miał takich oporów. Argumentował on: „Wprowadzenie do akcji wojska to użycie broni, wojsko już nie może się wycofać". I zauważał, całkiem zresztą słusznie: „Do takich akcji jest przygotowane MO, ma pałki, gazy, nie potrzebuje używać broni". Do dyskusji nad propozycją MSW siłowego zakończenia strajków powrócono dwa dni później, rozważając nawet – po raz pierwszy na początku lat 80. – wprowadzenie stanu wojennego czy też wyjątkowego. Jaruzelski jednak przytomnie zauważał: „Dziś mamy elementy strajku generalnego. Rozlanie się fali strajkowej w całym kraju to tylko kwestia czasu. Wtedy nastąpi zupełny paraliż gospodarczy, mogą się włączyć żywiołowo elementy kontrrewolucyjne. Mówiono tu o ogłoszeniu stanu wyjątkowego – tego nie przewiduje nasza konstytucja. Jest to tylko stan wojenny, ale też wprowadzić go nie można, bo jak wyegzekwować rygory, kiedy stanie cały kraj? To nierealne". Trudno mu się zresztą dziwić, skoro według danych Służby Bezpieczeństwa, które znali członkowie Biura Politycznego, w tym dniu miało strajkować już 643 600 osób w 653 zakładach na terenie 27 województw. Trudno też dziwić się I sekretarzowi KC PZPR Edwardowi Gierkowi, który miał w końcu głos decydujący, że opowiedział się on za ustępstwami wobec strajkujących, stwierdzając: „Nikt chyba nie może mnie posądzić o liberalizm, ale uważam, że trzeba przeprowadzić z sojusznikami rozmowy w sprawie związków zawodowych".

UJĄĆ LECHA WAŁĘSĘ

Tymczasem Ministerstwo Spraw Wewnętrznych rozpoczęło – nie czekając na zielone światło od władz partii – przygotowania do siłowej pacyfikacji strajków. 26 sierpnia kierownik Sztabu Operacji „Lato '80" Stachura odwołał funkcjonariuszy oraz pracowników cywilnych resortu spraw wewnętrznych z urlopów wypoczynkowych i szkoleniowych. Ponadto wstrzymał – do odwołania – wydawanie zgód na kolejne urlopy (w tym zagraniczne). Nakazał również skoszarowanie ZOMO, a także słuchaczy wszystkich szkół resortowych. Podobne działania zalecił również komendantom wojewódzkim Milicji Obywatelskiej (według ich uznania) w przypadku podstawowych jednostek KW MO. Bogusław Stachura polecił też dowódcom Wojsk Ochrony Pogranicza i Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW, Komendantowi Głównemu Straży Pożarnej oraz kierownikowi Głównego Inspektoratu Ochrony Przemysłu wydanie „odpowiednich wytycznych" podległym i nadzorowanym jednostkom. Przygotowania te kontynuowano w kolejnych dniach, a o stanie ich zaawansowania świadczy podjęcie działań w celu przekształcenia resortowego Domu Wypoczynkowego „Eden" znajdującego się w centrum Sopotu (kilkaset metrów od mola) w szpital, a także – w razie potrzeby – przeznaczenia na ten sam cel resortowego ośrodka kempingowego położonego z kolei niedaleko granicy z Gdańskiem. Przemieszczono również siły milicyjne do Gdańska. Zapadły nawet decyzje co do przebiegu samej operacji „odblokowania stoczni". Jej pierwszym etapem miał być wypad komandosów, którzy mieli „ująć członków [Międzyzakładowego] Komitetu [Strajkowego] i [Lecha] Wałęsę, zająć bramę i wycofać się".

eprasa.pl ace439ea40

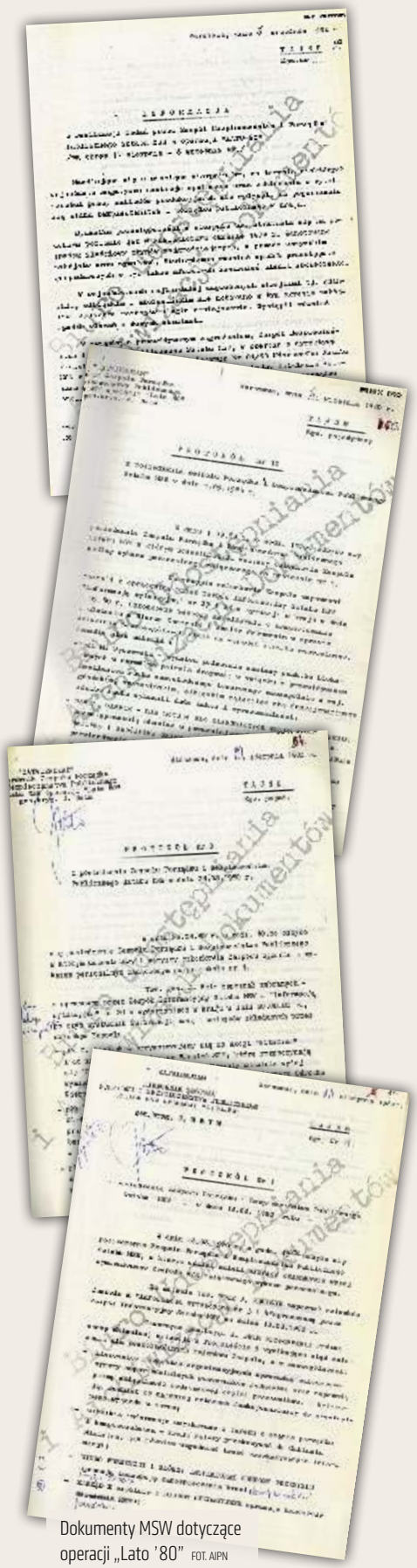

Dokumenty MSW dotyczące operacji „Lato '80" FOT. AIPN

Stan podwyższonej gotowości do działań resortu spraw wewnętrznych był utrzymywany jeszcze do początku września 1980 r., a przygotowania do ewentualnych działań siłowych kontynuowano nawet w chwili, kiedy negocjacje ze strajkującymi w Szczecinie i Gdańsku wkraczały w decydującą, finalną fazę. Jeszcze 30 sierpnia (o godz. 13.45) zastępca kierownika Sztabu Operacji „Lato '80" Józef Beim zlecił części podległych sobie funkcjonariuszy opracowanie (do 1 września do godz. 10) „projektu zadań resortu spraw wewnętrznych na wypadek strajku powszechnego", a innym – wylot śmigłowcem do Gdańska oraz przygotowanie „planu wejścia sił specjalnych ZOMO" do Stoczni Gdańskiej, „opanowania budynku będącego siedzibą MKS i zatrzymania członków [Międzyzakładowego] Komitetu Strajkowego". Funkcjonariusze ci mieli również – w trakcie przeprowadzonego w tym celu rekonesansu – „wybrać najlepszą porę akcji" (w tym przypadku Beim sugerował „może noc"), a także „skalkulować siły i potrzebne [do tego] środki". Warto w tym miejscu przypomnieć, że kilka godzin wcześniej – o godz. 8 – porozumienie kończące strajk podpisały Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Szczecinie i komisja rządowa. Dzień później – o godz. 16.40 – uczynił to MKS w Gdańsku wraz z inną komisją rządową. Niespełna cztery godziny wcześniej – o 12.50 – Józef Beim zalecił, aby wstrzymać mobilizację Rezerwowych Oddziałów Milicji Obywatelskiej oraz zaplanowany wcześniej przerzut do Trójmiasta słuchaczy resortowych szkół, którzy mieli jednak nadal pozostawać w gotowości do wyjazdu. Problem w tym, że jednocześnie nakazał „uruchomić przerzut do Gdańska sił plutonów specjalnych ZOMO" – po 20 funkcjonariuszy z komend wojewódzkich Milicji Obywatelskiej w Łodzi, Poznaniu oraz Krakowie. Mieli oni udać się tam po cywilnemu i bez broni, lecz także zabrać ze sobą mundury moro. Na dowódcę „całości sił" plutonów specjalnych w Gdańsku zastępca kierownika Sztabu Operacji „Lato '80" wyznaczył naczelnika Wydziału Zabezpieczenia Komendy Stołecznej MO Edwarda Misztala. Ten ostatni – wraz ze swoimi podwładnymi – już prawdopodobnie od kilku dni przebywał w Trójmieście. Na miejscu miał go wspomagać „w organizacji działań" – delegowany w tym celu samolotem rejsowym do Gdańska – Mirosław Żywczyk z Biura Organizacyjnego Komendy Głównej MO, tak na marginesie były (w latach 50. i 60.) reprezentant Polski w zapasach, a w latach 1973–1976 wiceprezes Polskiego Związku Zapaśniczego do spraw sportowych. Zapewne zamierzano wykorzystać jego doświadczenia nabyte m.in. podczas pacyfikacji robotników protestujących w Czerwcu '76. Nietrudno domyślić się, że wspomniane wcześniej działania Misztala to zatrzymanie członków Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku, gdyby z jakiegoś powodu ich negocjacje z komisją rządową zakończyły się jednak niepowodzeniem. Jak wiadomo, ostatecznie do tego nie doszło. Owszem, do pacyfikacji Stoczni Gdańskiej doszło, lecz dopiero 16 miesięcy później. Nie okazało się to zresztą wcale takie łatwe – niepokornych stoczniowców pacyfikowano dwukrotnie (w nocy z 13 na 14 grudnia oraz 16 grudnia 1981 r.), a w trakcie tej drugiej akcji wykorzystano nie tylko czołgi, lecz także helikoptery i komandosów. Miała ona zresztą brutalny przebieg i spowodowała demonstracje pod stocznią. W końcu, aby zapobiec kolejnym strajkom i demonstracjom, Stocznię Gdańską zablokowało – 17 grudnia rano, dwoma pierścieniami – ludowe Wojsko Polskie, a jej pracę wstrzymano na kilkanaście dni (początkowo do 28 grudnia, a następnie do 4 stycznia 1982 r.). Z kolei Edward Misztal i Mirosław Żywczyk mieli zarówno przed wprowadzeniem stanu wojennego, jak i po nim okazje do wykazania swych umiejętności przy odblokowywaniu różnych instytucji i zakładów pracy. Ale to już zupełnie inna historia…

Podczas drugiej pacyfikacji stoczniowców w grudniu 1981 r. wykorzystano nie tylko czołgi, lecz także śmigłowce i komandosów

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl ace439ea40

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Mocna symbioza

Od 23 sierpnia 1939 r. do 21 czerwca 1941 r. trwała ścisła symbioza między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą Niemiecką. Wszelka post(?)komuna i jej popłuczyny w Polsce oraz na świecie nie chcą pamiętać tego obrzydliwego okresu w ich wzajemnych przyjacielskich stosunkach i dlatego nikczemnie milczą. Jednak pamiętać trzeba.

To był nie tylko niemiecko-sowiecki ścisły sojusz wojskowy i polityczny, który skutkował kolejnym rozbiorem Polski (1 i 17 września 1939 r.). Była też wszelka pomoc udzielana Niemcom przez Sowiety – m.in. dane wywiadowcze i meteorologiczne (pomocne w bombardowaniu Polski), ale przede wszystkim olbrzymia pomoc logistyczna, czyli wszelkie zaopatrzenie dla armii i gospodarki III Rzeszy, świadczona przez jej nowego, „najlepszego sojusznika" Józefa Stalina. Sowieci się z tym nie kryli, prasa i propaganda czerwonych faszystów pełne były jednoznacznych informacji na ten temat. Publikowano również bulwersujące dziś zdjęcia z tej symbiozy faszyzmu brunatnego i czerwonego. Wtedy jednak wstydu nie było, wprost przeciwnie, było się z czym obchodzić i chwalić przed całym światem.

Mniej znane są bezpośrednie kontakty gestapo i NKWD w zakresie zwalczania wspólnego wroga, czyli Polaków. Ale nie dało się ich całkiem ukryć i dziś już sporo o tym wiemy. Do tego dochodziła wymiana polskich jeńców między dwoma okupantami. O ile dla Niemców była to tylko przygrywka w dziele dalszego podbijania świata, o tyle Stalin ową przyjaźń traktował bardzo poważnie i liczył, że potrwa ona jeszcze przez całe lata. Sowieci, nie przygotowując się na potencjalną agresję niemiecką, zapłacili z tego tytułu straszliwą cenę i tylko niewyobrażalna wprost pomoc Zachodu (w sprzęcie, uzbrojeniu, żywności itp.) pozwoliła ofiarom przetrzymać nawałę niemiecką.

Dziś ten okres postrzegany jest głównie tak, jak chce tego rosyjska propaganda: że Sowiety były wyłącznie ofiarą. A warto zwrócić baczną uwagę na jeszcze jeden aspekt tej sprawy: zbieżność ideologiczną obu odmian socjalizmu, brunatnego i czerwonego. 23 sierpnia 1939 r. na lotnisku w Moskwie doszło do niezwykłego powitania delegacji niemieckiej. Sojusz nazizmu z komunizmem stał się faktem, również w wymiarze symbolicznym. Tak złoczyńcy zaczynali wspólną wojnę przeciwko ludzkości… ©℗

Zastępca komisarza spraw zagranicznych Związku Sowieckiego (z prawej), towarzysz Władimir P. Potiomkin, wita ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Niemieckiej, Joachima von Ribbentropa

FOT. ROSYJSKIE PAŃSTWOWE ARCHIWUM DOKUMENTÓW FILMOWYCH I FOTOGRAFICZNYCH

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kij i marchewka

Zofia Nałkowska i Julian Tuwim, uważani za twarze międzywojnia, byli potrzebni komunistom w społecznej legalizacji ich władzy, natomiast Maria Dąbrowska już niekoniecznie. Jej znakomite pióro byłoby cenną zdobyczą, ale pisarka znana była z niepokornego charakteru. Wiadomo jednak, że „byt kształtuje świadomość", i czynniki partyjne postanowiły odpowiednio „popracować" nad autorką.

Nie wznawiano jej utworów i w pierwszych latach po wojnie głównym źródłem utrzymania Marii były odczyty i wieczory autorskie. Zezwalano na spotkania, czekając na sprzyjającą okazję. „Jerzy Borejsza – notowała zrezygnowana – zaproszony przeze mnie na wczoraj, nie przyszedł i dzisiaj. Wyraźnie to lekceważące danie do poznania, że skoro nie pracuję w propagandzie – nie jestem potrzebna. Pieniędzy mam jeszcze na jakieś trzy tygodnie".

Szef Czytelnika popisowo rozgrywał swoją partię. Po serii odczytów zaproponował duży wywiad na temat „Nocy i dni", a nawet uwzględnił życzenia w sprawie rozmówcy. Dał do zrozumienia, że niebawem będzie możliwe wydanie epopei, tym bardziej że powieść nie zawierała niestosowności z punktu widzenia władz PRL. Przed Dąbrowską pojawiła się szansa na ogromne nakłady i poważne dochody.

Metoda kija i marchewki niemal zawsze się sprawdza, gdyż bez względu na panujący ustrój i poglądy polityczne pisarz musi z czegoś żyć. Zapewne dlatego pisarka zgodziła się na udział w pracach komitetu przygotowującego wrocławski Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju (inauguracja 25 sierpnia 1948 r.). Znalazła się w ciekawym towarzystwie obok: Ireny i Frédérica Joliot-Curie, Le Corbusiera, Vercorsa, Ajdukiewicza, Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Dunikowskiego, Kotarbińskiego i Parandowskiego. Zresztą Dąbrowska szczerze wierzyła, że jest szansa na pokój na świecie, a komuniści przecież zawsze „walczyli o pokój".

Konsekwencją coraz bliższej współpracy z rządzącymi był udział w zjeździe zjednoczeniowym PPR i PPS. Opisała go złośliwie w „Dziennikach", notowała szczegóły, sterowany aplauz delegatów i kolejne mowy działaczy. Z ironiczną satysfakcją zanotowała obecność Tuwima, choć przecież sama też pojawiała się na sali obrad.

Borejsza doskonale wywiązał się z zadania. W jednej z rozmów z pisarką przytoczył pytanie Bieruta dziwiącego się, że „pani Maria nas nie lubi". Towarzysz Tomasz pamiętał ją z przedwojennego ruchu spółdzielczego, ale jego pytanie było zawoalowaną groźbą, gdyż za mniejsze przewinienia ludzie trafiali na Rakowiecką. Niebawem też wznowiono „Noce i dnie" w masowym nakładzie, co oznaczało koniec problemów finansowych pisarki. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

DODATEK SPECJALNY

Archiwum pamięci

Historia dostępna

Zbiory Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej nie służą jedynie do badań naukowych nad dziejami Polski po 1945 r. W ramach swojej misji Archiwum IPN prowadzi również programy edukacyjne i udostępnia rozbudowane inwentarze cyfrowe, jak np. listy internowanych w stanie wojennym czy rejestr sędziów i prokuratorów PRL

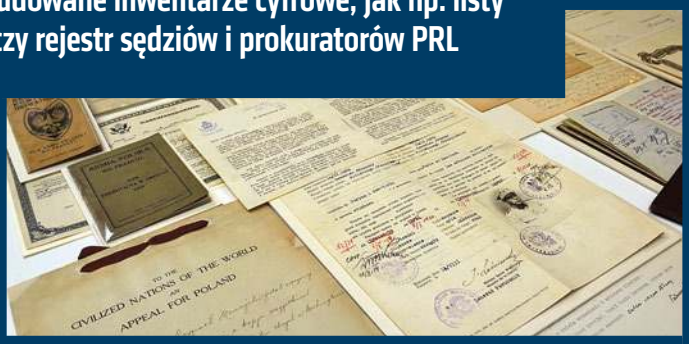

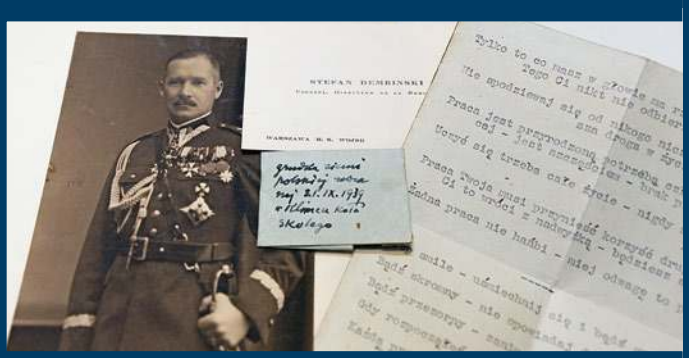

PARTNER DODATKU:

eprasa.pl ace439ea40

Marzena Kruk, dyrektor Archiwum IPN

Spotkanie z przeszłością

Pierwszy wgląd w teczkę pochodzącą z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej stanowi dla czytelnika wyjątkowe spotkanie z przeszłością – własną lub rodzinną. To chwile, w których odkrywa się ślady decyzji, zdarzeń i dramatów ukształtowanych przez reżimy XX w. W notatkach służbowych, meldunkach, osobistych listach i zdjęciach kryją się dowody działań komunistycznej bezpieki, III Rzeszy czy sowieckiego aparatu represji. Dziś, dzięki pracy archiwistów, dokumenty te są dostępne, lecz ich odpowiednie zabezpieczenie, opracowanie i digitalizacja wymagały pokonania wielu przeszkód technicznych i prawnych.

Archiwum IPN jest kluczowym podmiotem w realizacji misji określonej w preambule ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej: zachowania pamięci o ofiarach, przywracania godności bohaterom walk o niepodległość oraz przekazywania prawdy następnym pokoleniom. Projekty, takie jak Centrum Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej, bazy: straty.pl, Indeks Represjonowanych na Wschodzie czy ewidencja ofiar zbrodni wołyńskiej są narzędziami w tej pracy. Równie istotne jest uczestnictwo Archiwum w procedurach nadawania Krzyża Wolności i Solidarności oraz potwierdzania statusu działacza opozycji lub osoby represjonowanej – odznaczenia te są symboliczną spłatą długu państwa wobec osób, które odważnie sprzeciwiły się systemowi komunistycznemu, często ponosząc za to wysoką cenę.

Ważnym aspektem działalności Archiwum jest również współpraca międzynarodowa. Wymiana doświadczeń, dokumentów i informacji z instytucjami badawczymi oraz archiwami zagranicznymi umożliwia pełniejsze zrozumienie historii XX w. w kontekście europejskim i światowym. Partnerstwo to, dzięki łączeniu zasobów i różnych perspektyw, wzmacnia potencjał edukacyjny i badawczy oraz pomaga wypełniać luki w pamięci historycznej.

Zbiory Archiwum IPN nie służą jedynie do badań naukowych nad dziejami Polski po 1945 r. W ramach swojej misji Archiwum prowadzi też programy edukacyjne i udostępnia rozbudowane inwentarze cyfrowe, jak np. listy internowanych w stanie wojennym czy rejestr sędziów i prokuratorów PRL. Z kolei projekt „Archiwum Pełne Pamięci" umożliwia przekazywanie do zasobu dokumentów i pamiątek przez osoby prywatne. Są to świadectwa, które wypełniają białe plamy w historii i pozwalają oddać należny hołd tym, którym zawdzięczamy wolność. Archiwiści więc nie tylko przechowują akta, lecz także pomagają odnaleźć brakujące lub przemilczane elementy rodzinnych historii. To odpowiedzialna, wymagająca pasji i precyzji praca, dzięki której Archiwum IPN jest nie tylko magazynem, lecz także strażnikiem narodowej pamięci, łączącym przeszłość z teraźniejszością i budującym most do przyszłości.

Marzena Kruk, dyrektor Archiwum IPN

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ace439ea40

Projekty pamięci

„Ocalić historię", „... aby każdy okruch historii został uratowany" oraz „Pamięć przetrwa dzięki Tobie. Pomóż ją budować" – to hasła, które przyświecają projektom realizowanym od wielu lat przez Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Projektom, które mają nie tylko bardzo dużą wartość historyczną, lecz także – co istotne – nieocenioną wartość społeczną. Pielęgnują one bowiem wspólnotę pamięci i łączą pokolenia, tym samym przyczyniając się do budowania naszej narodowej tożsamości

Jednym z podstawowych zadań Archiwum IPN jest gromadzenie, digitalizowanie i udostępnianie dokumentów dotyczących historii Polski i Polaków w XX w. Poza materiałami przekazanymi przez organa zobligowane do tego na mocy ustawy o IPN do zasobu Instytutu trafiają także – w ramach projektu „Archiwum Pełne Pamięci" – materiały od różnych instytucji i osób prywatnych. Idea ta ma na celu ocalenie dokumentów i artefaktów – zapomnianych bądź nieznanych dotychczas świadectw przeszłości. Dotychczas zaufało nam ok. 2,8 tys. darczyńców z całego świata.

Zgromadzone w Archiwum IPN materiały są udostępniane w celach naukowo-badawczych i dziennikarskich. Z kolei dzięki inicjatywom takim jak wystawy, publikacje i podcasty, realizowanym na podstawie pozyskanych dokumentów, historie – niekiedy przepełnione bólem i cierpieniem, innym razem ukazujące heroiczną postawę Polaków walczących o wolną, niepodległą i w pełni suwerenną Ojczyznę – trafiają do szerokiego grona odbiorców i ożywają na nowo.

W oparciu o unikatowy zasób archiwalny Instytutu rozwijane są elektroniczne bazy danych, które są częścią prowadzonych w IPN projektów dokumentacyjnych. To swoiste cyfrowe pomniki pamięci, wzniesione dla upamiętnienia ofiar i ocalałych. Gromadzą one informacje o Polakach oraz obywatelach polskich innych narodowości, m.in. Żydach – ofiarach niemieckiej okupacji z lat 1939–1945 (baza: straty.pl), sowieckich represji po 17 września 1939 r. (baza: indeksrepresjonowanych.pl) oraz zbrodni wołyńskiej dokonanej przez ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA w latach 1943–1945 (baza: zbrodniawolynska.pl). Bazy umożliwiają prowadzenie różnego rodzaju kwerend: imiennych, według miejsca lub rodzaju represji. Aby z nich skorzystać, wystarczy posiadać urządzenie z dostępem do Internetu, nie trzeba zakładać konta ani się logować.

Od ponad dekady w Archiwum IPN działa też Centrum Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej, które ma na celu niesienie pomocy wszystkim tym, którzy chcą poznać wojenne losy swoich bliskich. W wielu przypadkach udaje się nam je odtworzyć. Jest to możliwe także dzięki bazie Arolsen Archives, instytucji zajmującej się gromadzeniem – w ramach elektronicznej bazy danych – informacji i skanów dokumentów poświęconych osobom represjonowanym przez III Rzeszę. IPN jest jedną z niewielu instytucji na świecie i jedyną w Polsce, która ma pełny dostęp do tego zbioru.

W Archiwum IPN dokładamy wszelkich starań, by podtrzymywać pamięć o naszej historii i minionych pokoleniach, aby „ogień pamięci" nigdy nie zgasł.

Mariusz Żuławnik

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ace439ea40

Zapis czasu minionego

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej powstało, aby zabezpieczyć i ocalić dokumenty wytworzone i zgromadzone przez służby specjalne państwa komunistycznego. Materiały te pozwalają poznać mechanizmy funkcjonowania aparatu represji PRL i zakres jego kontroli nad społeczeństwem, są też bezcennym świadectwem heroizmu tych wszystkich ludzi, którzy sprzeciwiali się narzuconej siłą władzy

W zbiorach archiwalnych Instytutu Pamięci Narodowej znalazła się także dokumentacja byłej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, nieoceniona dla badań nad losami Polaków podczas drugiej wojny światowej pod niemiecką okupacją.

Dwadzieścia pięć lat pracy archiwistów zaowocowało stworzeniem zasobu liczącego niemal 94 km akt. Zbiór jest systematycznie powiększany dzięki poszukiwaniom w archiwach zagranicznych i instytucjach polonijnych dokumentacji dotyczącej historii Polski i Polaków w XX w. W ostatnich latach cenne kolekcje pozyskiwane są też od osób prywatnych w ramach projektu „Archiwum Pełne Pamięci".

Szczególnie ważne jest, by dokumenty z Archiwum IPN znalazły swoje miejsce w edukacji młodego pokolenia i wykorzystywane były w nauczaniu historii. Stąd działania Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej skierowane do środowiska nauczycieli, a także bezpośrednio do uczniów.

Od 2016 r. AIPN współpracuje z Mazowieckim Samorządowym Centrum Doskonalenia Nauczycieli, przygotowując warsztaty i seminaria tematyczne. Dotychczas przeprowadzono 15 cykli zajęć, podczas których omówiono źródła dotyczące najnowszej historii Polski, m.in. Powstania Warszawskiego, form oporu społecznego w PRL, fotografii i filmu jako narzędzi propagandy i kontroli społeczeństwa, kobiet w historii Polski XX w., pomocy Żydom podczas drugiej wojny światowej. Warsztaty były też okazją do przedstawienia najnowszej oferty przygotowywanej przez Archiwum IPN dla dzieci i młodzieży szkolnej – czterech mobilnych gier miejskich, pozwalających połączyć naukę z rywalizacją.

Dla uczniów na różnych etapach edukacji prowadzone są również stacjonarne zajęcia w przestrzeni Archiwum. W ofercie znajdują się lekcje pt. „Archiwum, miejsce, gdzie mieszkają dokumenty" i „Miś Wojtek w Archiwum IPN" (dla klas III–IV szkół podstawowych), „Wojenne dzieciństwo Basi" oraz warsztaty genealogiczne (dla klas V–VII), a także zajęcia na temat wybrany przez nauczyciela (dla klas VIII i licealistów). Uczniowie pracują z kopiami dokumentów, zwiedzają magazyny i pracownie archiwalne. Dzięki temu młodzież dowiaduje się, na czym polega praca w nowoczesnym archiwum i w jaki sposób dbać o dokumenty. Lekcje są bezpłatne, a zapisać się na nie można

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ace439ea40

przez adres e-mailowy: spotkaniawarchiwum@ipn.gov.pl.

Archiwum IPN upowszechnia też wiedzę o tym, jak różnorodny i obszerny jest zasób Instytutu Pamięci Narodowej. Popularyzuje pozyskane kolekcje i swoje aktywności w Internecie, organizuje wystawy. Obecnie w różnych muzeach w Polsce prezentowane są cztery ekspozycje przygotowane przez archiwistów – „»Ramię krzep – Ojczyźnie służ«. Historia Sokolstwa Polskiego w Ameryce", „Droga i dziedzictwo. Dzieje rodziny Moszoro", „»Błogosławieni Sprawiedliwi, albowiem…«. Opowieść o Rodzinie Ulmów" i najnowsza propozycja pt. „Zamordowane miasto. Reliefy Marii Hiszpańskiej-Neumann". Zobaczyć na nich można nie tylko oryginalne archiwalia w formie dokumentów czy fotografii, lecz także wyjątkowe artefakty – pamiątki przekazane do zasobu Instytutu w ramach projektu „Archiwum Pełne Pamięci". Wystawom towarzyszą zajęcia edukacyjne w przestrzeni muzealnej prowadzone przez edukatorów i archiwistów.

Informacje o działalności archiwalnej, aktualnych wystawach i projektach edukacyjnych dostępne są na stronie Instytutu Pamięci Narodowej – ipn.gov.pl.

Zapraszamy do korzystania z bogactwa zbiorów Instytutu. W poznawaniu historii nic nie zastąpi bowiem kontaktu ze źródłem archiwalnym, autentycznym zapisem czasu minionego.

Magdalena Mołczanowska

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ace439ea40

Péter Magyar to popierany przez Brukselę polityk opozycji, który marzy o zwycięstwie w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych na Węgrzech

FOT. ALEXIS HAULOT/EP/EU

Z Miklósem Szánthó, dyrektorem generalnym węgierskiego Centrum Praw Podstawowych
rozmawia Olivier Bault

Magyar – jak Tusk – to marionetka Manfreda Webera

OLIVIER BAULT: Spotykamy się w Warszawie, tuż po zaprzysiężeniu prezydenta Karola Nawrockiego w Polsce. Jego wyborcze zwycięstwo było ważne dla Węgrów?

MIKLÓS SZÁNTHÓ: Bardzo ważne – nie tylko dla Polski i Węgier, lecz także dla całej Europy. Wyobraźmy sobie, że wygrałby Rafał Trzaskowski, kandydat Donalda Tuska. Oznaczałoby to, że globaliści mają zielone światło od wyborców: mogą niszczyć demokrację i rządy prawa, więzić przeciwników politycznych i bezkarnie ograniczać wolność mediów i wolność słowa, tak jak to robi obecny polski rząd.

Natomiast zwycięstwo Karola Nawrockiego pokazuje, że wciąż można walczyć o normalność i zdrowy rozsądek. Główny podział polityczny XXI w. nie przebiega już między konserwatystami i liberałami czy prawicą i lewicą, ale między globalistami oraz suwerenistami. Nawrocki i polska prawica stoją zdecydowanie po stronie suwerenistów, sprzeciwiając się nadmiernemu wpływowi Brukseli i wtrącaniu się obcych państw w politykę krajową, broniąc suwerenności państwa, bezpieczeństwa granic, praw dzieci i rodziców oraz wartości rodzinnych. Globaliści natomiast dążą do przeniesienia procesu decyzyjnego z poziomu krajowego na poziom federalny – w przypadku Europy do Brukseli.

Zwycięstwo Nawrockiego jest tym ważniejsze dla nas, Węgrów, że mamy własnego Donalda Tuska w osobie Pétera Magyara, polityka opozycji, który ma być kandydatem Brukseli w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych. Stoi za nim ta sama międzynarodowa globalistyczna sieć, mająca ten sam cel: odsunięcie suwerenistów od władzy, scentralizowanie władzy w Brukseli, otwarcie granic dla migrantów, indoktrynacja dzieci ideologią gender i dążenie liberałów do wiecznej wojny.

eprasa.pl ace439ea40

Postrzega pan zatem wybory prezydenckie w Polsce jako porażkę brukselskich elit?

Tak. To kolejne podobieństwo między naszymi krajami: Donald Tusk jest marionetką Manfreda Webera i europejskich elit w Europejskiej Partii Ludowej (EPP), podobnie jak Péter Magyar.

Również na Węgrzech, jeśli spojrzeć na rzeczywiste liczby i najbardziej wiarygodne sondaże, jasne jest, że konserwatywne, prawicowe siły prawdopodobnie wygrają nadchodzące wybory – choć może to być najtrudniejsza kampania w naszej demokratycznej historii. Stawka jest bowiem wysoka nie tylko dla nas, węgierskich suwerenistów, lecz także dla brukselskich elit. Wraz z włoskimi i ze słowackimi suwerenistami węgierski rząd i węgierski patriotyczny ruch suwerenistyczny są ostatnim bastionem sprzeciwiającym się brukselskiej indoktrynacji w UE – przynajmniej do czasu, gdy polska prawica, miejmy nadzieję, powróci do rządu w następnych wyborach parlamentarnych.

Stoimy mocno na fundamentach, którymi są Bóg, Ojczyzna i Rodzina. Wierzymy w ochronę naszego judeochrześcijańskiego dziedzictwa, tożsamości narodowej, suwerenności i granic przed nielegalną imigracją, a także w obronę dzieci i rodzin. Opowiadamy się również za pokojem i sprzeciwiamy się przyspieszonemu przystąpieniu Ukrainy do UE.

Ten ostatni punkt jest obecnie priorytetem Brukseli. Von der Leyen i Weber powiedzieli, że chcą Ukrainy w UE przed 2030 r. Aby to osiągnąć, chcą usunąć suwerenny rząd Węgier i zainstalować swoje narzędzie destabilizacji w osobie Pétera Magyara, aby przyspieszyć agendę Brukseli w zakresie migracji, ideologii gender, scentralizowanego podejmowania decyzji i zielonego światła dla członkostwa Ukrainy.

Będą próbować wszystkiego: tzw. lawfare, szantażu finansowego, ingerencji politycznej, finansowania z zagranicy, a nawet tajnych operacji prowadzonych przez zagraniczne służby specjalne.

Wypłatę jakich funduszy dla Węgier nadal wstrzymuje Komisja Europejska?

Ponad połowa funduszy spójności przydzielonych Węgrom w tych wieloletnich ramach finansowych i prawie wszystkie fundusze odbudowy są nadal zamrożone. Sprawa sięga ok. czterech lat wstecz. Ustalono już datę podpisania porozumienia między Komisją a Węgrami, które umożliwiłoby wypłatę funduszy odbudowy. Jednak przed tą datą węgierski parlament przyjął ustawę o ochronie dzieci zakazującą wszelkich form propagandy seksualnej wśród nieletnich, w tym aktywizmu homoseksualnego w szkołach i przedszkolach. Natychmiast po tym Komisja odwołała podpisanie umowy, a wypłata pieniędzy została wstrzymana. Z oświadczeń Parlamentu Europejskiego i Komisji jasno wynika, że prawdziwym powodem była ustawa o ochronie dzieci.

Ponadto TSUE ukarał Węgry grzywną w wysokości 1 mln euro dziennie za ochronę granic, gdyż wymagamy od migrantów składania wniosków w węgierskiej ambasadzie lub konsulacie za granicą i zezwalamy na wjazd tylko wtedy, gdy kwalifikują się zgodnie z zasadą pierwszego bezpiecznego kraju.

Niemniej jednak płacenie 1 mln euro dziennie jest warte tego, by zapewnić naszemu krajowi bezpieczeństwo, zamiast doświadczać gwałtownego wzrostu przestępczości jak w Niemczech, we Francji i innych krajach Europy Zachodniej.

Podobno Komisja Europejska zawiesiła również unijny program wymiany studentów „Erasmus" dla Węgier...

Tak, to prawda. Węgierski rząd zastąpił program „Erasmus" dla węgierskich studentów naszym własnym programem wymiany. Jest nawet szerszy niż „Erasmus". Oferuje międzynarodowe stypendia nie tylko w UE, lecz także na całym świecie i jest finansowany bez jakichkolwiek unijnych pieniędzy.

Węgry nadal prowadzą negocjacje z Komisją Europejską. Komisja twierdzi, że wspiera młodzież, studentów i społeczeństwo oparte na wiedzy, ale karze węgierskich studentów, odmawiając im dostępu do programu „Erasmus", ponieważ nasz rząd chroni suwerenność, tożsamość narodową i nasze dzieci. To absurdalne i pokazuje, jak bardzo wypaczona jest dziś europejska polityka.

A co ze stosunkami Węgier ze Stanami Zjednoczonymi? Za czasów prezydenta Joe Bidena ambasador na Węgrzech był bardzo zaangażowany po stronie opozycji. W ostatnich wyborach parlamentarnych udowodniono nielegalne amerykańskie finansowanie kampanii kandydata opozycji na urząd premiera, Pétera Márky-Zay. Za Donalda Trumpa coś się zmieniło?

Tak. Pod rządami Bidena zarówno Ameryka, jak i Bruksela naciskały na Węgry. Teraz, dzięki temu, co wydaje się czymś więcej niż tylko politycznym sojuszem między Donaldem Trumpem a premierem Viktorem Orbánem, stosunki amerykańsko-węgierskie wróciły na właściwe tory. Na przykład opublikowany niedawno coroczny raport Departamentu Stanu na temat praw człowieka jest znacznie bardziej realistyczny, niż miało to miejsce za rządów Bidena. Przyznaje, że Węgry są nowoczesnym demokratycznym państwem, które szanuje prawa człowieka i jest w pełni zdolne do zaradzenia sporadycznym niedociągnięciom.

Mamy nowego amerykańskiego chargé d'affaires w Budapeszcie, który działa jak sumienny, profesjonalny dyplomata. Jest to godne uwagi, ponieważ poprzedni ambasador zachowywał się jak członek węgierskiej lewicowej opozycji. Dzięki Donaldowi Trumpowi finansowanie Węgier przez USAID zostało wstrzymane; wcześniej duże sumy trafiały do lewicowych organizacji pozarządowych, tzw. grup społeczeństwa obywatelskiego i działaczy politycznych, aby wpływać na węgierską politykę. Action for Democracy, amerykańska grupa, która finansowała kampanię lewicy

Zwycięstwo Nawrockiego jest tym ważniejsze dla nas, Węgrów, że mamy własnego Donalda Tuska w osobie Pétera Magyara, polityka opozycji, który ma być kandydatem Brukseli w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych. Stoi za nim ta sama międzynarodowa globalistyczna sieć, mająca ten sam cel: odsunięcie suwerenistów od władzy

eprasa.pl ace439ea40

trzy lata temu, również nie jest już u nas aktywna. Jednak globalistyczne organizacje pozarządowe przenoszą teraz swoją bazę kulturową, intelektualną i finansową z Waszyngtonu do Brukseli, wyraźnie reorganizując się tam, aby wznowić ataki na patriotyczne i suwerenne rządy.

Węgry udzieliły azylu polskiemu posłowi PiS Marcinowi Romanowskiemu. Jednak w najnowszym raporcie Komisji Europejskiej na temat praworządności w krajach UE wydaje się, że nie ma już prawie żadnych obaw co do praworządności w Polsce. Jak to wyjaśnić?

Węgry zawsze twierdziły, że jeśli istnieje prawdziwe, dobre uzasadnienie do uzyskania azylu politycznego, to go przyznamy – również wnioskodawcom z Unii Europejskiej. Politycznie stronniczy charakter procedur prawnych przeciwko Romanowskiemu jest tu oczywisty. W Polsce trwa polityczne polowanie na czarownice, którego celem jest prawica, a Romanowski złożył wniosek o azyl na Węgrzech. Przyznaliśmy ten azyl zgodnie z prawem międzynarodowym i europejskim. Do tego wspólnie z nim za pośrednictwem Centrum Praw Podstawowych założyliśmy Węgiersko-Polski Instytut Wolności, aby informować Węgrów, Polaków i inne osoby w całej Europie o tym, co się dzieje obecnie w Polsce.

Przyjaźń między naszymi narodami przetrwa Donalda Tuska i polskich globalistów. Jeśli chodzi o raport Komisji Europejskiej na temat praworządności – który teraz chwali Polskę po latach potępiania rzekomych zagrożeń pod konserwatywnymi rządami Prawa i Sprawiedliwości – to nagle, z Tuskiem u władzy, wszędzie są tęcze i jednorożce. Fundusze UE zostały uwolnione, a procedura z art. 7 została zniesiona.

Znowu widzimy, że jeśli konserwatywny, patriotyczny rząd broni suwerenności i interesów narodowych, to jest traktowany jako naruszający zasady UE. Jednak jeśli globalistyczny rząd przejmie władzę, to może uwięzić przeciwników, siłą przejąć media publiczne i nadal liczyć na wsparcie Brukseli. W żadnej innej części świata media publiczne nie zignorowałyby zaprzysiężenia nowo wybranego prezydenta na swoim głównym kanale, a jednak stało się tak w przypadku prezydenta Nawrockiego, co jest wyraźnym znakiem, że rząd Tuska ogranicza wolność mediów.

Jestem przekonany, że jeśli do władzy w Polsce dojdzie nowy konserwatywny rząd, to stosunki węgiersko-polskie powrócą na właściwe tory

Po rozpoczęciu wojny Rosji na Ukrainie – gdy Mateusz Morawiecki był premierem Polski – stosunki między Warszawą a Budapesztem wyraźnie się pogorszyły. A co się stało z relacjami polsko-węgierskimi pod rządami premiera Donalda Tuska?

Nie mam wątpliwości, że przyjaźń węgiersko-polska przetrwa i na dłuższą metę nie zostanie zakłócona przez wojnę w innym kraju ani przez radykalny lewicowo-liberalny rząd. Prawdą jest, że kilka lat temu podejście polskiej prawicy do wojny na Ukrainie różniło się od podejścia prawicy węgierskiej. Rozumiem polskie stanowisko i jasne jest, że wojna rozpoczęła się od rosyjskiej agresji, która narusza prawo międzynarodowe. Ale to nie jest nasza wojna, a sankcje nałożone przez elity unijne paraliżują gospodarkę Europy i osłabiają jej pozycję geostrategiczną. Widzę, że postawa polskiej prawicy wobec Ukrainy się zmienia. Na przykład Karol Nawrocki wyraził ostatnio sceptycyzm wobec członkostwa Ukrainy w UE w wywiadzie dla węgierskiego tygodnika „Mandiner".

Z Donaldem Trumpem w Białym Domu ta wojna prawdopodobnie zakończy się prędzej czy później. Kolejną ważną kwestią dla Europy będzie członkostwo Ukrainy w UE, które moim zdaniem zaszkodzi nie tylko węgierskiej i polskiej gospodarce, lecz także całej gospodarce europejskiej. Dążenie do członkostwa Ukrainy w UE jest również pretekstem dla Komisji Europejskiej i unijnych elit do centralizacji władzy. Prawdopodobnie będzie to pretekst do zmiany traktatów UE uzasadnionej twierdzeniami, że obecne struktury decyzyjne staną się niefunkcjonalne z kolejnym dużym krajem w Unii. Poza oczywistymi zagrożeniami gospodarczymi i rolniczymi jest to część większej walki globalistów z suwerenistami. Podobnie jak w przypadku pandemii COVID-19 wykorzystują kryzys, aby zagrabić nowe kompetencje.

Czy po powrocie prawicy do władzy w Polsce Węgry i Polska mogłyby wspólnie działać przeciwko globalistom w UE?

Chociaż polska i węgierska prawica nie zgadzały się nieco w kwestii wojny na Ukrainie za rządów Prawa i Sprawiedliwości, to zgadzaliśmy się we wszystkich innych ważnych kwestiach politycznych: sprzeciw wobec centralizacji UE i masowej migracji, ochrona dzieci, obrona tożsamości konstytucyjnej naszych krajów itd. Wojna na Ukrainie to jedyne, co nas różniło. Ta różnica była jednak przesadnie nadmuchiwana przez lewicowe media, które wiedziały, że zerwanie konserwatywnego sojuszu polsko-węgierskiego osłabi konserwatywną współpracę w całej Europie. W rzeczywistości współpraca polityczna i gospodarcza między naszymi krajami była w tamtych latach bardzo dobra.

Dziś, podobnie jak wcześniej administracja prezydenta Bidena, rząd Tuska jest wrogo nastawiony do rządu Orbána, ponieważ chodzi o rządy globalistów. Jestem przekonany, że jeśli do władzy w Polsce dojdzie nowy konserwatywny rząd, w postaci koalicji PiS z Konfederacją czy w innym układzie, to stosunki węgiersko-polskie w pełni powrócą na właściwe tory.

To powiedziawszy, my, węgierscy konserwatyści, nie ingerujemy w politykę wewnętrzną innych krajów. Postrzegamy wszystkich członków polskiego ruchu konserwatywnego i prawicowego – czy to z Prawa i Sprawiedliwości, Konfederacji, czy gdziekolwiek indziej – jako przyjaciół. Każdy polski przywódca polityczny działający na rzecz ochrony suwerenności swojego kraju jest dla nas naturalnym sojusznikiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Olivier Bault jest dyrektorem komunikacji Instytutu Ordo Iuris.

Miklós Szánthó – z zawodu prawnik, w 2021 r. został odznaczony przez prezydenta Węgier Jánosa Ádera Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Węgier w uznaniu za wysoką jakość analiz prawnych i politycznych. Dyrektor generalny założonego w Budapeszcie w 2013 r. Centrum Praw Podstawowych, które skupia się na zachowaniu tożsamości narodowej, suwerenności i tradycji chrześcijańskich.

eprasa.pl ace439ea40

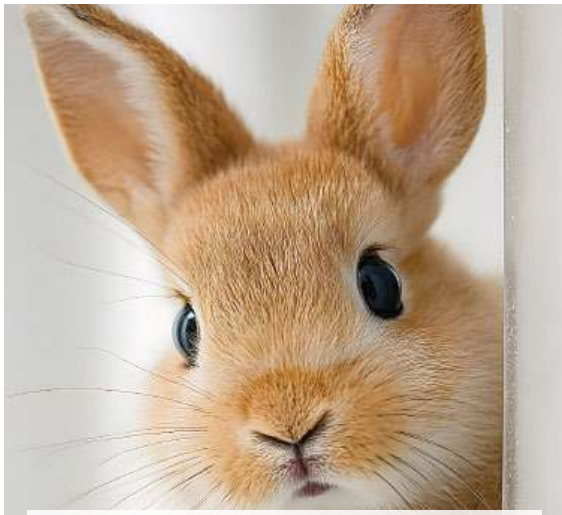

FOT. ADOBE STOCK

ŁAŃCUCH POKARMOWY

Ogród zoologiczny w Aalborgu (Dania) zwrócił się z osobliwą propozycją do okolicznych właścicieli zwierząt domowych. Chodzi o to, że jeśli ktoś ma pupila, który „musi odejść", to może go oddać placówce. Takie zwierzę zoo uśpi, a potem nakarmi nim drapieżniki, które ma pod swoją opieką. Przedstawiciele placówki poinformowali, że tym samym starają się naśladować naturalny łańcuch pokarmowy. Preferowane dary to świnki morskie, króliki i kurczaki.

RYBOŁÓW PODPALACZ

W kanadyjskiej wsi Ashcroft doszło do pożaru, któremu towarzyszyła przerwa w dostawach prądu. Okazało się, że sprawcą wydarzenia był rybołów. Głodny ptak upolował w położonej ok. 3 km od wsi ogromną rybę. Dalej trzymając ją w dziobie, leciał, ale w pewnym momencie zdobycz upuścił. Spadła ona prosto na linię energetyczną. Nastąpiła awaria, w której efekcie zapłonęła sucha trawa. Do ugaszenia pożaru potrzeba było ok. 18 tys. litrów wody.

ROBOT SUROGATKA

Chiny zmagają się z kryzysem demograficznym. Skoro więc w Państwie Środka kobiety rodzą za mało dzieci, to mają je w tym zadaniu wyręczyć... roboty. I tak chińscy naukowcy opracowali prototyp sztucznej macicy oraz model pełniącego funkcję surogatki humanoida. Wynalazek ma symulować proces ciąży. Płód będzie utrzymywany w sztucznym płynie owodniowym i odżywiany niezbędnymi składnikami za pomocą specjalnych przewodów.

KRADZIEŻ NA POKAZ

Youtuber znany jako Zazza El Italiano został oskarżony o płacenie pieniędzy mieszkańcom boliwijskiego miasta Santa Cruz de la Sierra za inscenizowanie kradzieży telefonów. Sytuacje takie nagrywał i następnie filmy przedstawiające przestępstwo zamieszczał w Internecie. Inicjatywa youtubera wywołała oburzenie lokalnej społeczności i zainteresowanie policji. Oprócz tego ponoć jeden z „aktorów" został oszukany, ponieważ – jak stwierdził – dostał o połowę mniejszą kwotę od tej, na którą się umówił.

NARKOTYKI W LALCE

Na Bali celnicy zatrzymali 42-letnią Peruwiankę, która została oskarżona o próbę przemytu do Indonezji kokainy i ecstasy o wartości 70 tys. dol. Narkotyki były ukryte w bieliźnie kobiety oraz w lalce erotycznej. Indonezyjskie prawo antynarkotykowe jest bardzo surowe. Jeśli Peruwianka zostanie przez tamtejszy sąd uznana za winną, to grozi jej kara śmierci. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nobel dla Trumpa?

Na liście laureatów Pokojowej Nagrody Nobla znajduje się trzech prezydentów USA, którzy otrzymali ją, będąc jeszcze gospodarzami Białego Domu (dostał ją też Jimmy Carter, ale dopiero w 2002 r.).

Pierwszym był Theodore Roosevelt w 1906 r. jako „współtwórca różnych traktatów pokojowych". Drugim Woodrow Wilson w 1919 r., za wkład w powołanie Ligi Narodów. Trzecim zaś w 2009 r. Barack Obama za... Sam Obama przyznał, że nie wie za co. Większość Amerykanów też była wówczas zdania, że Obama na Nobla nie zasłużył. Oficjalnie pierwszy czarnoskóry przywódca USA otrzymał go „za wyjątkowe starania, by wzmocnić międzynarodową dyplomację i współpracę między ludźmi". Nagroda słusznie budziła kontrowersje. Obama nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, co przyznał w autobiografii nawet były dyrektor Norweskiego Instytutu Noblowskiego Geir Lundestad.

Pokojowa Nagroda Nobla marzy się też obecnemu przywódcy USA. Donald Trump na pewno zasługuje na nią bardziej niż Barack Obama. I to mimo nachalnego lobbingu w tej sprawie (w tym telefonu do ministra finansów Norwegii, Jensa Stoltenberga, „w sprawie ceł i Nobla"). Doprowadził już bowiem do porozumienia w sprawie konfliktu Azerbejdżanu i Armenii, a także do zawarcia w Waszyngtonie porozumienia pokojowego między Rwandą a Demokratyczną Republiką Konga. Pomógł też w złagodzeniu groźnych napięć między Izraelem a Iranem, Indiami a Pakistanem, Tajlandią a Kambodżą, Egiptem a Etiopią czy Serbią a Kosowem.

Jeśli zaś udałoby mu się doprowadzić do pokoju w Europie na uczciwych warunkach (bez nagradzania agresora), to trudno byłoby o lepszego kandydata... ©℗

eprasa.pl ace439ea40

Derusyfikacja, czyli deukrainizacja

Maciej Pieczyński

Paradoksalnie Wilno, otwierając granice dla przeciwników Łukaszenki i Putina, sprowadziło sobie na głowę problem z kulturową ekspansją języka rosyjskiego. Litwini mają dziś coraz bardziej dość imigrantów i uchodźców ze Wschodu

Inwazja Rosji na Ukrainę uczyniła kwestię językową w państwach bałtyckich o wiele bardziej problematyczną niż wcześniej

FOT. YAUHEN YERCHAK/ANADOLU/AFP/EAST NEWS

W Wilnie jest za dużo języka rosyjskiego. Nie da się tego wytrzymać" – kilka tygodni temu post o takiej alarmującej treści opublikował w swoich mediach społecznościowych Edmundas Jakilaitis. To jeden z najbardziej wpływowych litewskich dziennikarzy i publicystów. Swoją opinią podzielił się, co nie bez znaczenia, w przededniu jednego z najważniejszych dla swojego kraju świąt narodowych. W lipcu Litwa obchodzi bowiem swój Dzień Państwowości, ustanowiony w rocznicę koronacji Mendoga, jedynego króla, który zasiadał na tronie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jakilaitis publicznie sformułował niezwykle istotne pytanie o tożsamość. A dokładniej o to, jak sprawić, aby język litewski, jedyny urzędowy w tym kraju, znów stał się językiem dominującym na ulicach stolicy. Publicysta wywołał dyskusję o tym, czy aby nie należałoby się zastanowić nad ograniczeniem języka rosyjskiego w przestrzeni publicznej. Jakilaitis zauważył, że w starym mieście Wilna już od jakiegoś czasu język rosyjski słyszalny jest wręcz nawet częściej niż litewski. Jego post spotkał się z entuzjastyczną reakcją, szczególnie internautów o prawicowych poglądach.

SPUŚCIZNA PO SOWIECKIEJ OKUPACJI

Już przed wybuchem pełnoskalowej wojny na Ukrainie kraje bałtyckie były jednak zamieszkane przez sporą mniejszość rosyjskojęzyczną. Na Łotwie było to aż 32 proc. ludności, w Estonii – 27 proc., na Litwie – 6 proc. W przeważającym stopniu jest to społeczno-kulturowa spuścizna po dekadach sowieckiej okupacji. Kraje bałtyckie zostały włączone jako republiki do ZSRS. Rosjanie napływali tam do pracy w administracji okupacyjnej, a język rosyjski był drugim urzędowym, obok miejscowego. Nawiasem pisząc, to pokazuje, że Polska, będąc „jedynie" satelitą Moskwy, państwem w pełni zależnym politycznie, ale formalnie odrębnym, uniknęła gorszego losu.

Inwazja Rosji na Ukrainę uczyniła kwestię językową w państwach bałtyckich o wiele bardziej problematyczną niż wcześniej. Z jednej strony, Wilno, Ryga i Tallin jednoznacznie stanęły murem za Kijowem, stając w awangardzie europejskiego sprzeciwu wobec moskiewskiego imperializmu. Z drugiej strony, stosunek do wojny podzielił rosyjskojęzycznych mieszkańców tych trzech krajów – jedni solidaryzowali się z Ukrainą, inni poparli agresora, jeszcze inni zajęli pozycję neutralną.

„Mniejszości rosyjskojęzyczne, które na Litwie, Łotwie i w Estonii są często postrzegane przez pryzmat nostalgii za ZSRS i popierania polityki Kremla, spotkały się z zarzutami o to, że akceptują i wspierają inwazję Rosji na Ukrainę. W ich obronie stanęli członkowie rządów Litwy, Łotwy i Estonii" – pisała na początku wojny dr hab. Aleksandra Kuczyńska-Zonik w raporcie dla Instytutu Europy Środkowej. „Chociaż społeczności rosyjskojęzyczne są podzielone ze względu na ocenę obecnych wydarzeń na Ukrainie, to wiele osób dołączyło do protestów potępiających agresję i solidaryzuje się z walczącymi Ukraińcami". Aleksandra Kuczyńska-Zonik zauważała przy tym jednocześnie, że

eprasa.pl ace439ea40

problem napięć międzyetnicznych w społeczeństwach państw bałtyckich może się pogłębiać, a „przedstawiciele mniejszości rosyjskojęzycznych mogą boleśnie odczuć koszty sankcji nakładanych przez Zachód na Rosję".

Inwazja Moskwy na Ukrainę wywołała naturalną nieufność wielu rodowitych Łotyszy, Litwinów czy Estończyków wobec mówiących po rosyjsku mieszkańców swoich krajów. Sprawę dodatkowo skomplikowało to, że do państw bałtyckich zaczęli napływać rosyjskojęzyczni przybysze z zagranicy. Najpierw, w 2020 r., byli to Białorusini, protestujący przeciwko fałszerstwom wyborczym Alaksandra Łukaszenki. Wilno stało się nieformalną stolicą emigracyjnej Białorusi. Tutaj zamieszkała Swiatłana Cichanouska. Ponadto Bałtowie ugościli wielu przedstawicieli antyputinowskiej opozycji rosyjskiej. Akurat tutaj na pierwsze miejsce wysuwa się Łotwa. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę największą spośród trzech państw liczebność mniejszości rosyjskojęzycznej. To właśnie z Rygi nadają najważniejsze media opozycyjne. Portale The Insider i Meduza powstały tam już wiele lat temu (kolejno w latach 2013 i 2014). Telewizja Dożd' przeniosła się na Łotwę po inwazji Rosji na Ukrainę. Dostała koncesję, ale po kilku miesiącach ją straciła, gdy jeden z dziennikarzy wyraził nadzieję na polepszenie sytuacji zwykłych żołnierzy rosyjskich na froncie. Wciąż nadaje, ale wyłącznie przez Internet. W Wilnie od 2016 r. dwa razy w roku odbywa się Forum Wolnej Rosji – wielki kongres przeciwników Putina z udziałem takich gwiazd rosyjskiej opozycji jak Garri Kasparow, Mark Fiejgin czy Giennadij Gudkow.

Przede wszystkim jednak po 24 lutego 2022 r. kraje bałtyckie zaczęły przyjmować tysiące uchodźców z Ukrainy. Tak się składa, że spora część z nich na co dzień posługuje się albo językiem rosyjskim, albo surżykiem, czyli mieszanką rosyjskiego i ukraińskiego. Mamy więc do czynienia z trzema grupami narodowościowymi, które w ostatnich latach w dużej liczbie napłynęły do krajów bałtyckich. Są to Białorusini, Rosjanie i Ukraińcy. Absolutna większość to ideowi przeciwnicy Putina i Łukaszenki. Jednak chociażby afera z telewizją Dożd' pokazała, że antykremlowska opozycja nie zawsze mówi jednym głosem z Ukraińcami. Ponadto te wszystkie trzy grupy łączy wspomniany już język rosyjski. A to bardzo wiele – widać to było przy okazji niedawnego koncertu Maksa Korża w Warszawie. Rosyjskojęzycznego Białorusina, ostrożnie i niekonsekwentnie krytycznego wobec polityki Mińska, słuchają chętnie przedstawiciele wszystkich trzech wschodniosłowiańskich nacji.

ZAKAZ UŻYWANIA JĘZYKA ROSYJSKIEGO?

Niespełna dwumilionową Litwę zamieszkuje obecnie ok. 75 tys. Ukraińców, 52 tys. Białorusinów i 14 tys. Rosjan. To najliczniejsze grupy cudzoziemców w tym kraju. Litwini mają do nich złożony stosunek. Najlepiej odnoszą się do Ukraińców, najgorzej do Rosjan. Białorusini na skali sympatii są pośrodku. Niechęć związana jest nie tylko z geopolityką, lecz także z tym, że rosyjskojęzyczni przybysze niechętnie uczą się języka litewskiego. Debata na ten temat toczy się na Litwie już od kilku lat. Podobnie jest zresztą w innych krajach bałtyckich. Na Łotwie usunięto język rosyjski z menu bankomatów. Pracownicy sklepów mają obowiązek obsługiwania klientów po łotewsku. Chyba że klient sam jest rosyjskojęzyczny. Ponadto na Łotwie rozważany jest zakaz używania języka rosyjskiego w afiszach i szyldach sklepowych.

Dla starszego pokolenia rosyjski to język sowieckiego okupanta, dla młodszego – język okupanta Ukrainy i geopolitycznego przeciwnika

85 proc. wszystkich migrantów i uchodźców, którzy przyjeżdżają na Litwę, stanowią przybysze z przestrzeni postsowieckiej. Nawet jeśli pominąć Ukraińców, to aż połowa cudzoziemców w tym kraju to Rosjanie i Białorusi. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze migranci z Azji Środkowej i Kaukazu. „Faktycznie otworzyliśmy szeroko drzwi przed ruskim mirem" – zauważa gorzko litewski historyk Adomas Klimantas, cytowany zresztą przez portal opozycyjnej rosyjskiej telewizji Nastojaszczeje wriemia. Portal ten poświęcił problematyce języka rosyjskiego na Litwie obszerny artykuł. „Dziś, na tle masowej imigracji, dochodzi do czegoś w rodzaju samorusyfikacji" – twierdzi Audrius Valotka, szef Państwowej Inspekcji do spraw języka litewskiego. Co ciekawe, ten sam urzędnik dostrzegał zagrożenie nie tylko w rosyjskojęzycznej diasporze, lecz także w polskiej mniejszości. „W ogóle nie powinno być więcej polskich i rosyjskich szkół" – grzmiał publicznie na antenie internetowej telewizji Alfa taškas. Niechęć do Rosjan, Ukraińców i Białorusinów często powiązana jest zatem również z niechęcią wobec Polaków.

Nic dziwnego, że Litwinom przeszkadza język rosyjski. Jak to ujął doradca premiera Litwy Antoni Radczenko w rozmowie z „Rzeczpospolitą", dla starszego pokolenia jest to język sowieckiego okupanta, dla młodszego – język okupanta Ukrainy, zarazem geopolitycznego przeciwnika. Świadomość moskiewskiego zagrożenia jest tam o wiele większa niż nad Wisłą. A i samo zagrożenie jest z pewnością o wiele większe – w końcu Putin prędzej zaatakuje któryś z krajów bałtyckich niż Polskę. Rosyjskojęzyczni Ukraińcy, którzy uciekli przed wojną, nie stanowią automatycznie kremlowskiej piątej kolumny. Mówić po rosyjsku nie znaczy być agentem czy zwolennikiem Putina. Niemniej w masie rosyjskojęzycznych uchodźców Moskwie łatwiej jest ukryć swoich szpiegów czy dywersantów (a służbom wileńskim trudniej jest ich wykryć) niż wśród samych etnicznych Litwinów.

Wilno otwiera się zatem coraz chętniej na migracje z innych, mniej problematycznych politycznie kierunków. Litewska minister obrony Dovilė Šakalienė odwiedziła w lipcu Filipiny. „Bezprecedensowa liczba rosyjskojęzycznych migrantów z krajów postsowieckich budzi obawy o bezpieczeństwo narodowe Litwy. Natomiast anglojęzyczni, katoliccy, prozachodni filipińscy pracownicy słyną z wysokich kwalifikacji, wysokiej etyki pracy i chęci nauki języka kraju przyjmującego" – napisała na portalu X. Możliwe, że właśnie w tym kierunku pójdzie w najbliższym czasie Wilno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

Największa w dziejach operacja szpiegowska

Robert Bogdański

Każdy student przybywający z Chin do USA jest potencjalnym informatorem służb wywiadowczych. Działalność tę bardzo ułatwia nowoczesna technologia

Liczba chińskich studentów na amerykańskich uniwersytetach od dekady przekracza rocznie ćwierć miliona, a od końca lat 70., gdy wyjazdy do wrogiego kapitalistycznego kraju stały się możliwe, studiowało ich w Ameryce ogółem ok. 3 mln. Napływ ten osiągnął szczyt w przedpandemicznym roku akademickim 2019/2020, gdy wyniósł 372 tys., potem gwałtownie spadł, jednak obecnie podniósł się do ok. 280 tys. Chińczycy stanowią czwartą część wszystkich studentów zagranicznych w Ameryce, a na niektórych czołowych uniwersytetach, jak Columbia czy Cornell, nawet połowę. Stanowią przy tym poważną pozycję w budżecie instytucji edukacyjnych. Według danych z roku 2023 chińscy studenci zostawiali w Ameryce rocznie ponad 14 mld dol., wnosząc opłaty za studia, kupując książki i rozmaite usługi dodatkowe. O ile usługi edukacyjne odpowiadają za 5 proc. amerykańskich wpływów z eksportu do wszystkich krajów świata, o tyle w przypadku Chin jest to ponad 30 proc. – wyraźnie więcej.

Ponieważ w Stanach studiuje ponad 15 mln ludzi, więc same w sobie te liczby nie są problemem. Rzecz nie w proporcjach. Rzecz w tym, że są oni bezwzględnie wykorzystywani do infiltrowania i szpiegowania kraju, który jeszcze do niedawna zachowywał naiwną wiarę, że otwartość i edukacja spowodują pozytywne zmiany w świecie. Tymczasem wysokie kadry chińskiej kompartii, które planują konfrontację ze Stanami Zjednoczonymi, są wykształcone na czołowych amerykańskich uniwersytetach. Zachowując proporcje, jest to niemal tak, jak w przypadku Czerwonych Khmerów, którzy zostali wykształceni na Sorbonie, co w żaden sposób nie przeszkodziło im w dokonaniu barbarzyństwa, gdy po studiach wrócili do siebie.

AMERYKAŃSKIE OTWARCIE

Intensywny napływ studentów z Chin do Ameryki zbiegł się z końcem kryzysu finansowego przełomu lat 2008 i 2009, kiedy uczelnie gwałtownie poszukiwały pieniędzy. Pojawienie się młodzieży chińskiej, która w dodatku nie oczekiwała stypendiów i zniżek, tylko wnosiła opłaty za studia w pełnej wysokości, było dla nich wybawieniem. Tutaj nie było problemów ze studenckimi kredytami, płaciło chińskie państwo lub bogaci rodzice. Uczelni nie interesowało, skąd pochodzą pieniądze. Poza tym był to czas, gdy Ameryka była pewna swojej siły i Chiny wydawały się prostym dostawcą taniej siły roboczej, który w żaden sposób nie będzie w stanie zagrozić największemu mocarstwu świata. Był to czas optymizmu związanego z wprowadzeniem się do Białego Domu pierwszego ciemnoskórego prezydenta, który chciał pokazać światu, że Ameryka nie chce być światowym policjantem – co prawda, dominuje, ale woli współpracę.

Wyrazem tego optymizmu było przyznanie Barackowi Obamie zaraz na początku kadencji Pokojowej Nagrody Nobla za „niezwykłe wysiłki na rzecz umocnienia międzynarodowej dyplomacji i współpracy między narodami", choć przez pierwszych osiem miesięcy swojej kadencji był w stanie zaledwie zarysować swój program.

Chiny jawiły się jako partner i od rozmów miało zależeć, jak daleko to partnerstwo pójdzie. Zbigniew Brzeziński, w opublikowanym w 2010 r. tekście o tym, jakie pozytywne zmiany w polityce zagranicznej wprowadził nowy prezydent, chwalącym rzecz jasna decyzję Komitetu Noblowskiego, umieszczał politykę wobec Chin na dalszym miejscu, zalecając, aby traktować je nie tylko jako partnera gospodarczego, lecz także geopolitycznego.

Tymczasem Chiny, akceptując pomysły dotyczące partnerstwa i współpracy, robiły swoje. Za czasów prezydentury Obamy liczba chińskich studentów po raz pierwszy przekroczyła 100 tys. i następnie pięła się systematycznie aż do czasu pandemii. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie bronił tezy, że Pekin wysłał do Ameryki kilkaset tysięcy szpiegów. Praktyka była – i jest – o wiele bardziej wyrafinowana i trudniejsza do odkrycia.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl ace439ea40

W publikacjach dotyczących chińskich studentów łatwo znaleźć zdjęcia młodziutkich i sympatycznych dziewcząt o delikatnej urodzie, ilustrujące opowieści o bezdusznych urzędnikach imigracyjnych, którzy na rozkaz Trumpa właściwie bez powodu łamią kariery wchodzącym w życie młodym ludziom. Dziennikarze lubią też przypominać – i to całkowicie zgodnie z prawdą – że intelektualna potęga Ameryki została zbudowana na napływie mózgów z całego świata. Na uczelniach odbywają się zresztą demonstracje z hasłami w rodzaju „Harvard nie jest sobą bez zagranicznych studentów". Mało kto, skonfrontowany z obrazkiem rzeszy sympatycznie wyglądających młodych ludzi, będzie skłonny uwierzyć, że stanowią oni element wielkiej operacji. Taka myśl będzie równie absurdalna, jak przekonywanie, że w Polsce kilkadziesiąt tysięcy członków komisji wyborczych przystąpiło do konspiracji mającej na celu wypaczenie wyniku wyborów. I słusznie, bo ogromna większość chińskich studentów z konspiracją nie ma nic wspólnego. Co nie znaczy, że nie są elementami skoordynowanej operacji, często wbrew swojej woli.

NIEETATOWI SZPIEDZY

Wgląd w to, jak wygląda modus operandi chińskich służb zajmujących się czerpaniem korzyści wywiadowczych z rzeszy młodzieży jadącej studiować do Ameryki, dała publiczności praca dwojga studentów Uniwersytetu Stanford, którzy rezultaty swojego kilkumiesięcznego dziennikarskiego śledztwa opublikowali w uczelnianej gazecie. Elsa Johnson i Garreth Molloy opisali, jak to wygląda na ich uczelni, i nie ma żadnego powodu, aby sądzić, że metoda działania na innych uczelniach jest inna. Może tylko w Stanford widać to wyraźniej, bo to nie jest zwyczajna uczelnia – znajduje się ona w centrum Doliny Krzemowej, prowadzone są tam badania ważne z punktu widzenia rozwoju nowoczesnych technologii, a jej absolwenci w naturalny sposób są zatrudniani przez znajdujące się tam firmy.

Struktura grupy chińskich studentów z punktu widzenia ich ważności dla wywiadu jest wielowarstwowa. Po pierwsze, oczywiście znajdują się wśród nich przeszkoleni szpiedzy. Za poprzedniej administracji Trumpa usiłowano temu zapobiec w sposób dość mechaniczny, a mianowicie zabraniając studiować na kierunkach związanych z rozwojem technologicznym osobom mającym związek z chińską armią lub partią komunistyczną. Było to podejście uroczo naiwne, rodem z powieści szpiegowskich, w których agenci obowiązkowo muszą mieć ciemne okulary i trencze z postawionym kołnierzem. Było też dość łatwe do publicznego wyśmiania i łatwe do obejścia. Ilu tych szpiegów jest i gdzie się znajdowali, być może dowiemy się za pół wieku z opracowań historyków wywiadu. Na pewno są zaledwie kroplą w studenckim morzu, choć kroplą szczególnie toksyczną.

To, co jest ważniejsze, to wykorzystanie owego „morza" do swoich celów. Chińczycy postępują tu według słynnej sowieckiej zasady: „Każdy komunista nieetatowym czekistą". Dlaczego chińscy studenci się na to zgadzają? Odpowiedź jest banalnie prosta: w kraju zostały ich rodziny. Nie są to już czasy, gdy cała rodzina lądowała w łagrze na resztę życia, gdy syn zdradził partię, ale nadal chińskie państwo ma dostatecznie wiele sposobów, aby sprawić, że dzieci będą posłuszne. Zwłaszcza jeżeli na pozór oczekiwania państwa nie będą zbyt daleko idące.

Każdy student przybywający z Państwa Środka jest potencjalnym informatorem służb wywiadowczych. Działalność tę bardzo ułatwia nowoczesna technologia. O ile dawniej informacje były przekazywane w tajnopisach i imitacjach cegieł, o tyle teraz wystarczy połączenie na komunikatorze. W ten sposób zwykli studenci okresowo, zwykle raz w tygodniu, „spowiadają się" z tego, co się dzieje na uczelni. I jak zwykle w takich sytuacjach służby interesują się absolutnie wszystkimi informacjami – od koloru ścian w laboratorium do dokładnego opisu zaawansowanych eksperymentów czy preferencji seksualnych prowadzącego zajęcia. Nie ma informacji niepotrzebnej, zwłaszcza w dobie przetwarzania wielkich ilości informacji przy pomocy sztucznej inteligencji. Byłbym zresztą zdziwiony, gdyby nie była ona w ten czy inny sposób wykorzystywana w tej działalności, do prowadzenia wywiadów czy porządkowania i agregowania tzw. uzysku informacyjnego, by użyć szpiegowskiego żargonu.

Z tej wielkiej masy nie tyle szpiegów, ile informatorów wyłaniana jest węższa grupa ludzi, z którymi wywiad nawiązuje bliższą współpracę. Powodem tego mogą być wyższa ocena chęci współpracy czy fakt, że uczestniczą w badaniach, które są szczególnie interesujące. To ostatnie jest zresztą w pewnym stopniu sterowane z Pekinu, ponieważ płacąca za studia Chińska Rada Stypendialna kieruje swoich stypendystów na konkretne kierunki i uczelnia stoi w takim przypadku przed prostą alternatywą: przyjąć Chińczyka, nawet jeżeli wydaje się podejrzany, czy utracić pieniądze. Przy okazji warto wspomnieć, że mniej więcej połowa studiuje na kierunkach wartościowych z punktu widzenia gospodarki, określanych akronimem STEM (Science, Technology, Engineering and Mathematics). Ci najbardziej wartościowi z punktu widzenia wywiadu studenci są regularnie wzywani do konsulatów i tam oficerowie prowadzący kontaktują się z nimi bezpośrednio. Można przypuszczać, że pierwszy rodzaj rozmów, ten prowadzony przez komunikatory, nie zawiera niczego, co mogłoby być problemem w przypadku przechwycenia rozmowy przez amerykańskie służby; jest to rodzaj białego wywiadu, natomiast osobiste rozmowy są bardziej jednoznaczne.

MIĘDZY IDEALIZMEM A PODEJRZLIWOŚCIĄ

Krytycy polityki Trumpa, który postanowił radykalnie zmniejszyć liczbę chińskich studentów, wskazują, że trudno mówić o jakichś wielkich szkodach dla amerykańskiej gospodarki, skoro zdecydowana większość studiujących Chińczyków pozostaje w Ameryce. Argumentują oni, że to jest najlepszy dowód na korzyści dla gospodarki, skoro zasilają ją nowe umysły. To bardzo dobry argument, jednak można go skontrować takim, że nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę te umysły będą robić i na czyją rzecz pracować. Problem Stanów Zjednoczonych polega na tym, że jest bardzo trudno postawić wyraźną granicę między idealizmem, z którego wynika pierwszy argument, a skrajną podejrzliwością, którą żywi ten drugi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

Jacek Przybylski

Zarobić na pokoju

Zakończenie wojny na Ukrainie mogłoby zwiększyć PKB unijnych gospodarek i doprowadzić do spadku cen ropy i gazu. Trwały pokój dawałby również szanse na kontrakty na odbudowę Ukrainy. Zmniejszałby też premię za ryzyko i zwiększał apetyt inwestorów na aktywa w Europie Środkowej

Światowi inwestorzy bardzo uważnie przyglądali się zarówno spotkaniu prezydentów Władimira Putina i Donalda Trumpa na Alasce, jak i ubiegłotygodniowemu spotkaniu europejskich przywódców w Białym Domu. Na razie wciąż nie wiadomo, czy gambit prezydenta Trumpa ostatecznie doprowadzi go do kluczowej wygranej na globalnej szachownicy. Wielu inwestorów uważa, że rosyjsko-ukraińska wojna – która wstrząsnęła światową gospodarką, przerywając łańcuchy dostaw, doprowadzając do skokowego wzrostu cen żywności oraz pogrążając w recesji lub stagnacji wiele europejskich państw, będących wcześniej uzależnionymi od tanich surowców energetycznych z Rosji – ma za Trumpa największe szanse na zakończenie od jej wybuchu w lutym 2022 r.

Inwestorzy – w przeciwieństwie do polityków – muszą jednak możliwie jak najbardziej realnie oceniać nie tylko czas potrzebny na uzgodnienie porozumienia prowadzącego do pokoju, lecz także szansę na jego późniejsze utrzymanie. Skoro Władimir Putin odrzucił ofertę natychmiastowego ogłoszenia zawieszenia broni, to uzgodnienie warunków traktatu pokojowego może zająć wiele tygodni, jeśli nie miesięcy.

Na globalnych rynkach nie było więc w ubiegłym tygodniu widać radykalnych zmian w wycenach spółek w związku z rokowaniami mającymi zakończyć wojnę na Starym Kontynencie. Zwłaszcza że ogromne nadzieje na zakończenie wojny rozbudzone były już na początku obecnego roku. W kwietniu analitycy banku inwestycyjnego Goldman Sachs szacowali zaś, że rynek wycenia szanse na zawarcie pokoju na ok. 70 proc. (przed listopadowymi wyborami w USA szanse te wyceniane były na poniżej 50 proc., ale w lutym tego roku, gdy Donald Trump ogłosił natychmiastowe rozpoczęcie negocjacji zmierzających do zakończenia konfliktu, było to już 76 proc.).

CO ZE ZBROJENIAMI?

Sierpniowe rozmowy na szczycie o zawieszeniu broni w wojnie rosyjsko-ukraińskiej błyskawicznie wpłynęły na razie np. na wyceny spółek z sektora zbrojeniowego. W ciągu ostatnich miesięcy ogromnie zyskały na obietnicach unijnych przywódców dotyczących wyraźnego zwiększenia wydatków na obronność, ale dyskusje o pokoju takim spółkom akurat nie służą. W ubiegłym tygodniu akcje niemieckiego koncernu Rheinmetall – ważnego dostawcy czołgów i amunicji – potaniały więc o ponad 2,5 proc. (choć w ciągu roku i tak dały zarobić ich posiadaczom ponad 191 proc.). O ponad 6 proc. w ciągu pięciu dni przecenione zostały także walory niemieckiej firmy specjalizującej się w elektronice obronnej i bezpieczeństwa Hensoldt AG (mimo to w skali roku ich posiadacze zarobili 138 proc.). O ponad 10 proc. w ciągu pięciu dni rynek obniżył wycenę RENK Group AG, producenta wojskowych układów przeniesienia napędu, silników, modułów zawieszenia hydropneumatycznego etc. (mimo ostatnich spadków akcje te dały zarobić w ciągu ostatniego roku ponad 132 proc.). Na niewielkim minusie w ciągu ostatnich pięciu dni byli też posiadacze akcji notowanej na londyńskiej giełdzie spółki BAE Sys-

eprasa.pl ace439ea40

FOT. ADOBE STOCK

tems (w ciągu roku dała zarobić ponad 32 proc.), produkującej m.in. wojskowe samoloty, okręty, systemy rakietowe, pojazdy opancerzone etc.

Zdaniem ekspertów po krótkotrwałej przecenie spółki zbrojeniowe mają wciąż szanse na powrót na rekordowe poziomy. Wydaje się bowiem, że niezależnie od wyniku porozumienia między Waszyngtonem, Kijowem a Moskwą unijni przywódcy nie porzucą planów szybkiego dozbrajania swoich krajów w obawie przed kolejnym etapem walki o przywrócenie do życia rosyjskiego imperium. Dotyczy to zwłaszcza Polski czy innych krajów naszego regionu, gdzie rządowe wydatki na zbrojenia przynajmniej do końca obecnej dekady powinny utrzymywać się na wysokich poziomach.

A co, jeśli Amerykanie i Rosjanie dogadaliby się ponad głowami Ukraińców i Europejczyków? Wówczas – jak ostrzegali już w lutym tego roku analitycy Danske Bank – Europa nie miałaby innego wyboru, jak błyskawicznie zwiększyć wydatki na zbrojenia.

MILIARDY NA ODBUDOWĘ

Z tegorocznej analizy banku BNP Paribas wynika w dużym skrócie, że zawieszenie broni powinno w krótkim okresie zwiększyć wzrost PKB, głównie poprzez zwiększenie popytu, z potencjałem długoterminowego zwiększenia produkcji. Największe potencjalne zyski mogłyby zdaniem analityków tego banku uzyskać kraje Europy Środkowej i Wschodniej.

Według szacunków analityków banku inwestycyjnego Goldman Sachs „ograniczony czasowo rozejm" między Rosją a Ukrainą zwiększyłby wartość PKB strefy euro o 0,2 proc., a prawdziwy, trwały pokój mógłby doprowadzić do wzrostu PKB gospodarek strefy euro aż o 0,5 proc. Traktat pokojowy kończący wojnę na Starym Kontynencie mógłby również zmniejszyć inflację w strefie euro. Koniec wojny powinien także polepszyć nastroje konsumenckie (co powinno przełożyć się na dodatkowy wzrost PKB w unijnych gospodarkach), a także doprowadzić do istotnego spadku cen surowców energetycznych.

Trwały pokój dawałby też szanse na lukratywne kontrakty na odbudowę Ukrainy. Według szacunków Banku Światowego – sporządzonych we współpracy z ONZ, Komisją UE i rządem w Kijowie – koszt odbudowy Ukrainy ze zniszczeń spowodowanych rosyjską agresją wyniesie co najmniej 506 mld euro, co stanowi ok. trzykrotności ukraińskiego PKB w 2024 r. Im dłużej potrwają działania wojenne, tym ta kwota będzie oczywiście wyższa (w lutym 2023 r. szacunki mówiły o 392 mld euro, a w marcu 2024 r. o 464 mld euro).

Tylko Unia Europejska na odbudowę Ukrainy zamierza przeznaczyć do roku 2027 aż 50 mld euro. Zdaniem analityków Goldman Sachs z krajów strefy euro najwięcej powinny na nich zyskać firmy z takich państw jak Niemcy czy Hiszpania. Ponieważ wiele projektów realizowanych jest nie z budżetu władz w Kijowie, lecz z pieniędzy krajów zewnętrznych, można się też spodziewać, że wiele okazji do zarobku po zakończeniu wojny na Ukrainie będą mieli Amerykanie, Brytyjczycy, Japończycy, Norwedzy, Szwedzi, Austriacy oraz Saudowie, a także Turcy, którzy już bardzo aktywnie inwestują zwłaszcza w zachodniej części Ukrainy.

Zarobić mogą również Polacy, choć nadal nie wiadomo, czy głównie przy obsłudze dużych zagranicznych inwestorów czy też jako główni bohaterowie fazy odbudowy. Wśród ważnych graczy mogą być takie firmy jak choćby: PZU, Śnieżka, LPP, Cersanit, Barlinek, Fakro czy kontrolowany przez PKO BP KredoBank. Swoją rolę może też w odbudowie Ukrainy odegrać Bank Gospodarstwa Krajowego.

Z analizy Ośrodka Studiów Wschodnich opublikowanej w sierpniu ubiegłego roku wynika, że po wojnie największe znaczenie na Ukrainie będą miały inwestycje w budownictwo mieszkaniowe i infrastrukturę drogową. Do perspektywicznych sektorów Sławomir Matuszak z OSW zaliczył także energetykę z naciskiem na odnawialne źródła energii, rolnictwo i przemysł spożywczy. Inni eksperci doradzają także, że szansą dla polskich przedsiębiorców mógłby być szeroko rozumiany sektor usług.

Nadzieje na potencjalny zarobek po zakończeniu wojny ma wielu polskich przedsiębiorców. Jak zauważył pod koniec lipca obecnego roku Polski Instytut Ekonomiczny, choć naszym głównym partnerem handlowym pozostają Niemcy, to 40 proc. polskich badanych eksporterów było zainteresowanych rozpoczęciem lub wznowieniem eksportu na Ukrainę („choć jedynie 6 proc. chciałoby inwestować w tym kraju po zakończeniu wojny"). „Odsetek firm zainteresowanych obecnością na rynku ukraińskim jest tym wyższy, im wyższy poziom zaawansowania technologicznego ich produkcji. Wznowienie lub rozpoczęcie eksportu po zakończeniu wojny najczęściej deklarowały przedsiębiorstwa z branż: chemicznej, produkcji maszyn i spożywczej" – czytamy w raporcie.

A co na to wszystko rynek? Inwestorzy już od wielu miesięcy wyceniają potencjalne polepszenie sytuacji na Ukrainie. W tygodniu, w którym prezydent USA Donald Trump spotkał się na Alasce z Władimirem Putinem, na warszawskiej giełdzie widoczny był rajd ukraińskich spółek, a indeks WIG-Ukrain – grupujący na warszawskim parkiecie spółki

eprasa.pl ace439ea40

z siedzibą lub główną działalnością na Ukrainie – był o włos od psychologicznej wartości 600 pkt. Gdy w ubiegły czwartek zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy", wartość indeksu wynosiła ok. 589 pkt. W ciągu ostatniego roku wartość indeksu wzrosła o ok. 126 proc. (w tym o ponad 70 proc. od stycznia 2025 r.).

Ekonomiści Citi w opublikowanej w lutym obecnego roku analizie nieco chłodzili jednak hurraoptymistyczne nastroje dotyczące potencjalnych zysków z odbudowy. Szacowali bowiem, że odbudowa ukraińskiej gospodarki może dodać do wzrostu PKB Polski mniej niż 0,2 p.p. rocznie, przy założeniu, że w sumie koszty odbudowy sięgną ok. 300 mld dol. Z ich analizy wynika, że „jedna trzecia przypadnie zagranicznym firmom, a ewentualne kontrakty będą przyznawane mniej więcej proporcjonalnie do zaangażowania poszczególnych krajów w pomoc dla Ukrainy. W tym kontekście entuzjastyczna reakcja rynkowa jest nieproporcjonalna w porównaniu z możliwymi skutkami ekonomicznymi". Cytowani przez PAP ekonomiści zauważyli także, że „krótkoterminowe korzyści dla wzrostu związane z odbudową Ukrainy mogą z czasem zostać przyćmione przez negatywne konsekwencje długoterminowe".

Po ogłoszeniu zawieszenia broni, a zwłaszcza po zawarciu długoterminowego porozumienia pokojowego znacząco powinny spaść również koszty transportu drogą morską. Według tegorocznych szacunków przepustowość na czarnomorskim szlaku wynosi mniej więcej połowę poziomu sprzed inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r. Zmniejszyłyby się też koszty ubezpieczenia ładunków, które obecnie są wysokie, bo choć np. port w ukraińskiej Odessie działa bez większych zakłóceń, to regularnie jest przez Rosjan atakowany z powietrza.

TRZY SCENARIUSZE

Trudno oczywiście zakładać wyłącznie optymistyczny wariant rozwoju sytuacji na Ukrainie. Ekonomiści polskiego VeloBanku w sierpniowym raporcie przedstawili więc trzy możliwe scenariusze rozwoju sytuacji na Ukrainie. Scenariusz A – najbardziej optymistyczny z nich – zakłada osiągnięcie wstępnego porozumienia między Ukrainą a Rosją przy mediacji USA i wsparciu europejskich liderów, prowadzącego do zakończenia konfliktu zbrojnego i zapewnienia bezpieczeństwa Ukrainie. Wówczas – według ekspertów VeloBanku – „część sankcji nałożonych na Rosję zostałaby zniesiona".

Realizacja takiego scenariusza przyniosłaby m.in. spadek premii za ryzyko w regionie, co mogłoby prowadzić do wzrostu apetytu inwestorów na aktywa rynków wschodzących, a także do umocnienia walut Europy Środkowo-Wschodniej. Te ostatnio co prawda ostatnio znacząco umocniły się do amerykańskiego dolara, ale zwłaszcza w pierwszych miesiącach wojny rosyjsko-ukraińskiej zarówno euro, jak i złoty (przeceniony do 5 zł za dolara) istotnie ucierpiały w wyniku militarnego konfliktu w regionie.

Koszt odbudowy Ukrainy ze zniszczeń wojennych szacowany jest na co najmniej 506 mld euro

Drugi scenariusz przedstawiony przez ekonomistów VeloBanku zakłada „status quo i zamrożenie frontu", czyli brak przełomu, utrzymanie linii frontu i dalsze wyniszczanie ukraińskiej gospodarki przy jednoczesnym podtrzymywaniu rozmów pokojowych. Skutkiem jego realizacji byłaby dalsza niepewność inwestycyjna w Europie Środkowej i Wschodniej, a także utrzymanie wysokiej zmienności cen ropy i gazu. Scenariusz C zakłada z kolei eskalację i presję na Kijów lub Moskwę, gwałtowny wzrost premii za ryzyko geopolityczne, umocnienie dolara jako bezpiecznej przystani, osłabienie euro oraz skokowy wzrost cen ropy i gazu. „Perspektywa recesyjnych impulsów w strefie euro ponownie stałaby się przedmiotem debaty politycznej i rynkowej" – czytamy w makroekonomicznej analizie.

Główny ekonomista VeloBanku dr Piotr Arak w opublikowanym w ubiegłym tygodniu tekście dla WP.pl zwrócił również uwagę, że „w wymiarze gospodarczym oddanie Donbasu byłoby ciosem dla potencjału przemysłowego Ukrainy, ale mogłoby też przyspieszyć proces restrukturyzacji gospodarki i przesunięcie jej ciężaru na zachód kraju".

ODPŁYW SIŁY ROBOCZEJ?

Zawarcie trwałego pokoju między Rosją a Ukrainą wiązałoby się też z nowymi wyzwaniami dla gospodarek strefy euro czy regionu Europy Środkowej i Wschodniej. Jednym z największych potencjalnych zagrożeń jest powrót na Ukrainę tysięcy uchodźców, którzy znaleźli zatrudnienie w Polsce, a także w Niemczech, Czechach czy Hiszpanii.

Trudno jest obecnie oszacować, jaki odsetek tych uchodźców ostatecznie powróci na Ukrainę. Szacuje się, że łącznie kraj ten z powodu wojny opuściło 5,2 mln osób (najwięcej, bo aż 2,5 mln, w marcu 2022 r.). Według opublikowanego w lutym tego roku badania Ukraińskiego Centrum Strategii Gospodarczej (CES) 53 proc. ukraińskich uchodźców wyraża niechęć do powrotu do ojczyzny. Odsetek ten systematycznie się jednak zmniejsza. Nie wiadomo również, czy do Polski i innych krajów Unii Europejskiej nie przyjadą ci ukraińscy mężczyźni, którzy wcześniej nie mogli zgodnie z prawem opuścić legalnie walczącego kraju.

Według ekspertów, jeśli Ukraina stanie się krajem szybko rozwijającym się, bezpiecznym i stabilnym politycznie, a jednocześnie walczącym z korupcją ukraińskich urzędników, wielu Ukraińców może podjąć decyzję o powrocie do ojczyzny. I ten scenariusz powinni mieć na uwadze polscy przedsiębiorcy. Zresztą pracodawcy w Polsce ze zjawiskiem odpływu Ukraińców zatrudnionych w Polsce muszą radzić sobie już od zeszłego roku. Wprawdzie nad Wisłą w 2023 r. pracowało ponad 700 tys. Ukraińców, ale w ciągu ostatnich miesięcy ich liczba spadła do ok. 600 tys. (m.in. ze względu na lepsze warunki zatrudnienia w Niemczech). I chociaż nadal Ukraińcy stanowią zdecydowaną większość wśród wszystkich cudzoziemców legalnie pracujących w Polsce, to zwalniane przez nich miejsca pracy zajmują imigranci z Indii, Nepalu, Bangladeszu i innych państw azjatyckich.

W tak niepewnych czasach pewne jest zaś tylko jedno: do wszystkich prognoz należy podchodzić z należytym dystansem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Komedianci Tuska

Ileż to razy Donald Tusk obiecywał przed wyborami 2023 r., że zlikwiduje podatek Belki? 800 razy? 1263 razy? W każdym razie w swoim słynnym dziele pt. „100 kłamstw", dla niepoznaki opatrzonym tytułem „100 konkretów", napisał o tamtej swojej i swej partii obietnicy wielkimi literami. Takimi: „Zaproponujemy zniesienie podatku od zysków kapitałowych (podatek Belki) dla oszczędności i inwestycji, w tym także na GPW (do 100 tys. zł, powyżej 1 roku)".

A potem – czyli przez calutki rok 2024 i ponad połowę 2025 r. – sam Tusk co prawda nie odezwał się w tej sprawie chyba ani słowem, czyli „konsekwentnie milczał", ale za to minister finansów (a od niedawna także gospodarki) w jego rządzie – Andrzej Domański – wypowiadał się wielekroć, niemal za każdym razem obiecując coś innego. I niemal zawsze zastrzegając się, że jako iż (niespodziewanie?) okazało się, że sytuacja budżetu Polski jest jednak trudna, a nawet bardzo trudna, to podobnie jak pozostałe obietnice z księgi „100 kłamstw/100 konkretów" – prowadzące do jeszcze większego nadwerężenia tegoż budżetu – także i ta, czyli likwidacja podatku Belki, a choćby i ograniczona do oszczędności w wysokości do 100 tys. zł – jest trudna do zrealizowania. „Ale oczywiście zrealizowana zostanie".

Co takiego zapowiadał Domański? Ano ani razu nie zapowiedział po prostu zlikwidowania tego najbardziej niesprawiedliwego z niesprawiedliwych podatków – bo od oszczędzania pieniędzy już raz opodatkowanych – który wprowadzano „tylko na krótko". Ani razu nie zapowiedział też choćby obniżenia wymiaru tego podatku z niebotycznych 19 proc. do, powiedzmy, 10 czy 15 proc. – przy pozostawieniu obecnej łatwości odprowadzania go (w przypadku lokat robią to banki, bez angażowania właścicieli lokat). Za to za każdym razem zapowiadał wprowadzenie dziwacznej, skomplikowanej formuły, z którą trudno byłoby sobie poradzić zwykłemu ciułaczowi bez wsparcia doradcy podatkowego. Jednak przynajmniej przez cały ten czas mowa była o możliwości uzyskania tej ulgi w podatku Belki do wysokości 100 tys. zł od oszczędności ulokowanych w banku.

Wszelako, jak się dziś okazuje, także to było bujdą na resorach, bo jeśli jakaś ulga spotka łupionych przez rząd Polaków, którzy trzymają w banku swe ciężko zarobione i już raz opodatkowane pieniądze, to tylko od najwyżej 25 tys. zł, a w przypadku pozostałych 75 tys. zł dotyczyć będzie wyłącznie pieniędzy ulokowanych przez nich na giełdzie. Bo to podobno świetny system Osobistych Kont Inwestycyjnych, dobrze sprawdzający się w bogatej Szwecji bogatych Szwedów. Co to ma wspólnego z obietnicą zniesienia/zmniejszenia podatku Belki? To już wiedzą tylko komedianci Tuska. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„Liberałowie" gorsi niż socjaliści

Nie przychodzi mi to łatwo jako twardemu krytykowi socjalistycznego kursu PiS, ale są dziedziny, w których partia Jarosława Kaczyńskiego miała bardziej probiznesowe stanowisko niż obecna władza, rzekomo liberalna i sprzyjająca przedsiębiorcom. Chociaż to już raczej przekonanie trwające siłą rozpędu i niemające obecnie podstaw, echo po dawnej Platformie Obywatelskiej.

Najgorsza jest wiara władzy, że podniesienie akcyzy zadziała jak dodanie liczb w Excelu

To bowiem rząd PiS porozumiał się z branżą tytoniową w sprawie postępów w podnoszeniu akcyzy oraz podobnie zrobił z branżą alkoholową. Ustalono harmonogram stopniowych i możliwych do zaabsorbowania przez te branże podwyżek.

Można oczywiście w ogóle kwestionować – i niniejszym to czynię – samo istnienie podatku akcyzowego, a już zwłaszcza jego „społeczne" uzasadnienia. Nie jest funkcją systemu podatkowego wychowywanie czy – jak to się nowomodnie nazywa – bodźcowanie obywateli. Ale to inny temat.

Porozumienie z branżą tytoniową zostało przez rząd Tuska błyskawicznie wywalone do kosza. Zaplanowano podwyżki akcyzy znacznie większe niż to, co wcześniej uzgodniono. Teraz zanosi się na podobnie radykalne podwyżki akcyzy na alkohol. Jest to oczywiście konsekwencja rozpaczliwej sytuacji polskiego budżetu, ale to również ordynarne uderzenie w przedsiębiorców, dla których fundamentalnie ważne są stabilność i możliwość planowania biznesu, a częścią tego jest wiedza o przyszłych obciążeniach podatkowych. Rząd nieprzestrzegający porozumień, które w tej sprawie biznes zawarł z poprzednikami, zachowuje się po prostu jak bandyta.

Najgorsza jest jednak wiara władzy, że podniesienie akcyzy zadziała jak dodanie liczb w Excelu – automatycznie przyniesie większe wpływy. Tak się oczywiście nie stanie. Skutki będą dwa: uderzenie w dobrze funkcjonujący biznes i radykalny wzrost szarej strefy. Rozumieli to nawet socjaldemokraci z PiS, ale najwyraźniej dla „liberałów" z KO to wiedza tajemna. Tylko biznesu szkoda. I naszych portfeli. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

Cezary Gmyz

Olendrzy – zaginiona cywilizacja

Olendrzy bardzo dobrze znali się na melioracji i regulacji rzek. Nie postrzegali więc wylewów Wisły jako zagrożenia

FOT. ARCHIWUM MUZEUM MAZOWIECKIEGO W PŁOCKU

Obecnie w Polsce do bycia Olendrem nikt się nie przyznaje. Podobnie jak autor tego tekstu, w którego żyłach płynie krew mazowieckich Olendrów, którego babcia miała na imię Emma, a prababcia Sinezja

Jedną z najbardziej zdumiewających rzeczy podczas żeglugi środkową Wisłą w maju są kwitnące drzewa owocowe na tzw. kępach czy wyspach na rzece. Zdziczałe śliwy, wiśnie, jabłonie, czereśnie czy grusze to jeden z najpiękniejszych widoków wiosną na tym odcinku Wisły. Ktoś mógłby pomyśleć, że to samosiejki. Jednak wizyta na niektórych z tych wysp szybko wyprowadzi nas z błędów. Przedzierając się przez zarośla, szybko odkryjemy ślady po ludzkim osadnictwie – fundamenty domów i pozostałości cmentarzy w postaci porośniętych mchem nagrobków, na których można jeszcze odczytać niekiedy niemieckie napisy. To jedne z ostatnich materialnych dowodów na istnienie na terenie Mazowsza wymarłej cywilizacji – Olędrów (zwanych też Olendrami). I chociaż sformułowanie „cywilizacja" jest tu użyte niejako na wyrost, to jednak faktem jest, że ta społeczność miała charakter odrębny od zamieszkujących te ziemie Polaków czy Żydów.

Dziś w Polsce do bycia Olendrem nikt się nie przyznaje. Wprawdzie ok. 4,5 tys. Polek i Polaków nosi to nazwisko wskazujące na ich pochodzenie, jednak są to osoby, które nie mają żadnego poczucia odrębności narodowej. Podobnie jak autor tego tekstu, w którego żyłach płynie krew mazowieckich Olendrów, którego babcia miała na imię Emma, a prababcia Sinezja.

TOLERANCJA RELIGIJNA

Wzdłuż całego nurtu Wisły odnajdziemy ślady ich obecności, głównie w postaci pozarastanych cmentarzy ewangelickich, choćby w Kazuniu Nowym, Nowym Dworze Mazowieckim, Kępie Ośnickiej. Niestety, jeśli chodzi o innego rodzaju zabytki, takie jak świątynie czy domostwa, zachowało się ich stosunkowo niewiele.

Zacznijmy od tego, że nazwa „Olendrzy" jest nieco myląca, ale ma swoje historyczne uzasadnienie. Faktem jest bowiem, że pierwszą zorganizowaną formą obcego osadnictwa na Mazowszu było osiedlenie w 1628 r. przybyszów z Flandrii i Fryzji na Saskiej Kępie, która wówczas zgodnie ze swoją nazwą była jeszcze wyspą na Wiśle.

Kolejni osadnicy z Niderlandów zaczęli napływać w drugiej połowie XVIII w. w okolice Płocka. Byli to przede wszystkim menonici – protestanci wywodzący się z Holandii, prześladowani w innych częściach Europy. Do Polski przyciągała ich przede wszystkim słynna tolerancja religijna, potwierdzona zapisami Konfederacji Warszawskiej z 1573 r. Rzeczpospolita po prostu uznała, że wzajemne wyrzynanie się między różniącymi się w wierze szkodzi państwu, i nadała innowiercom swoistą autonomię.

Protestanci w ramach swoich społeczności rządzili się swoimi prawami, i to dosłownie. Mieli swoje samorządy i sądownictwo. Miało to wiele swoich dobrych cech, które zdecydowanie przeważały nad negatywami. Do negatywów należały przede wszystkim poczucie odrębności i bardzo powolna asymilacja.

Chodzi tutaj zwłaszcza o kolejne fale osadnictwa tym razem przybywającej już z terenów Cesarstwa Niemieckiego, a głównie z Wirtembergii i Saksonii. Do tego stopnia zdominowali oni wcześniejszych osadników, że holenderscy menonici zgermanizowali się i stopniowo byli włączani w struktury luterańskich gmin wyznaniowych. W sumie wzdłuż Wisły powstało aż 1,5 tys. osad olenderskich, z których jedynie 300 miało swoje korzenie w Niderlandach. Kiedy spojrzymy na przedwojenne mapy, odkryjemy, że bardzo wiele miejscowości miało w swojej nazwie dodatek „niemiecki". Tak było choćby z podwarszawskim Dziekanowem Niemieckim. Po drugiej wojnie światowej, w ramach degermanizacji nazewnictwa, większość przymiotników „niemiecki" usunięto – i tak Dziekanów z Niemieckiego stał się Leśnym.

W ZGODZIE Z SIŁAMI NATURY

W dość powszechnej opinii Olendrzy byli wysokiej klasy specjalistami, jakbyśmy to dziś powiedzieli, od gospodarki

eprasa.pl ace439ea40

wodnej. Ale to tylko część prawdy o tej społeczności. Owszem, Olendrzy bardzo dobrze znali się na melioracji i regulacji rzek. Jednak wbrew pozorom nie chodziło o ochronę przeciwpowodziową, a wręcz przeciwnie. Rzecz w tym, że osadnicy nie postrzegali wylewów Wisły jako zagrożenia. Podobnie jak w przypadku starożytnych cywilizacji, które rozwinęły się na ziemiach tzw. żyznego półksiężyca, czyli w dorzeczach Nilu, Eufratu i Tygrysu, Olendrzy nauczyli się korzystać z regularnych wylewów Wisły. Po prostu powodzie nanosiły osady będące naturalnymi nawozami. Olendrzy nauczyli się znakomicie koegzystować z siłami natury i wykorzystywać to do swoich celów.

Jak to wyglądało od strony praktycznej? Typowym wynalazkiem olenderskim były tzw. langhausy lub langhoffy, czyli długie domy. W odróżnieniu od polskich gospodarstw, budowanych na planie czworoboku, gdzie osobne budynki stanowiły dom mieszkalny, obora i stodoła, Olendrzy wszystkie te funkcje łączyli w jednym podłużnym budynku, którego poszczególne funkcje były ze sobą skomunikowane. Innymi słowy, żeby dostać się z domu do stodoły czy obory, nie trzeba były wychodzić na dwór. Dodatkowo langhausy były budowane na tzw. terpach. Słowo to pochodzi do niemieckiego Treppe (schody). Było to po prostu wzniesienie usypane kilka metrów powyżej otaczającego go terenu. Dodatkowo wiele domów, choć było drewnianych, miało podmurówkę. Cel tych zabiegów był jeden – nie dopuścić do zalania budynku przez powódź i utrzymać jednocześnie ciągłość gospodarowania bez potrzeby opuszczania domostwa. Choć oczywiście na wypadek konieczności opuszczenia domów każde gospodarstwo było wyposażone w łódź – zwykle dłubankę lub tzw. bata wiślanego. Jednak Olendrzy byli przygotowani również na okoliczność zalania domostwa przez większe fale powodziowe.

W tym celu langhausy miały użytkowe poddasza. Po prostu kiedy woda zaczynała się wdzierać do domu, całego gospodarstwo, łącznie ze zwierzętami przenosiło się na poddasze, gdzie bez większych problemów mogło bytować nawet dwa tygodnie, choć wody zwykle opadały najdalej po tygodniu. Olendrzy na skutki powodzi patrzyli zwykle z ukontentowaniem. Naniesiony wiślany muł zwiastował obfite plony na dobrze nawodnionych gruntach. Nadmiar wody odprowadzany był rowami melioracyjnymi. To, co tak bardzo kojarzy nam się z polskim krajobrazem, czyli wierzby nad rowami, to właśnie wynalazek olenderski, mający podwójne zastosowanie. Z jednej strony system korzeniowy nie pozwalał na zbyt szybkie spływanie wody, z drugiej witki wierzbowe miały zastosowanie choćby przy wyplataniu koszy. Dziś rzeklibyśmy, że taki sposób prowadzenia gospodarki był najbardziej ekologiczną metodą pozyskiwania żywności. Jeśli jeszcze dodamy do tego, że bardzo wielu Olendrów oprócz sadownictwa, ogrodnictwa, rolnictwa i hodowli zwierząt zajmowało się rybołówstwem, to będziemy mieli całościowy obraz tego sposobu gospodarowania.

ZMIERZCH SPOŁECZNOŚCI

Olendrzy wręcz żyli z Wisły. Dość powiedzieć, że kiedy władze carskie zaczęły regulację rzeki, a konkretnie usypywanie wałów, gospodarze olenderscy byli zrozpaczeni do tego stopnia, że napadali na ekipy budujące umocnienia przeciwpowodziowe i wzniecali regularne bunty. Nawiasem mówiąc, dość skuteczne, bo władze pozwalały w niektórych miejscach na przerwy w wałach służące do zalewania pól.

W dość powszechnej opinii kres społecznościom olenderskim położyli Polacy, wysiedlając Niemców po drugiej wojnie światowej nie tylko z Ziem Odzyskanych. Nie jest to do końca prawda. Zmierzch tej społeczności zaczął się w czasie pierwszej wojny światowej. Jeszcze na początku XX w. liczba protestantów w Królestwie Polskim sięgała pół miliona, a na północnym Mazowszu ich odsetek przekraczał 7 proc. U progu pierwszej wojny światowej na terenie zaboru rosyjskiego żyło już prawie 720 tys. Niemców. Klęski Rosji w wojskami niemieckimi sprawiły, że zaczęto szukać kozła ofiarnego – i znaleziono go, w postaci kolonistów niemieckich. Już w sierpniu 1914 r. car Mikołaj II podpisał ukaz stanowiący, że obywatele Cesarstwa Niemieckiego mieszkający na terenie Kongresówki w wieku od 18. do 45. roku życia zostają z automatu uznani za jeńców wojennych. Pół roku później kolejny ukaz objął również tych kolonistów niemieckich, którzy byli poddanymi cara. Tak zwana ustawa likwidacyjna pozwalała na wysiedlanie ich w głąb Rosji bez względu na wiek i płeć. Kryterium było jednak przede wszystkim wyznaniowe. Chociaż rodzina autora tego tekstu była już w znacznej mierze spolonizowana, to uznano ją za niemiecką, gdyż była wyznania ewangelickiego, i wysiedlono aż do Orenburga za rzeką Ural, pozwalając zabrać dobytek o wadze jedynie trzech pudów, czyli niespełna 50 kg. Na liczącą wówczas siedem osób rodzinę było to naprawdę niewiele. Deportacja miała bardzo brutalny przebieg. Kolonistów do bydlęcych wagonów zaganiano nahajkami. Ich dobytek sprzedawano za bezcen chłopom i Żydom. Represje carskie dotknęły nawet zwierzchnika luteran w Kongresówce, ks. Juliusza Burschego, mającego co prawda niemieckie korzenie, ale będącego polskim patriotą – za co zresztą zapłacił w czasie drugiej wojny światowej, umierając po pobycie w niemieckim obozie w Sachsenhausen w policyjnym szpitalu w Berlinie.

Na Mazowsze z tułaczki powróciło niewiele ponad 30 tys. osób. Jednak ich gospodarstwa często były już zajęte przez Polaków, co rodziło kolejne antagonizmy. Niestety, to wszystko spowodowało, że wielu kolonistów zaczęło się radykalizować, a od lat 30. sympatyzować z ruchem nazistowskim, choć były też piękne przykłady rodzin spolonizowanych, które włączyły się w czasie drugiej wojny światowej w walkę z Niemcami. Po wojnie jednak większość kolonistów emigrowała mniej lub bardziej przymusowo.

Dziś ktoś, kto chce się zapoznać z dziejami Olendrów, powinien koniecznie odwiedzić Skansen Osadnictwa Nadwiślańskiego w Wiączeminie Polskim, noszącym kiedyś niemiecką nazwę Gensemin. Można tam podziwiać nie tylko były kościół ewangelicki, lecz także przykłady budownictwa olenderskiego. Od czasu do czasu organizowane są tam też imprezy, w tym pokazy wyrobu olenderskiego specjału powideł z… buraków. Bardzo zresztą smakowitych. Skansen jest odziałem chwalonego już przeze mnie Muzeum Mazowieckiego w Płocku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ace439ea40

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Herezjarchowie z Dubiecka

JACEK KOMUDA

Dubiecko w dawnym województwie ruskim Rzeczypospolitej zasłynęło jako miasto sprzyjające i przyjmujące protestantów, zwanych przez katolików heretykami. Wszystko za sprawą właściciela Stanisława Mateusza Stadnickiego, gorliwego poplecznika luterskich nauk, który, jak pisze Władysław Łoziński, „w roku 1551 zaczął szerzyć reformację w Przemyskiem i stworzył jej nowe i silne ognisko w Dubiecku". Najpierw sprowadził dwóch szerzycieli reformacji: Jerzego Tobołkę, księdza, który wygłaszał protestanckie kazania, oraz Andrzeja z Dynowa, proboszcza w Dylągowej, który za głoszone bezbożne i bluźniercze treści został przez biskupa przemyskiego Jana Dziaduskiego pozbawiony probostwa. Ciekawe, że jednak pod koniec życia wyrzekł się herezji. W 1546 r. pan na Dubiecku sprowadził do miasteczka kolejnego protestanta – Wojciecha z Iłży, kolejnego wyklętego księdza, a właściwie wikarego, tym razem z Niedźwiedzy położonej w województwie krakowskim. Po jego przybyciu w Dubiecku zaprowadzono luterańskie nabożeństwo z liturgią w języku polskim. Wspomniany Wojciech ochrzcił też w porządku luterańskim syna właściciela. Prawdopodobnie był to Stanisław Stadnicki, zwany później „Diabłem Łańcuckim", także gorliwy propagator reformacji, a poza tym znany okrutnik i awanturnik.

RYS. MART

Postępowanie Stanisława Mateusza Stadnickiego spowodowało najpierw sprzeciw, potem stanowcze działania bp. Dziaduskiego. W 1547 r. pozwał magnata przed sąd biskupi w Przemyślu, który zadecydował o pozbawieniu pana na Dubiecku wszystkich dostojeństw i majętności. Następnie rzucił na niego ekskomunikę. Wyrok pozostał jednak na papierze, a Stadnicki na Dubiecku, wydał go bowiem sąd kościelny, a nie szlachecki. Przedstawiciele zaś tego stanu wystąpili ostro w 1552 r. na sejmiku w Sądowej Wiszni z protestami przeciwko sądom duchownym, które odważały się orzekać infamię i konfiskować dobra szlacheckie.

Wkrótce doszło do mediacji między Stadnickim i biskupem. Stanisław Mateusz miał wystąpić z prośbą do biskupa i uzyskał nawet absolucję; zapewne też zawieszenie ekskomuniki. Spokój nie trwał długo, niebawem bowiem, jak podaje Łoziński, „posunął się do bardzo stanowczych, antykatolickich kroków, zajął przemocą kościół w Dubiecku, wprowadził do niego z uroczystą ostentacją Wojciecha z Iłży, który intromitując się wśród śpiewu Ambrozjańskiego hymnu do świątyni katolickiej, rozbił siekierą cyborium, sprofanował eucharystię i powyrzucał wśród szyderstw chorągwie i obrazy świętych i Matki Bożej". Za takie poczynania biskup ekskomunikował Stadnickiego drugi raz, w 1554 r., a ten aż do końca życia pozostał zaprzysięgłym zwolennikiem reformacji i nigdy nie próbował pojednać się z Kościołem. Więcej: wkrótce usunął Wojciecha z Iłży i sprowadził w jego miejsce Franciszka Stankara, porzucając luteranizm i stając się zwolennikiem kalwinizmu.

Stankar, a właściwie Stancaro, z pochodzenia Włoch, był profesorem na uniwersytecie krakowskim. Wkrótce został schwytany i uwięziony na zamku w Lipowcu, skąd zbiegł dzięki wsparciu polskich protestantów i udał się do Królewca. Tam właśnie pozyskał go Stanisław Mateusz Stadnicki, który w 1558 r. sprowadził go do Dubiecka, gdzie Stankar założył gminę kalwińską i szkołę, w której wykładał, a która miała zapewne w przyszłości stać się akademią. Zaprosił też do niej Grzegorza Orszaka, który wykładał w protestanckiej szkole w Pińczowie, skąd odszedł po konflikcie z miejscowym zborem kalwińskim. Orszak był bowiem wyznawcą Stankara, który jak herezjarcha zaczynał głosić nauki coraz bardziej odmienne od praktyk Kalwina. Można się spodziewać, że obaj zdołali pozyskać wielkie względy Stadnickiego, tak iż mianował Orszaka rektorem dubieckiej szkoły kształcącej przyszłych pastorów protestanckich dla Polski. Działała tu też drukarnia protestancka Jana Szeligi.

Wkrótce Stankar stał się, można by powiedzieć, krzewicielem herezji w herezji, ponieważ najpierw jego właśni bracia w wierze potępili go na synodach w Pińczowie, a potem w 1560 r. wyklęli, jak niegdyś Dziaduski Stadnickiego. Duchowny jednak zaskarbił sobie łaski pana na Dubiecku tak dalece, że ów wielokrotnie występował w jego obronie, a nawet szukał dla swego herezjarchy poparcia u Jana Kalwina.

Szkołę protestancką zamknięto po śmierci Stanisława Mateusza Stadnickiego w 1563 r. W Dubiecku i okolicznych wsiach przez kilkanaście lat jeszcze działały zbory protestanckie. Miasteczko przeszło na własność Andrzeja Stadnickiego, najmłodszego syna, który, podobnie jak większość braci, powrócił później do katolicyzmu i w 1588 r. zwrócił większość nieruchomości katolikom. Kościół przywrócony został dopiero w 1624 r., a w 1626 r. zburzony razem z częścią fortyfikacji zamku. Tak zakończyła się historia reformacji w Dubiecku. ©℗

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ace439ea40

SUZUKI SWACE

FOT. JAP

Zaledwie 2,7 l/100 km. To najniższe średnie spalanie, które udało mi się uzyskać podczas ostatniej jazdy testowej kompaktowym, rodzinnym japońskim kombi z niezwykle oszczędnym napędem hybrydowym. Taki wynik wymaga przełączenia się na tryb ECO i bardzo delikatnego obchodzenia się z pedałem gazu. Podczas normalnej jazdy, bez nieustannego myślenia o zasadach eco-drivingu, średnia w cyklu mieszanym (zakorkowane miasto, drogi krajowe i autostrada) nadal oscylowała jednak w okolicach 4–5 l/100 km. Podczas jazdy z prędkością 140 km/h na autostradzie wynik w okolicach 6,0 l/100 też nie był szczególnie trudny do osiągnięcia. Gdyby więc jacyś urzędnicy w Brukseli naprawdę myśleli o ekologii, a nie ideologii, to promowaliby właśnie takie samochody jak Suzuki Swace czy Toyota Corolla (czyli siostra bliźniaczka testowanego modelu).

Auto wygląda jak typowa taksówka. Niczym szczególnym nie zachwyca, ale jest za to praktyczne i ekonomiczne. Moc układu hybrydowego z silnikiem o pojemności 1.8 l wynosi 140 KM. Od zera do 100 km/h Swace przyspiesza w 9,4 s. Nie jest to więc demon prędkości, choć hybrydowy napęd sprawia, że auto umożliwia dość dynamiczną jazdę. Dzięki wyższej mocy silnika elektrycznego znacząco zmniejszył się też hałas podczas gwałtownego przyspieszania (choć jakość wyciszenia kabiny pozostaje słabym punktem tej japońskiej marki). Komfort jazdy jest tu mimo wszystko wysoki. Precyzyjny układ kierowniczy sprawia, że Swace posłusznie wykonuje wszystkie polecenia, dając kierowcy dużo przyjemności z prowadzenia.

We wnętrzu jest dość nowocześnie. Kierowca ma do dyspozycji w pełni cyfrowe wskaźniki. Na desce rozdzielczej dominuje zaś ośmiocalowy ekran dotykowy. System multimedialny działa sprawnie, podobnie jak obsługa Android Auto czy Apple CarPlay. Niestety, jakość obrazu z kamery cofania to zaprzeczenie japońskiej nowoczesności: rozdzielczość ekranu jest dzisiaj dużo lepsza w praktycznie każdym nowym chińskim aucie. Na pochwałę zasługuje za to zestaw audio, który ja na tak niską klasę cenową gra zaskakująco dobrze. Wykończenie dalekie jest od aut klasy premium. Jak na rodzinne auto przystało, nie brakuje tu jednak różnych schowków. W jedynej dostępnej odmianie kombi ustawny kufer ma 596 l pojemności (po złożeniu oparć tylnej kanapy do dyspozycji jest już 1606 l).

Niestety, chociaż Suzuki Swace nadal jest w sprzedaży w polskich salonach, to jego produkcja zakończyła się w roku 2024. Ceny wyglądają atrakcyjnie. Zwłaszcza że już w podstawowej odmianie do dyspozycji są m.in. dwustrefowa klimatyzacja, podgrzewane przednie fotele i kierownica, pakiet systemów bezpieczeństwa czy świetnie oświetlające drogę reflektory LED. Za wersję 1.8 Hybrid 2WD E-CVT Premium Plus (podstawową) trzeba zgodnie z cennikiem zapłacić 109,9 tys. zł, a za wersję Elegance – 124,9 tys. zł.

PARKSIDE PERFORMANCE PPBSSA 12 A1

Zaskakująco duża moc jak na akumulatorowy sprzęt o napięciu 12 V, trzy poziomy prędkości, ergonomiczna konstrukcja, przydatne oświetlenie LED, łączność z aplikacją na smartfonie, świetny stosunek ceny do możliwości oraz… okazja do pochwalenia się sąsiadom, że to właśnie my mamy na półce w garażu coś, co potrafi poruszyć nawet gigantyczny samolot – to największe zalety nowej wiertarkowkrętarki popularnej marki dostępnej w sklepach sieci Lidl i Kaufland.

Testowany model trafił do światowych serwisów informacyjnych, gdy jego producent postanowił udowodnić, jaka moc drzemie w tej wiertarkowkrętarce, ustanawiając dość nietypowy rekord Guinnessa. Jeden z egzemplarzy podłączono więc do wyciągarki i… dzięki mocy wygenerowanej przez PPBSSA 12 A1 na jednym akumulatorze przeciągnięto ważący ok. 300 ton największy samolot pasażerski świata (Airbus A380) o 143 cm. Trzyminutowe nagranie z bicia rekordu ma już ponad 2,4 mln wyświetleń.

Nawet jeśli nie mają państwo jeszcze przed domem samolotu, to ten model i tak może się okazać przydatny. Model PPBSSA 12 A1 został wyposażony w silnik bezszczotkowy, którego maksymalny moment obrotowy wynosi 80 Nm. Moc jest zaskakująco duża jak na sprzęt o napięciu 12 V. Tej wiertarkowkrętarki można więc z powodzeniem używać do lekkich prac domowych (np. wiercenia w drewnie lub w metalu). Przydatna jest też trzybiegowa przekładnia z płynną regulacją prędkości obrotowej i funkcją Quickstop. Pojemność uchwytu wiertarskiego wynosi od 1,5 do 13 mm. Mamy tu także trzypunktowe oświetlenie LED RGB (można się więc nawet pobawić kolorami), a także kontrolę odrzutu. Po bokach są również przydatne magnetyczne uchwyty na bity.

Samo urządzenie waży 1283 g, a akumulator do niego – 400 g. Wiertarkowkrętarka w najbardziej newralgicznych miejscach została pokryta gumą, co zapobiega porysowaniu powierzchni przy odkładaniu sprzętu. Plusem jest także uniwersalna bateria (w zestawie są akumulator 5 Ah oraz szybka (i trochę głośna) ładowarka, która ładuje go do pełna w ok. 50 minut), pasująca do różnych elektronarzędzi Parkside. A wady? Wskaźnik baterii na ekraniku LCD wprowadza w błąd (na szczęście w aplikacji działa bez zarzutu). Szkoda też, że w zestawie nie znalazły się chociaż dwa podstawowe bity na zaczepy magnetyczne. Cena: 469 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl ace439ea40

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Placek ze śliwkami

Późne lato to czas na placek drożdżowy ze śliwkami. Co prawda, ten przysmak zwiastuje już koniec wakacji. Ale czyż jego smak nie rekompensuje nam smutku pożegnania lata i nie przygotowuje nas na wytrawną słodycz jesieni?

Gdy mamy dylemat, które ciasto zrobić – kruche czy drożdżowe – wybieramy to drugie, bo wydaje nam się bardziej zdrowe i pożywne i jakoś bardziej pasuje nam do śliwek. Zaletami drożdżowego są jego puszysta konsystencja i lekkość – smakuje wyśmienicie do porannej kawy i idealnie zastępuje śniadanie. Do placka drożdżowego najbardziej nadają się prawdziwe węgierki. Mają one najmniej soku. Dzięki temu nie będzie ono zbyt wilgotne. Przed upieczeniem obficie posypujemy je kruszonką – maślana rozpływa się w ustach na końcu każdego kęsa. Ciasto drożdżowe możemy posmarować masłem. I musimy przyznać, że połączenie ciepłego drożdżowego ciasta z plastrem zimnego masła daje niezwykłe „podniebienne" doznania.

Ciasto drożdżowe

forma 20 x 30 cm

• 1 kg śliwek umytych, osuszonych, wypestkowanych i przekrojonych na pół • 650 g mąki pszennej • 150 g cukru • 120 g masła • 50 g (5 dag) drożdży świeżych lub 16 g suchych • 150 ml mleka • 3 jajka

(wszystkie składniki muszą być w temperaturze pokojowej, po prostu ciepłe)

Kruszonka

• 160 g mąki pszennej • 80 g masła • 70 g cukru • szczypta soli

Jeśli używamy świeżych drożdży, to musimy zrobić zaczyn, czyli lekko podgrzewamy trochę mleka, dodajemy kilka łyżek pokruszonych drożdży, łyżeczkę cukru, 2–3 łyżki mąki, mieszamy i odstawiamy do wyrośnięcia.

Resztę mleka podgrzewamy z masłem i odstawiamy, aby ostygło.

Mieszamy rozczyn lub drożdże suche z mąką, mlekiem, roztopionym masłem, cukrem i jajkami. Wyrabiamy ciasto. Możemy to robić rękami, co jakiś czas smarując dłonie olejem lub oliwą. Podczas wyrabiania dodatkowo natłuszczamy ciasto i wtedy jest smaczniejsze. Robimy to tak długo, aż będzie gładkie, lśniące i elastyczne. Ciasto nie może być zbyt gęste. Przekładamy je do miski, posypujemy delikatnie mąką, nakrywamy ściereczką lub przykrywamy folią i odstawiamy do wyrośnięcia na ok. 1 godz. Formę do pieczenia wykładamy papierem i dość gęsto układamy przekrojone śliwki. Odstawiamy i nagrzewamy piekarnik – maksymalnie do 180 st. C. W tym czasie przygotowujemy kruszonkę. Mąkę, masło i cukier rozprowadzamy w palcach, rozdrabniamy, aż powstanie kruszonka. Posypujemy ciasto i wkładamy do nagrzanego piekarnika maksymalnie na 50–60 min.

Możemy ciasto polać lukrem, ale to już rozpusta. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Włochy dla początkujących

Leszka Talki nigdy nie poznałam osobiście, chociaż był moment, kiedy oboje pracowaliśmy jednocześnie w tej samej gazecie. Leszek razem z żoną Moniką Piątkowską mieli cotygodniowy, sympatyczny felieton o wychowaniu dzieci.

Potem okoliczności się zmieniły. Z „Gazety Wyborczej" pozbyto się dziennikarzy niesłużących bezpośredniej propagandzie, ja też się z niej wyniosłam i przestałam ją czytać. Teraz, po 20 latach, znów spotykam Leszka Talkę. Tym razem na facebookowym blogu Dolce Vita opowiada o przeniesieniu się rodziny (w już zmienionym składzie) do miasteczka w Toskanii. Bohaterami są autor, jego partnerka Ewelina i 10-letni chłopiec Bruno. Mamy historie o przeprowadzce, o kupnie nowej pralki i wnoszeniu jej przez strome uliczki, opowiastki o sąsiadach, o lokalnych zdarzeniach, imprezach. Jak wynika z tych opowieści, integracja w nowym miejscu przebiega bez trudności, a nawet całkiem przyjemnie.

Leszek Talko nie byłby sobą, żeby każdej z tych historyjek nie opisał z właściwym sobie zmysłem obserwacji, życzliwym i subtelnym poczuciem humoru. Każda jest rodzajem moralitetu, bez zadęcia i pogodnie – to humor Kabaretu Starszych Panów. Nic dziwnego, że liczba obserwujących rośnie. Czytając te odcinki, każdy by nabrał chęci na przeprowadzkę do pięknej toskańskiej krainy.

O której mówi się skądinąd, że żaden Włoch już w niej nie został, bo wszystko kupili Amerykanie. Nawet jeśli to prawda, to inne wyludniające się regiony dramatycznie potrzebują świeżej krwi. Na Sycylii cały środek wyspy jest wyludniony, domy za 1 euro można kupić bez problemu. W programach oferujących osiedleńcom tanie domy znajdują się dziesiątki gmin Sardynii, Abruzji, Apulii.

Brzmi to wszystko zachęcająco, ale są też warunki. Można dostać kredyt, ale dom należy odbudować oraz w ramach ożywienia regionu otworzyć działalność gospodarczą. Mało tego: niektóre miejsca od nowych przybyszy w ramach odmłodzenia populacji wymagają urodzenia dziecka. To już nie takie proste.

Jaką działalność będą państwo Talkowie tam prowadzili, nie wiem. Czy scrittore, czyli pisarz, wystarczy? Jak czarujące historyki pana L.T. mogą wpłynąć na ożywienie gospodarcze okolicy? Na ożywienie stosunków towarzyskich na pewno – tylko pozytywnie.

Osiedlałam się w kilku miejscach na świecie, w gorszych czasach, i mam stamtąd kilka smacznych opowiastek. Nie tak smacznych, jak Leszka, ale wiem, że emigracja poza zabawnymi zdarzeniami, o których po latach się miło opowiada, niesie w sobie także sporo mniej zabawnych momentów. Których panu L.T. życzę jak najmniej. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Popisowy klincz

Trudno już wytrzymać z tym bezradnym przyglądaniem się procesowi zapadania się Polski. Wszyscy to wiedzą, a jakoś remedium nie widać, co jest dla mnie kolejnym dowodem fasadowości demokracji przedstawicielskiej. Czyje bowiem interesy reprezentują dwie ścierające się siły polskiej polityki w momencie obrzucania się winą za nieobecność w Waszyngtonie czy to premiera, czy to prezydenta? Tam dzieją się losy świata, a my zblokowaliśmy się w wewnętrznym impasie.

Takie podejście może być dobrą bazą do utyskiwań nad oczywistością składania naszej racji stanu na ołtarzu wewnętrznych rozgrywek, ale to temat zarówno oczywisty, jak i już… nudny. Można też rozdzielać na czworo włosy wypadłe z łysiejącej głowy wojny polsko-polskiej i zastanawiać się, kto zawinił, że nas tam nie ma. Wektory zarzutów skierowały się przeciwko sobie: uśmiechnięta Polska zarzuca, że to przez (dwutygodniowego) prezydenta, który co prawda ponoć tylko reprezentuje, a rząd rządzi, ale tu nagle zawinił swoim dyletanctwem. Strona druga twierdzi, że to fiasko antyamerykańskiej polityki rządu, za co mają być odpowiedzialni zarówno Tusk, jak i Sikorski.

Sprawa jest prostsza: trzeba zadać sobie pytanie, nie przez kogo tam nie pojechaliśmy, tylko po co mielibyśmy tam być w ogóle zaproszeni. W Waszyngtonie zbliżają się USA z Rosją, kosztem Ukrainy, a u nas obie partie wojny polsko-polskiej od dawna i do ostatniej chwili deklarują wektory odwrotne od przyjętych przez gospodarza Białego Domu. My za to serwujemy bezwzględną wrogość do Rosji i wspieranie Ukrainy do ostatniej kropli krwi (na razie tylko) ukraińskiego żołnierza. Obecność więc takiej narracji przy okazji negocjacji pokojowych byłaby dla Trumpa wysoce kłopotliwa.

Po co my tam w ogóle? Do tej pory w kwestii Ukrainy byliśmy naiwno-romantycznym pomocnikiem, bezrefleksyjnym wykonawcą cudzych interesów, któremu się komunikowało, co ma zrobić, gdyby na chwilę sam zapomniał „służby swej powinność". Teraz też nam się zakomunikuje, co ustalono, również w naszej sprawie. Może zamiast się obwiniać w polskim grajdołku, lepiej się zastanowić, jak do tego doszło, że w naszym regionie spadliśmy do tak wasalnej roli, mimo naszych emocjonalnych deklaracji i wyprucia się z zasobów finansowych oraz militarnych. Ale tu – jak zwykle – skończymy na naparzaniu się na polskim poletku tylko po to, by nikt nie zadał sobie podstawowego pytania: Pies z wami tańcował, POPiS-owcy, kto ma rację, ale dlaczego cała klasa polityczna doprowadziła do tak systemowej i wydaje się, że trwałej degradacji naszej pozycji? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Prawdziwa historia

Lato nasycone jest rocznicami, przy których okazji wybuchają nierzadko polityczne awantury. Tak było również w tym roku. Jedwabne, ludobójstwo na Wołyniu, obława augustowska, a wcześniej odsłonięcie „głazu pamięci", a właściwie „głazu hańby" w Berlinie wywoływały namiętne spory. Jednak rocznice nie tylko prowokują gwałtowne dyskusje (czego przykładem jest Powstanie Warszawskie), lecz także rezonują w bieżącej polityce, z jednej strony – przez sposób, w jaki obecne władze traktują ważne wydarzenia naszej historii, z drugiej – przez odniesienia do polityki historycznej naszych sąsiadów. Paradoksalnie napięcia i kontrowersje ożywiają historię, pokazując, że walka o prawdę o ofiarach, bohaterach, sprawcach, a często rachunki krzywd z przeszłości są ważne i oddziałują na to, co tu i teraz. W ten kontekst wpisują się też ostatnie dymisje – najgorszej szefowej resortu kultury Hanny Wróblewskiej i pełnomocnika MSZ do spraw polsko-niemieckiej współpracy, prof. Krzysztofa Ruchniewicza.

Również dzięki napięciom społeczne obchody męczeńskiej śmierci o. Maksymiliana Kolbego z roku na rok przeradzają się w coraz liczniejszą manifestację z obecnością biało-czerwonych flag na terenie obozu Auschwitz. I właśnie w przededniu rocznicy śmierci św. Maksymiliana w Warszawie odbyła się premiera filmu „Tryumf serca". Ekranizacja męczeństwa polskiego franciszkanina w Auschwitz to film amerykańskiego reżysera Anthony'ego D'Ambrosia zrealizowany z polskimi aktorami, z rewelacyjną rolą Marcina Kwaśnego jako o. Maksymiliana. Odważny pomył, żeby zacząć film właśnie od momentu selekcji więźniów na placu apelowym i całość dramatu niejako ograniczyć do przestrzeni bunkra głodowego, sprawia, że stajemy się świadkami powolnej śmierci skazańców, w tym o. Maksymiliana, ale nie jest to tylko epatowanie cierpieniem i brutalnością oprawców, choć wstrząsających scen nie brakuje. Mimo skąpych źródeł, podejmując próbę rekonstrukcji tego, co mogło się dziać w bunkrze między 29 lipca a 14 sierpnia 1941 r., twórcy zmierzyli się z najtrudniejszym pytaniem: „Gdzie był Bóg w Auschwitz?".

Film „Triumf serca" niesie odpowiedź. Przypomnienie historii św. Maksymiliana, obok silnego duchowego przeżycia, prowokuje mnie do praktycznego pytania: Dlaczego ta prawdziwa, piękna, niesamowita historia, nie stała się centralnym elementem polskiej polityki historycznej w odniesieniu do Auschwitz i o niemieckiej okupacji w Polsce?

Przy całym szacunku do twórców filmów „Życie za życie" i „Dwie korony", dlaczego to Amerykanie robią wreszcie taki film? ©℗

eprasa.pl ace439ea40

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Po prostu brokat...

Chcesz błyszczeć (za chwilę odpowiedź, czyli porada za darmo)? Stop. Błysnąć zapragnął Myrcha Arkadiusz, wiceminister sprawiedliwości, prywatnie mąż Kingi „Masz tu ziemniaczka, bidusie" Gajewskiej. Stop. Na portalu X dokonał pewnej umysłowej pracy, niestety (po co to było, no po co, panie Arku?). Stop. Napisał muśnięty fanfaronadą: „Wystarczyło »obajtków« zastąpić managerami", po czym zacytował komunikat PAP informujący, że „zysk netto Grupy Orlen w I półroczu br. wyniósł 5 mld 932 mln zł i był wyższy o 3 mld 108 mln zł wobec tego samego okresu 2024 r.". Stop. Komplikacja polega na tym, że Myrcha nasz kochany porównał okres rządów Platformy w Orlenie do okresu rządów... Platformy w Orlenie, gdyż we wskazanych przez niego przedziałach Obajtka już w firmie nie było. Stop. Gdyby jednak chciał nasz Arkadiusz porównać osiągnięcia rządów KO w Orlenie z rządami Obajtka, musiałby napisać, że za Obajtka zysk netto był ponaddwukrotnie wyższy, niestety. Stop. A teraz porada dla pana Myrchy pochodząca ze środowiska wodzirejów: Panie Myrcha, chcesz pan błyszczeć? Posyp się pan brokatem...

Daliśmy poradę politykowi, to teraz posłuchajmy rady od polityka, proszę się trzymać. Stop. Europoseł Michał „Ok. 70 tys. zł miesięcznie" Szczerba w programie redaktor Gozdyry poradził chorym na raka, których z powodu braku pieniędzy przestano przyjmować w szpitalu z Koninie. Stop. Poradził im mianowicie, żeby sobie pojechali do jakiegoś szpitala obok czy niedaleko, skoro w Koninie ich nie przyjmują. Stop. Odniosłem wrażenie, że miał na końcu języka: „Przecież mamy szpitale w Berlinie". Stop.

Federalizacja Europy lub, jak kto woli, poddawanie Polski Niemcom przez tuskowców zdaje się przyspieszać na naszych oczach. Stop. Z szefowania Instytutowi im. rtm. Pileckiego niejaki Ruchniewicz zwolnił Hannę Radziejowską, gdyż dziwiło ją, że Ruchniewicz chce zorganizować konferencję, co Polacy zagrabionego Niemcom powinni im oddać (nie żartuję). Stop. Ruchniewicz na stanowisko w Berlinie powołał... niemiecką polityk z partii Zielonych, niejaką Joannę Kiliszek, która np. dużo i pięknie mówi o LGBT, a na prawicy dostrzega faszystów. Stop. Obsadzenie polskich stanowisk niemieckimi politykami? A może Tusk zaproponuje na premiera Merza? Stop. Szybko to wszystko idzie.

Robertowi Bąkiewiczowi prokurator postawił zarzuty i zabronił zbliżania się do granicy polsko-niemieckiej na odległość mniejszą niż 1 km. Stop. Jednocześnie prokurator nie zabronił Bąkiewiczowi przekraczania granicy polsko-niemieckiej. Stop. Prokuratorowi także zalecamy brokat... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Chętnych coraz mniej

Bardzo ciekawe dyskusje toczą się na temat tzw. Koalicji Chętnych, która zajmować się miała wywieraniem presji na Władimira Putina w celu „zapewnienia sprawiedliwego i trwałego pokoju dla Ukrainy". Koalicja ta zawiązała się w marcu 2025 r. z inicjatywy przywódców Wielkiej Brytanii i Francji, do których szybko przyłączyły się Niemcy i kilkanaście innych krajów. Od początku swego istnienia koalicja zajmowała się przede wszystkim wydawaniem buńczucznych oświadczeń, które choć brzmiały spiżowo, unikały jakichkolwiek konkretów. Brytyjski premier Keir Starmer wspominał wprawdzie o wspieraniu ukraińskich wysiłków „butami na ziemi i samolotami w powietrzu", nie precyzował natomiast, ile par butów chce wysłać oraz kto miałby je nosić. Czego nie nazywali politycy, dopowiadali rozmaici eksperci. „Korpus wojskowy liczący 50 tys. żołnierzy wysłałby Rosji wyraźny sygnał: traktujemy tę sytuację bardzo poważnie" – zapowiadał marsowo Sven Biscop z brukselskiego instytutu Egmont. Większe potrzeby zgłaszał prezydent Zełenski. Jego zdaniem do utrzymania sprawiedliwego pokoju wystarczyć miał 200-tysięczny korpus sił międzynarodowych. Linia frontu na Ukrainie liczy sobie przecież ponad 1000 km.

Szacunki te, i tak uważane za skromne, zaczynają kurczyć się w oczach. Brytyjczycy mówić zaczęli niedawno o „kilku setkach" żołnierzy, których gotowi byliby wysłać na Ukrainę dopiero po zawarciu rozejmu. Mieliby oni zajmować się logistyką i szkoleniem, nie biorąc jednak udziału w ewentualnych walkach na froncie. Podobną powściągliwość wykazywać zaczął Emmanuel Macron, który nagle przypomniał sobie, że jednostki francuskie stacjonować powinny z dala od linii frontu. Wymienione przez niego Kijów, Odessa i Lwów już przed wojną przyciągały turystów jak magnes, można więc śmiało przypuszczać, że Legia Cudzoziemska zdoła się tam jakoś odnaleźć.

„Krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje" – głosi polskie przysłowie. „Duch wprawdzie ochoczy, ale ciało słabe" – dopowiada biblijna mądrość. „Żelazne zobowiązania" europejskich przywódców nie były warte papieru, na którym je spisywano. Miały tworzyć wrażenie politycznej sprawczości i przekonać do wojaczki naiwnych, którzy w gromkie zapewnienia uwierzą. „Rozmieszczenie niemieckich żołnierzy na Ukrainie prawdopodobnie byłoby dla nas zbyt dużym obciążeniem" – oświadczył kilka dni temu szef niemieckiej dyplomacji.

Strach pomyśleć, o ile większym obciążeniem byłoby wyprawienie im na koszt państwa wojskowego pogrzebu z orkiestrą i honorami. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Krzywa linijka Stalina

Osiemdziesiąt lat temu Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Sowiecki w czasie konferencji w Poczdamie (lipiec–sierpień 1945 r.) zdecydowały o ostatecznym przebiegu naszej zachodniej i północnej granicy. Została ona wytyczona wzdłuż Nysy Łużyckiej i Odry z korektą na korzyść Polski w okolicach Szczecina, który w większości leży na zachodnim brzegu Odry. W Poczdamie zadecydowano również o podziale Prus Wschodnich przedzielonych „krzywą linijką Stalina", jak nazwano nieco wykrzywioną linię oddzielającą południową część tej dawnej prowincji Rzeszy Niemieckiej, która przypadła Polsce, od jej północnej części – z Królewcem – która przypadła Związkowi Sowieckiemu, a konkretnie Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Sowieckiej.

Terytorialne decyzje, które zapadły podczas konferencji poczdamskiej, oznaczały faktyczny koniec Prus, chociaż formalną decyzję o ich likwidacji Międzysojusznicza Rada Kontroli Niemiec podjęła dopiero dwa lata później

Stalin wywiódł sowieckie „odwieczne prawa" do tej części Prus Wschodnich z ich stolicą, powołując się w czasie poczdamskich obrad na fakt, że przecież w czasie wojny siedmioletniej (1756–1763) wojska carycy Elżbiety I w drodze do Brandenburgii i dalej do Berlina (Rosja była wtedy częścią kontynentalnej, antypruskiej koalicji) zajęły Księstwo Pruskie i odebrały od zgromadzonych w Królewcu reprezentantów tamtejszego mieszczaństwa i szlachty przysięgę wierności rosyjskiej władczyni. Ostatecznie nastąpił jednak „cud domu brandenburskiego", czyli nieoczekiwana śmierć carycy w 1762 r. (choroba alkoholowa plus bezpruderyjny styl życia zrobiły swoje) i wstąpienie na tron rosyjski cara Piotra III.

Niemieckie książątko z linii Holstein-Gottorp, tylko dla niepoznaki zwane Romanowem, należało do licznego w XVIII-wiecznej Europie grona fanów Hohenzollerna. Od razu wycofało wojska rosyjskie z antypruskiej koalicji, a potem – gdy z racji „poważnych dolegliwości zdrowotnych" (czytaj: zamachu stanu przeprowadzony przez jego małżonkę, urodzoną w Szczecinie Katharinę von Anhalt-Zerbst, szerzej znaną jako caryca Katarzyna II) musiało ustąpić z tronu – jego następczyni zawarła w 1764 r. formalny sojusz z Prusami. W ten sposób widmo zagłady zawisło nad Rzecząpospolitą.

W Poczdamie przywódca bolszewików poczuł się spadkobiercą carskiej Rosji i Królewiec wraz z okręgiem został przyłączony do rosyjskiej części sowieckiego imperium. Cóż mogłoby się dziać teraz u naszych granic, gdyby jego następca, Chruszczow, darował Królewiec z okręgiem Litewskiej Republice Sowieckiej? Czy w ogóle Litwa znalazłaby się w NATO i UE w obliczu rewindykacyjnych działań putinowskiej Rosji? Analogia ze skutkami „krymskiego daru" Chruszczowa dla Ukrainy jest aż nadto wyraźna.

Terytorialne decyzje, które zapadły podczas konferencji poczdamskiej, oznaczały faktyczny koniec Prus, chociaż formalną decyzję o ich likwidacji Międzysojusznicza Rada Kontroli Niemiec podjęła dopiero dwa lata później (1947). Odpadnięcie historycznej siedziby państwa Hohenzollernów, miejsca koronacji pierwszego przedstawiciela tej dynastii na „króla w Prusach" (1701), oraz utrata takich prowincji jak Śląsk i Pomorze – które od wieków stanowiły polityczne i majątkowe zaplecze podpory tronu Hohenzollernów, czyli pruskiej szlachty (junkrów) – sprawiały, że tylko kwestią czasu był ostateczny koniec państwa, które skutecznie namówiło Rosję do rozbioru Polski.

Swoją wymowę miało również to, że decyzje te zapadały w Poczdamie, który obok Królewca i Berlina stanowił szczególne miejsce na pruskiej „mapie pamięci". W Poczdamie rezydował Fryderyk Wilhelm I (1713–1740), znany z brutalności „król sierżant", który przerobił swoje państwo w wielkie koszary.

Tutaj swoją rezydencję Sanssouci, wzorowaną na Wersalu (reguła w XVIII-wiecznych państwach niemieckich) wybudował „król filozof" Fryderyk II (1740–1786). To z Poczdamu Napoleon po rozgromieniu Prus w 1806 r. wywiózł jako swoje największe trofeum (sam tak je oceniał) – rapier „starego Fryca". Poczdamski kościół garnizonowy był miejscem pochówku dwóch Hohenzollernów – twórców potęgi pruskiego militaryzmu, za życia nieznoszących się ojca i syna: Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II. To przy ich grobach w 1805 r. car Aleksander I wraz z królem Prus Fryderykiem Wilhelmem III przysięgali sobie trwałość przymierza Petersburga i Berlina. Ich następcy – na zgubę Polski i całej Europy Środkowej – słowa dotrzymywali aż do sierpnia 1914 r. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

ZA DRZWIAMI

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pamiętają Państwo pierwszą wizytę Zełenskiego u Trumpa? Jakoś nikt o tym teraz nie gada, a to ważne. W skrócie: Zełenski wtedy został wywalony za drzwi, a na odchodnym powiedziano mu, że będzie mógł wrócić do Białego Domu pod warunkiem, że się ogarnie i ochłonie.

Ludzie ze Wschodu rozumieją język siły. Język wilczych bestii – wśród wilków jesteś albo basior, czyli samiec alfa, albo podwijasz ogon, siadasz w kącie i czekasz na swoją kolej. Za pierwszym razem Zełenski wszedł do Gabinetu Owalnego jak basior, ale obecni tam Donald Trump, J.D. Vance oraz Marco Rubio uświadomili mu, że samcem alfa jest Ameryka, a Zełenski „nie ma w ręku żadnych kart".

To jedno z określeń, które wtedy padły: Człowieku, sadzisz się i stawiasz Ameryce żądania, a nie masz w ręku żadnych kart! Widziałeś swoje karty? Czym grasz? Nic nie masz. Na jakiej podstawie czegokolwiek żądasz od Ameryki? Przegrywasz wojnę z mocarstwem atomowym, z którym my, czyli Ameryka, nie chcemy wojny, bo sami jesteśmy mocarstwem atomowym, więc nie zależy nam na atomowej wojnie z Rosją. Nie potrafisz wyliczyć się z forsy, którą Ameryka przekazała ci w ramach pomocy wojskowej i humanitarnej, czyli mówiąc prosto z mostu: Twoi ludzie KRADNĄ amerykańskie pieniądze, a do tego ty sam jesteś dyktatorem, bo nie zorganizowałeś wyborów, gdy twoja kadencja wygasła.

„Nie mogłem zorganizować, bo trwa wojna" – odpowiedział Zełenski.

Naprawdę? Kurorty w Odessie działają, Kijów i Lwów zorganizowały hucznego sylwestra z szampanem i fajerwerkami, a wyborów się zrobić nie da? Wtedy Zełenski wyleciał za drzwi.

***

W zeszłym tygodniu wrócił do Gabinetu Owalnego. Wrócił ODMIENIONY. Tym razem nie grał samca alfa, ogon miał grzecznie podkulony, nie stawiał żadnych żądań i założył garnitur. Niestosowny do okoliczności, ale jednak garnitur.

Nikt elegancki nie zakłada na spotkanie DYPLOMATYCZNE ciemnej koszuli do ciemnego krawata i ciemnej marynarki. Ponadto na spotkaniach dyplomatycznych obowiązuje pewien krój marynarki, a to, co założył Zełenski, miało krój dziwaczny. I mogą mi Państwo teraz mówić, że to przecież nieistotny detal, ale ja, jako amerykański korespondent, odpowiem Państwu, że dla Amerykanów w Ameryce jest BARDZO ważne, czy ktoś założył marynarkę i krawat. W USA nawet Murzyn z dredami wie, że gdy idzie na rozmowę kwalifikacyjną, musi mieć krawat albo nie ma tam po co iść.

Gdy Państwo obejrzą nagrania z tamtego pierwszego powitania przed Białym Domem, zobaczą Państwo ZDZIWIENIE Trumpa dotyczące niestosownego stroju – wtedy Zełenski przyjechał w tym swoim drelichu z siłowni, a Trump chciał być miły, więc próbował ratować sytuację, ale widać na nagraniach zaskoczenie i słychać niezadowolenie: Nie miał Pan naprawdę porządniejszego ubrania na spotkanie z Ameryką, która przecież wcale nie musi się z Panem spotykać? Tu przyjeżdżają różni dziwacy i czasami ktoś występuje w stroju hinduskim, bo reprezentuje MOCARSTWO, czyli atomowe Indie; czasami ktoś przyjedzie w jakimś głupim stroju i my to szanujemy, bo mamy do czynienia z krajem dzikim, ale Pan, Panie Zełenski, przyjechał z Europy, gdzie wynaleziono garnitury i krawaty, a z tego, co wiemy, Pańska małżonka bywa w Paryżu i w czasie, gdy szeregowi Ukraińcy giną na froncie, ona kupuje stroje w najdroższych domach mody. Nie mogła kupić Panu normalnego garnituru?

***

Ludzie Wschodu rozumieją język siły. Zełenski zrozumiał, że w rozmowach z Ameryką nie jest samcem alfa. Za kadencji Joe Bidena był, bo Joe Biden był jak talerzyk budyniu, ale teraz światem rządzi Trump, więc Zełenski porzucił drelich i został za to publicznie pochwalony przed wejściem do Białego Domu; pochwalony jak uczeń, który dostał poprzednio naganę, a teraz się poprawił. Karty rozdaje Trump. Wszystkie gadki o warunkach, których „wymaga Ukraina przed zawarciem pokoju z Rosją", to są tylko gadki dla zachowania pozorów i twarzy. Gdybym był Ukraińcem, tobym teraz nienawidził Zełenskiego za to, co zrobił Ukrainie – Ukraina była podmiotem, teraz jest jedynie przedmiotem obrotu międzynarodowego i nikt już Ukrainy nie pyta o zdanie w żadnej sprawie.

***

Pamiętają Państwo, co europejscy przywódcy mówili na temat Trumpa rok temu? Jakoś nikt o tym teraz nie gada, a to ważne. W skrócie: Trump to bufon, pomarańczowy dureń, megaloman przekonany, że wszystko pozałatwia. A dodatkowo Donald Tusk widział na własne oczy dowody na to, że Trump jest agentem Moskwy.

A dzisiaj co? Dzisiaj europejscy przywódcy, w tym Reichsführer Urszula, wychwalają Trumpa za jego działania pokojowe. Kilka miesięcy temu, gdy Żyd Netanjahu postulował przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Trumpowi, europejscy przywódcy prychali z pogardą. Dziś sami proponują pokojowego nobla. Gdybym był zwolennikiem Unii Europejskiej, tobym znienawidził europejskich przywódców za to, co zrobili Unii Europejskiej – była podmiotem w sprawach międzynarodowych. A dziś? Gdy Trump rozmawiał z Zełenskim, europejscy przywódcy czekali w drugim pokoju i sami siebie nazywali „Koalicją Chętnych". Nazwa dobra dla domu publicznego. Kiedyś Francja była wielka i Wielka Brytania była wielka, i Cesarstwo Niemieckie, a dziś podano im kawę w drugim pokoju i oni tam grzecznie czekali, aż Ameryka skończy rozmowę z Zełenskim i zaprosi do pokoju „Koalicję Chętnych". Ta koalicja jest chętna udzielić pomocy wojskowej Ukrainie. Sami nie decydują o niczym – oni są jedynie CHĘTNI. Wysyłają sygnał swojej chęci i czekają na decyzję Trumpa. Gdybym był Francuzem, czułbym wstyd, że tak nisko upadła Francja – nie liczy się, czeka w drugim pokoju, aż Ameryka zaprosi.

A Polska? Bardzo DOBRZE, że Polski nie było w „Koalicji Chętnych". Czy ktoś z Państwa chce, aby wysyłać Polaków na front ukraiński? Ja nie chcę. A skoro nie chcę, to DOBRZE, że Polska nie czekała za drzwiami w tym drugim pokoju. ©℗

eprasa.pl ace439ea40

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN: „DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998~~ ZŁ

465,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 533 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ace439ea40

MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

NOWA WYSTAWA STAŁA „Z WIATREM I POD WIATR. LOTNICTWO CYWILNE" W MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO W KRAKOWIE

Odkryj fascynującą historię polskiego lotnictwa od legendarnych pionierów do współczesności! Poznaj sukcesy polskich pilotów i konstruktorów, którzy przez lata budowali prestiż polskich skrzydeł!

- *ponad 3000m² przestrzeni ekspozycyjnej w nowoczesnym hangarze lotniczym*
- *40 unikatowych statków powietrznych*
- *symulatory VR (paralotni i szybowca)*

Największa w Polsce wystawa poświęcona lotnictwu cywilnemu otwarta od 24 sierpnia 2025 r.

Zapraszamy do Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie!

więcej informacji na:

/muzeumlotnictwa.pl /muzeumlotnictwa /muzeumlotnictwapolskiego

eprasa.pl ace439ca40